

PAOLO BACIGALUPI

ZŁOMIARZ

SPIS TREŚCI

Rozdział I.....	3
Rozdział II.....	12
Rozdział III.....	15
Rozdział IV	21
Rozdział V	25
Rozdział VI	39
Rozdział VII	43
Rozdział VIII	50
Rozdział IX	59
Rozdział X	68
Rozdział XI	74
Rozdział XII	83
Rozdział XIII	93
Rozdział XIV.....	106
Rozdział XV.....	117
Rozdział XVI.....	121
Rozdział XVII.....	128
Rozdział XVIII.....	139
Rozdział XIX.....	152
Rozdział XX.....	163
Rozdział XXI.....	171
Rozdział XXII.....	176
Rozdział XXIII.....	182
Rozdział XXIV.....	197
Rozdział XXV.....	202
Podziękowania	206

Rozdział I

Nailer gramolił się kanałem technicznym, szarpiąc miedziane przewody i odrywając je. Kolejne pociągnięcia wzbijały w powietrze chmury włókien starożytnego azbestu i mysich odchodów. Wszedł głębiej, zrywając z aluminiowych zacisków dalsze odcinki przewodów. Zaciski brzęczały w ciasnej metalowej rurze jak monety rzucane na ofiarę Bogu Złomiarzy - Nailer wymacywał je pilnie, wypatrując niewyraźnych odblasków, i zbierał do przywiązanego w pasie skórzanego woreczka. Szarpnął jeszcze raz. W dłoniach został mu jeszcze metr cennej miedzi, wokół zakłębiła się chmura pyłu.

LEDowa farba, którą miał maźnięte czoło, oświetlała słabym, fosforescencyjnym, zielonkawym blaskiem kanały techniczne, z których składał się jego świat. Oczy piekły od brudu i słonego potu, który spływał wzdłuż brzegów maseczki filtracyjnej. Poblżnioną dłonią otarł słone strużki, uważając, by nie zetrzeć tej farby. Swędziało od niej tak, że można było zwariować, ale wcale nie miał ochoty szukać powrotnej drogi przez labirynt kanałów całkowicie na ślepo, przebolał więc świerzbiące czoło i zastanowił się nad swoją pozycją.

Przed nim biegły pordzewiałe rury, znikając w ciemności. Niektóre żelazne, inne stalowe - tym zajmie się ciężka ekipa. Nailera obchodziły tylko lżejsze materiały - miedziane okablowanie, aluminium, nikiel, stalowe spinki, które można wsadzić do woreczka i wyczołgać się kanałami do czekającej na zewnątrz lekkiej ekipy.

Odwrócił się, żeby pójść dalej kanałem, lecz przy tym walnął głową o jego strop. Łomot rozniósł się echem, jakby siedział w środku chrześcijańskiego dzwonu kościelnego. Na włosy posypał się pył. Mimo maski rozkaszał się - pył wcisnął się pod kiepsko uszczelnione krawędzie. Kichnął raz, drugi, oczy zaszyły mu łzami. Ściągnął maskę, otarł twarz, wcisnął ją z powrotem na usta i nos, błagając uszczelkę, by przyległa, choć bez specjalnej nadziei.

Maska była używana, dostał ją od ojca. Uwierała i nigdy szczelnie nie przylegała, bo była za duża, ale innej nie miał. Wytarte litery na boku mówiły: „Wyrzucić po 40 godzinach użytkowania”. Ale drugiej nie miał, podobnie jak nikt inny. Miał szczęście, że w ogóle ma maskę, choć filtry z mikrofibry płukał w oceanie już tyle razy, że zaczynały się łuszczyć.

Leserka, dziewczyna z ekipy, nabijała się z niego, kiedy płukał maskę, dziwiąc się, że w ogóle mu się chce. W rozgrzanych kanałach było w niej jeszcze goręcej i ciężej się oddychało. „Nie ma sensu”, mówiła. Czasami wydawało mu się, że ma rację. Jednak matka Pimy kazała i jemu i Pimie zawsze, ale to zawsze, używać masek. Zresztą, kiedy płukał filtry

w oceanie, rzeczywiście była w nich masa tłustego, czarnego brudu. „To jest to, co nie trafiło do twoich płuc”, mówiła matka Pimy, więc mimo wszystko używał tej maski, choć za każdym razem, gdy wciągał wilgotne tropikalne powietrze przez pozatykane, mokre od oddechu włókna, myślał, że się udusi.

Z tyłu przyszło echem wołanie:

- Jak tam, masz te druty?!

Leserka. Woła z zewnątrz.

- Już prawie! - Nailer wcisnął się jeszcze trochę głębiej w kanał, zrywając kolejne spinki, pośpiesznie ściągając kolejne pasma miedzi. Kanał ciągnął się dalej, ale on już miał to, czego potrzebował. Odciał przewód ząbkowanym grzbietem roboczego noża. - Załatwione!

Leserka odkrzyknęła:

- Ciągnę!

Kabel odskoczył od niego i popęzł przez kanały, wzbijając chmury dymu. Daleko w tym labiryncie Leserka mozolnie zwijała go na bęben, ze skórą lśniącą od potu i blond włosami przyklejonymi do twarzy wysysała miedź z kanału jak ryżowy makaron z reglamentowanej zupy od Chena.

Nailer wyciągnął nóż i wydrapał znak ekipy Bapiego w miejscu, gdzie przeciął drut. Tatuże na jego policzkach tworzyły taki sam spiralny rysunek - były to znaki uprawniające go do pracy na wrakach pod nadzorem Bapiego. Wyciągnął odrobinę farby w proszku i splunął w nią, rozmieszał na dłoni, potem wymazał nią znak. Teraz rysy opalizowały nawet z odległości. Palcem i resztą farby wypisał pod spodem wyuczone na pamięć litery i cyfry: LC57-1844. Co prawda, teraz nikt o ten kawałek nie konkurował, ale zawsze dobrze oznaczyć sobie terytorium.

Zebrał resztę aluminiowych spinek i popęzł z powrotem na czworakach, omijając słabe punkty, gdzie kanał nie był dobrze przymocowany, nasłuchując własnego echa oraz dudnienia i podzwaniania stali, wszystkimi zmysłami szukając objawów urywania się lub łamania metalowego kanału.

Fosforyzująca plama ukazywała pył wzniecony przez wyprzedzającego go kablowego węża. Czołgał się po wysuszonych zdechłych szczurach i ich gniazdach. Szczury były nawet tutaj, w bebeczach starego tankowca, choć te akurat pozdychały dawno temu. Trafił na kolejne kości, mniejsze - kotów i ptaków. W powietrze wzbiły się pióra i kurz. Bliżej świata zewnętrznego był istny grobowiec wszelkiej maści zagubionych zwierząt.

Przed nim było już widać światło - jaskrawe słońce. Nailer zmrużył oczy, pnąc się ku

niemu, myśląc, że tak muszą wyglądać ponowne narodziny w Sekcie Życia - taka wspinaczka ku oślepijącemu blaskowi. Wyskoczył z kanału na gorący stalowy pokład.

Zdyszany, zdjął maskę.

Zalało go oślepiające zwrotnikowe słońce i słona oceaniczna bryza. Wokół w stal łomotały wielkie młoty - mężczyźni i kobiety wspinali się po wiekowym tankowcu, rozbierając go na części. Ciężkie ekipy cięły blachy palnikami acetylenowymi i zrzucały jak palmowe liście na plażę w dole, skąd kolejni robotnicy wlekli je poza granicę przyływu. Lekkie ekipy, jak Nailera, wypruwały ze statku drobniejsze elementy i okucia, zdobywając miedź, mosiądz, nikiel, aluminium i stal nierdzewną. Jeszcze inni szukali paliwa czy oleju, które spłynęły w ukryte zakamarki statku, i wynosili je wiaderkami. Całość przypominała krzątanie w mrowisku, poświęconą wyłącznie przetworzeniu truchła umarłego statku na coś przydatnego w nowym świecie.

- Trochę ci się zeszło - powiedziała Leserka.

Walnęła młotkiem w zacisk szpuli, uwalniając ją z osi.

Jej blada skóra lśniła w słońcu, spiralne robocze tatuaże na tle czerwonych policzków wydawały się niemal czarne. Po jej szyi spływał pot. Blond włosy miała krótko ścięte, podobnie jak i on - żeby nie zaczepiały się w tysiącach szpar, ani o wirujące części maszyn, od których aż roiło się w ich miejscu pracy.

- Głęboko siedzimy. Masa kabli, ale długo schodzi, żeby się do nich dostać.

- Zawsze masz gotowe wytłumaczenie.

- No, nie narzekaj, przydział zrobimy.

- Oby - powiedziała Leserka. - Bapi mówi, że przyszła inna lekka ekipa i kupuje prawa do rozbiórki.

Nailer się skrzywił.

- Ale mi niespodzianka.

- Pewnie. Za dobrze nam tu było. Pomóż mi.

Nailer stanął po drugiej stronie szpuli. Stękając, unieśli ją z osi. Razem obrócili na bok i z łoskotem upuścili na zardzewiały pokład. Ramię w ramię naparli na nią, napinając nogi, zaciskając zęby.

Szpula powoli zaczęła się toczyć. Rozgrzany słońcem pokład palił Nailera w bosa stopy. Statek był pochylony, więc pchało się ciężko, ale ich połączone wysiłki powoli przesuwwały szpulę naprzód. Pod jej ciężarem chrupały obłuzowane metalowe płyty i popękana farba antykorozyjna.

Z wysokości pokładu tankowca Bright Sands Beach ciągnęła się po horyzont

usmoloną połacią piasku i kałuż słonej wody, zaśmieconą rozczłonkowanymi kadłubami innych tankowców i frachtowców. Niektóre były całe, jakby kapitanowie zwariowali i postanowili wjechać kilometrowymi statkami na piach, a potem poszli sobie do domu. Inne były pocięte i poobdzierane ze skóry, ukazując zardzewiałe żelazne kości. Fragmenty kadłubów wały się jak kawałki posiekanej ryby: tu mostek, tam kubryk, gdzie indziej sterczący prosto w niebo dziób tankowca.

Całkiem jakby między statki zstąpił Bóg Złomu i ciął, siekał, kroił potężne żelazne monstra na plasterki, a potem zostawił po sobie pobojuwisko. Gdziekolwiek stał wielki statek, roiły się przy nim, jak muchy, bandy złomiarzy, jak ekipa Nailera. Wgryzały się w żelazne mięso i kości. Wlokły rozczłonkowane trupy starego świata po plaży, na wagi i do wytapiaczy, które pracowały dwadzieścia cztery godziny na dobę ku chwale i zyskom firmy Lawson & Carlson - to oni dorabiali się na złomiarzkiej krwi i pocie.

Nailer i Leserka przystanęli na moment, ciężko oddychając, opierając się o ciężką szpulę. Nailer otarł pot z oczu. Daleko na horyzoncie, tłusta czerń oceanu zmieniła się w błękit, odbijając niebo i słońce. Spieniły się białe grzywacze. W powietrzu wokół Nailera kłębiły się czarne spaliny nadbrzeżnych wytapiaczy, ale daleko, za dymem, widać było żagle. Nowe klipry. Następcy tych potężnych wraków na węgiel i mazut, nad których zniszczeniem w pocie czoła pracowali: żagle białe jak mewy, kadłuby z włókna węglowego, a całość szybsza od wszystkiego na świecie z wyjątkiem pociągu na poduszce magnetycznej.

Wzrok Nailera powędrował za tnącym wodę kliprem, smukłym, szybkim i niedosiężnym. Niewykluczone, że część miedzi z ich szpuli wyląduje w końcu na takim statku, najpierw wywieziona pociągiem do Orleanu, potem przeniesiona do ładowni klipra i zawieziona przez ocean do ludzi, których stać, by ten złom kupić.

Bapi miał plakat z kliprem Libeskinda, Browna i Mohanraja. Przyczepił go do wieloletniego ściennego kalendarza. Przedstawiał statek z rozwiniętymi wysoko w górze spadochronowymi żaglami - Bapi mówił, że potrafią sięgnąć do prądów strumieniowych i ciągnąć kliper po gładkim morzu z prędkością ponad pięćdziesięciu pięciu węzłów, wzniesiony na płatach jak wodolot, prujący pianę i słoną wodę, pędzący przez ocean do Afryki i Indii, do Europejczyków i Nippończyków.

Patrzył na dalekie żagle wyglodniałym wzrokiem, zastanawiając się dokąd płyną i czy gdzieś tam jest lepiej niż tutaj.

- Nailer! Leserka! Gdzie żeście, kurna, byli?

Nailer ocknął się z marzenia. Z niższego pokładu tankowca machała do nich wściekła Pima.

- Czekamy na ciebie, chłopaku!

- Szeftowa szefuje - mruknęła Leserka.

Nailer skrzywił się. Pima była z nich najstarsza, przez co lubiła się rządzić. Nawet ich odwieczna przyjaźń nie chroniła go, gdy spóźniali się z przydziałem.

Skupili się z Leserką ponownie na szpuli. Jeszcze parę stęknąć i udało im się przesunąć ją po wygiętym pokładzie do miejsca, gdzie ustawiono zaimprovizowany żurawik. Przypięli ją do zardzewiałych żelaznych haków, chwycili linę i wskoczyli na opadającą szpulę, która, kołysząc się i kręcąc, wylądowała na dolnym pokładzie.

Gdy tylko się tam znaleźli, Pima i reszta lekkiej ekipy zakrzętnęli się wokół. Odpięli szpulę, przetoczyli ją na dziób, gdzie było zorganizowane stanowisko do ściągania izolacji. Wszędzie wałały się kawałki zdjętej z przewodów izolacji oraz lśniące, starannie ułożone zwoje zebranej miedzi, opatrzone znakiem lekkiej ekipy Bapięgo, takim samym, jaki wszyscy mieli na policzkach.

Zaczęli odcinkami rozwijać nowy łup Nailera, dzieląc go między siebie. Pracowali szybko, zgrani, dobrze znali się na robocie: Pima, szefowa, wyższa od reszty, czarna jak mazut i twarda jak stal. Leserka, chuda i blada, kości, sękaty kolana i brudne jasne włosy, kolejna kandydatka do łażenia po kanałach, kiedy Nailer zanadto wyrośnie, o wiecznie spalonej słońcem i łuszczącej się skórze. Lunia, koloru brązowego ryżu, której matka, pracująca w walibudzie, zmarła podczas ostatniej fali malarii, i która bardziej niż reszta przykładała się do pracy w lekkiej ekipie, bo widziała alternatywę: uszy, nos i wargi miała ozdobione stalowym drutem z okrętów, w nadziei, że nikt jej tak nie zechce, jak chcieli jej matki.

Tiktak, krótkowzroczny i wiecznie mrużący oczy, ciemny prawie jak Pima, ale o wiele mniej bystry, sprawny w rękach, jeśli tylko mu się powiedziało, co ma z nimi zrobić, i nieznający nudy. Perełka, hindus, który opowiadał im historie o Śiwie, Kali, Kryszenie i który był szczęściarzem, bo miał oboje rodziców - pracowali przy odzyskiwaniu mazutu. Czarne włosy, ciemna, tropikalna skóra, brak trzech palców u jednej ręki na skutek wypadku z kabestanem.

No i był jeszcze Nailer. Niektórzy, jak Perełka, wiedzieli, kim byli i skąd pochodzą. Pima wiedziała, że jej matka jest z ostatnich wysp na Zatoce. Perełka każdemu, kto chciał słuchać, opowiadał, że jest w stu procentach Hindusem Marwari - z krwi i kości. Nawet Leserka mówiła, że pochodzi od Irlandczyków. Nailer - nic z tych rzeczy. Nie miał pojęcia, kim jest. Pół czegoś, ćwierć czegoś innego, brązowa skóra i ciemne włosy jak zmarła matka, ale dziwaczne bladoniebieskie oczy jak u ojca.

Perełce wystarczyło raz spojrzeć w te blade oczy, żeby zawyrokować, że splodziły go demony. Tylko że on cały czas wymyślał różne rzeczy. Mówił, że Pima to wcielona Kali - dlatego ma tak ciemną skórę, dlatego jest tak wredna, kiedy się nie wyrabiają z przydziałem. Zresztą, Nailer miał oczy i żylastą budowę swojego ojca, a Richard Lopez z pewnością był demonem. Temu nikt nie zaprzeczał. Nawet trzeźwego wszyscy się go bali. Po pijaku był demonem.

Nailer rozwinął kawał kabla i kucnął na rozżarzoną pokładzie. Ścisnął go kombinerkami i zdarł izolację, odsłaniając lśniący miedziany rdzeń.

I jeszcze raz. I jeszcze.

Pima kucnęła obok z własnym kawałkiem przewodu.

- Trochę ci się zeszło, żeby to przynieść.

Nailer wzruszył ramionami.

- Blisko już nic nie ma. Musiałem pójść daleko, żeby to znaleźć.

- Zawsze tak mówisz.

- Chcesz iść do kanału, to zawsze możesz.

- Ja pójdę - zgłosiła się Leserka.

Nailer rzucił jej paskudne spojrzenie. Perełka prychnął.

- Nie masz takiej orientacji jak półczłowiek. Zgubisz się jak Mały Jackson i nic nie będziemy mieli.

Leserka machnęła gniewnie ręką.

- Wal się, Perełka. Nigdy się nie gubię.

- Nawet po ciemku? Jak wszystkie kanały wyglądają tak samo? - Perełka splunął za krawędź statku. Spudłował, trafił w reling. - Na Deep Blue III przez parę dni słyszeli jak woła. Ale nie mogli go znaleźć. Mały wszarż w końcu wysechł i umarł.

- Kiepska śmierć - rzucił Tiktak. - Bez wody. Po ciemku. Samemu.

- Zamknąć się, jedno i drugie - powiedziała Lunia. - Chcecie, żeby umarli usłyszeli, że ich wołacie?

Perełka wzruszył ramionami.

- My tylko mówimy, że dzięki Nailerowi przydział zawsze jest zrobiony.

- Cholera. - Leserka przecesała dłonią przepocone jasne włosy. - Ja bym wyciągnęła ze dwadzieścia razy tyle co on.

Nailer zaśmiał się.

- No to włącz. Zobaczymy, czy wyjdiesz żywa.

- Ale szpula już jest pełna.

- No to masz pecha.

Pima poklepała Nailera po ramieniu.

- Ja serio mówię z tym czasem. Mieliśmy przestój, bo na ciebie czekaliśmy.

Nailer spojrział Pimie w oczy.

- Przydział robię. Jak ci się moja praca nie podoba, to sama tam leż.

Pima zacisnęła usta w złości. Puste słowa, oboje dobrze o tym wiedzieli. Za bardzo urosła i na dowód tego miała blizny i szramy na kręgosłupie, łokciach i kolanach. Lekka ekipa wymagała drobnych robotników. Większość dzieciaków dostawała kopa, zanim skończyła czternaście lat, nawet jeśli głodziły się, żeby nie rosnąć. Gdyby Pima nie była taką świetną brygadzystką, dawno wylądowałyby na plaży i żebrała, głodna, o cokolwiek do jedzenia. A tak, miała może jeszcze rok, żeby nabrać siły na tyle, by konkurować z setkami innych o wakaty w ciężkich ekipach. Czas jej się jednak kończył i wszyscy o tym wiedzieli.

W końcu dodała:

- Gdyby twój ojciec nie był takim twardzielem, to na pewno byś się tak nie stawiał. Zgadzałbyś się ze mną.

- No to chociaż za jedno mogę mu być wdzięczny.

Jeśli sędzić po ojcu, nie było mu pisane wyrosnąć na wielkiego mężczyznę. Szybkiego, owszem, ale nie dużego. Tato Tiktaka zresztą mówił, że żaden z nich za duży nie będzie, bo nie jedzą dość kalorii. Mówił, że ludzie w Seascapie Bostonie nadal są wysocy. Mają dużo pieniędzy i dużo jedzenia. Nigdy nie chodzą głodni. Są wysocy i grubi...

Nailer tyle razy czuł, jak żołądek przyrasta mu do kręgosłupa, że zastanawiał się, jak to musi być, mieć tyle jedzenia. Jak to musi być: nigdy nie budzić się w nocy, gdy zęby przeżuwiają wargi, wyobrażając sobie, że zaraz będzie jadł mięso. Ale głupie to było marzenie. Seacape Boston - to za bardzo brzmiało jak Chrześcijański Raj, albo obiecanki Boga Złomu: beztroskie życie, jeśli tylko znajdzie się właściwą ofiarę i spali ją ze swoim ciałem, wstępując na jego wagę.

W każdym przypadku trzeba było umrzeć, żeby się tam dostać.

Praca toczyła się dalej. Nailer ściągał izolację z miedzi i rzucał ją za burtę. Słońce prażyło wszystkich równo. Skóra im lśniła. Słone krople potu przesiąkały przez włosy i skapywały do oczu. Dłonie robiły się śliskie, a tatuaże ekipy połyskiwały na zaczerwienionych policzkach jak misterne węzły. Przez chwilę gadali i żartowali, ale stopniowo milkli, wczuwając się w rytm pracy, budując z miedzi góry dla kogoś bogatego, kto mógł sobie na nią pozwolić.

- Szef idzie!

Wołanie dobiegło znad wody w dole. Wszyscy się przygarbili, starali się wyglądać na zajętych, czekali, kto się wyłoni zza relingu. Jeśli to czyjś inny szef, można się będzie rozluźnić...

Bapi.

Nailer skrzywił się, gdy szef ich ekipy, sapiąc, przegramolił się przez reling. Czarne włosy świeciły, a brzuch utrudniał włożenie po trapie, ale chodziło o kasę, więc śmieciarz dawał radę.

Oparł się o poręcz, żeby złapać oddech. Górę podkoszulki, którą wkładał do pracy, zmoczył pot. Na tkaninie było widać żółte i brązowe plamy z jakiegoś curry czy kanapki, którą jadł na obiad. Nailer robił się głodny od samego patrzenia na to żarcie na jego piersi, ale jedzenie miało być dopiero wieczorem - nie było sensu patrzeć na coś, czym Bapi się w życiu nie podzieli.

Bystre ciemne oczy przypatrzyły im się, czujne na oznaki lenistwa i niewykonania przydziału. Choć i wcześniej nikt z nich nie próżnował, przy Bapim pracowali jeszcze szybciej, usiłując pokazać, że warto ich zatrzymać. Bapi sam wcześniej pracował w lekkiej ekipie: znał wszystkie ich sztuczki, wszystkie maskujące lenistwo numery. Był przez to groźny.

- Co tam macie? - zapytał Pimę.

Pima uniosła wzrok, mrużąc oczy od słońca.

- Miedź. Dużo. Nailer znalazł nowe kanały, które przegapiła ekipa Ładnego.

Białe zęby Bapiego błysnęły, ukazując szczerbę na przedzie, pozostałą po tym, jak w bójce stracił siekacze.

- Ile?

Pima wskazała brodą Nailera, dając mu prawo głosu.

- Jak dotąd, może sto, sto dwadzieścia kilo - oszacował. - Ale tam jest więcej.

- Taa? - Bapi kiwnął głową. - No to wyciągajcie, tylko się pośpieszcie. Izolację sobie darujcie. Tylko wszystko wyciągnijcie. - Zerknął na horyzont. - Lawson & Carlson mówią, że nadciąga sztorm. Duży. Parę dni nie da się wleźć na wraki. Chcę mieć tyle kabla, żebyście mogli pracować nad nim na piasku.

Nailer stłumił niechęć wobec powrotu w ciemność, ale Bapi musiał coś zauważyć.

- Co, Nailer, coś nie tak? Myślisz, że jak sztorm, to można siedzieć na dupie? - Machnął ręką ku roboczym obozowiskom rozłożonym na plaży od strony dżungli. - Myślisz, że nie mam stu innych wszarzy na twoje miejsce? Są tam dzieciaki, które by sobie dały oko wyłupić, żeby tylko wsadzić je na wrak.

- Nailer nic do szefa nie ma - wtrąciła się Pima. - Trzeba kabla, to go wyciągniemy.

Nie ma problemu. - Łypnęła na Nailera. - Ekipa działa. Nie ma problemu.

Bapi zerknął na Nailera.

- Na pewno chcesz za niego poręczyć? Mogę mu przejechać nożem po tatuażach i wykopać na piasek.

- Świetny złomiarz - powiedziała. - Dzięki niemu jesteśmy do przodu.

- Tak? - Bapi jakby trochę ustąpił. - No dobra, ty tu rządzisz. Ja się nie wtrącam. - Przyjrzał się Nailerowi. - A ty, chłopak, uważaj. Wiem, co sobie tacy myślą. Każdy sobie wyobraża, że będzie drugim Fuksiarem. Marzy, że znajdzie wielki zbiornik z ropą i więcej w życiu nie będzie musiał pracować. Twój stary też był takim leniem. I sam widzisz, jak teraz wygląda.

Nailer poczuł, że wzbiera w nim gniew.

- Ja o szefa ojcu nie gadam.

Bapi parsknął śmiechem.

- Co? Będziesz się ze mną bić? Albo dźgniesz mnie od tyłu, tak jak zrobiłby twój stary? - Dotknął noża. - Pima za ciebie poręczyła, ale do ciebie chyba nie dociera, jaką ci zrobiła przysługę.

- Nailer, dajże spokój - poprosiła Pima. - Twój stary nie jest tego wart.

Bapi patrzył na Nailera z nieznacznym uśmiechem. Dłoń dalej trzymał w pobliżu noża. Miał w garści wszystkie atuty i obaj o tym wiedzieli. Nailer pochylił głowę i stłumił złość.

- Będzie złom, będzie, szefie. Nie ma problemu.

Bapi stanowczo kiwnął głową.

- Bystrzejszy jesteś niż twój stary. - Odwrócił się do reszty ekipy. - Słuchajcie. Nie ma dużo czasu. Jak do sztormu wyciągnięcie jeszcze jakiś złom, dam wam premię. Niedługo wchodzi tu inna lekka ekipa. Nie będziemy im zostawiać nic łatwego do wzięcia, co?

Uśmiechnął się drapieżnie, a oni wszyscy kiwnęli głowami.

- Nic do wzięcia - powtórzyli.

Rozdział II

Nailer zapuścił się w głąb tankowca dalej niż kiedykolwiek. W ciemności nie połyskiwały znaki żadnych ekip, żadne ślady innych łązących po kanałach złomiarzy nie zakłócały równej warstwy kurzu i szurzących odchodów.

Nad nim biegły trzy oddzielne miedziane przewody - szczęśliwe znalezisko, oznaczające, że może nawet uda im się zrealizować przydział Bapiego, jednak trudno mu było się z tego cieszyć. Maska cały czas się zatykała, a wracając w pośpiechu do kanału, zapomniał odnowić LEDową farbę na czole. Gdy ciemność się nad nim zamknęła, gorzko tego pożałował.

Zerwał z zacisków kolejne pasmo płaczącego się kabla. Odnosił wrażenie, że kanał się zwęża, choć ilość miedzi rosła. Posunął się naprzód, lecz kanał zatrzeszczał, jęcząc pod jego ciężarem. Opary ropy paliły go w płuca. Żałował, że nie może po prostu zrezygnować i stąd wyleźć. Gdyby teraz zawrócił, w dwadzieścia minut byłby z powrotem na pokładzie i oddychał świeżym powietrzem.

Ale co, jeśli złomu będzie za mało?

Bapi już i tak go nie lubił. A Leserka aż się paliła, żeby zająć jego miejsce. W pamięci cały czas miał jej słowa: „Ja bym wyciągnęła ze dwadzieścia razy tyle, co on”.

Takie ostrzeżenie. Miał teraz konkurencję.

Nieważne, że Pima za niego poręczyła. Jeśli nie uda mu się zrobić przydziału, Bapi przetnie mu robocze tatuaże i weźmie Leserkę na próbę. I Pima ni cholery nic na to nie poradzi. Nikogo nie warto trzymać w ekipie, jeśli nie przynosi zysku.

Przesunął się naprzód, gnany chciwymi słowami Leserki. W dłonie wpadało mu coraz więcej miedzi. Plamka na czole przestała świecić. Był sam. Żeby wyjść na zewnątrz, miał tylko ślad z zerwanego kabla elektrycznego. Po raz pierwszy w życiu przestraszył się, że może nie trafić do wyjścia. Tankowiec był olbrzymi, wół roboczy z epoki ropy, istne pływające miasto. A on siedział głęboko w jego bebeczach.

Kiedy umierał Mały Jackson, nikt nie był w stanie go znaleźć. Słyszeli, jak wali w blachę i woła, ale nikomu nie udało się dostać do sekcji podwójnego kadłuba, w której uwiązał. Rok później ciężka ekipa odcięła kawał kadłuba i zmumifikowany trupek małego wszarza wypadł jak pigułka z opakowania. Suchy jak pieprz, trzeszczał, uderzając o pokład. Obgryziony przez szczury i zasuszony.

Nie myśl o tym. Tylko ściągniesz na statek jego ducha.

Kanał dalej się zwężał, napierał mu na barki. Zaczął wyobrażać sobie, że utyka jak korek w butelce. Unieruchomiony w ciemności, niezdolny się uwolnić. Napiął mięśnie rąk i zerwał kolejny odcinek przewodu.

Wystarczy. Wystarczy aż nadto.

Wydrapał na blasze znak ekipy Bapiego - choć po omacku, ale spróbował jednak oznaczyć sobie teren na później. Zwinął się w kłębek i spróbował odwrócić. Kolana pod brodę, łokcie i kręgosłup szorowały po ścianach kanału. Zawracał. Złożył się jeszcze ciaśniej, wypuścił powietrze, walcząc z obrazami korków, butelek i Małego Jacksona umierającego samotnie w ciemności. Jeszcze ciaśniej. Odwracał się. Nasłuchiwał, jak kanał skrzypi, gdy napiera na blachę.

Udało się. Sapnął z ulgą.

Za rok już będzie do tego za duży i Leserka na pewno zajmie jego niszę. Może sobie być mały na swój wiek, ale w końcu każdy wyrasta z roboty w lekkiej ekipie.

Poczłogał się kanałem z powrotem, zwijając druty przed sobą. Najgłośniej słyszał własny chrapliwy oddech w masce. Przystanął, sięgnął przed siebie, wymacał przewód, sprawdził, czy tam jest, czy dalej prowadzi go ku światłu.

Nie panikuj. Sam ten kabel zerwałeś. Po prostu idź po nim i tyle...

Coś zachrobotło za jego plecami.

Nailer znieruchomiał, po plecach przeszły mu ciarki. Pewnie szczur. Ale brzmiało jak coś dużego. W myślach pojawił się, nieproszony, inny obraz. Mały Jackson. Wyobraził sobie pełznącego za nim przez mrok ducha zmarłego chłopaka. Jak go tropi. Jak łapie go za kostki suchymi, kościstymi palcami.

Stłumił panikę. To tylko zabobon. Paranoja jest dla Luni, nie dla niego. Zaczął się jednak bać. Zaczął spychać zdobyczny drut na bok, nagle tęskniąc za świeżym powietrzem i światłem. Wyjdzie, maźnie się LEDową farbą, potem wróci i zobaczy, o co chodzi. Pieprzyć Leserkę i Bapiego. Potrzebuje powietrza.

Zaczął przeciskać się ponad splątany zwojem miedzi. Kanał niebezpiecznie zatrzeszczał pod połączonym ciężarem jego i kabla. Głupio zrobił, że tyle naciągnął. Trzeba go było pociąć na kawałki i dać Pimie i Leserce wyciągnąć. Ale się śpieszył, a teraz, kto by pomyślał, zebrał za dużo. Przecisnął się dalej, odpychając zwoje na bok. Skopując z nóg ostatnie płaczące się druty, poczuł falę triumfu.

Kanał zatrzęsł się pod nim z głośnym jękiem.

Nailer zamarł.

Cały kanał wokół trzeszczał i piszczął. Trochę obwisł, przekrzywił się. Zaraz się

zawali. Osłabiły go gorączkowe ruchy Nailera i dodatkowy ciężar.

Rozłożył ciężar ciała na większą powierzchnię i leżał nieruchomo, z bijącym sercem. Próbował wyczuć intencje kanału. Blacha ucichła. Czekał. Nasłuchiwał. Wreszcie przesunął się naprzód, delikatnie przenosząc ciężar ciała.

Blacha zaskrzypiała przeraźliwie. Kanał usunął się spod niego. Nailer rozpaczliwie szukał uchwytu, gdy wokół walił się cały świat. Palce chwyciły zdobyczny kabel. Przez sekundę wisiał na nim, zawieszony nad nieskończoną przepaścią. Potem kabel puścił. Spadł.

Nie chcę być jak Mały Jackson nie chcę być jak Mały Jackson nie...

Uderzył w ciecz, ciepłą i lepłą. Czerń pochłonęła go prawie bez jednej zmarszczki na powierzchni.

Rozdział III

Pływaj kurna pływaj kurna pływaj...

Pływaj!

Nailer spadał w ciepłą, śmierdzącą toń jak kamień. Jakby usiłował pływać nie w wodzie, lecz w gęstym powietrzu. Choćby nie wiem jak walczył, ciepło wsysało go coraz głębiej.

Czemu tu się nie da pływać?

Pływał dobrze. Nigdy nie bał się utonięcia w oceanie, nawet przy dużej fali. Ale teraz tonął i tonął. Dłoń wplątała mu się w coś twardego - drut miedziany. Chwycił go, z nadzieją, że jeszcze trzyma się kanałów na górze.

Przesunął mu się między palcami, śliski i tłusty.

Ropa!

Zwalczył panikę. W ropie nie dało się pływać. Po prostu pochłaniała cię jak ruchomy piasek. Raz jeszcze zagarnął palcami przewody i owinał je wokół dłoni, żeby się nie ślizgały. Przestał tonąć. Zaczął się wydzwigiwać z tej mazi. Płuca domagały się powietrza. Ręka za ręką wspinał się wyżej. Walczył z odruchem oddychania, z żądzą, by się poddać i napęlić płuca ropą. To było takie proste by...

Wynurzył się z ropy jak wieloryb, tłusty płyn ściekał mu warstwami po twarzy. Otworzył usta do wdechu.

Nic. Tylko dziwny ucisk na twarzy.

Maska!

Zdarł ją, dysząc. Nabrał powietrza. Opary ropy paliły w płuca, ale można było oddychać. Czystym wnętrzem maski zeskrobał ropę z oczu. Otworzył je. Potwornie paliły i piekły. Łzy nabiegły mu do oczu. Zamrugął nerwowo.

Sama ciemność. Jak w grobie.

Był w jakiejś komorze z ropą. Może to zapasowy zbiornik, może skądś wyciekła, a może...? Nie miał pojęcia, w którym miejscu statku się znajduje. Jeśli naprawdę miał pecha, był w jednym z głównych zbiorników na paliwo. Skończył ocierać oczy i wyrzucił bezużyteczną maskę. Od oparów kręciło mu się w głowie. Ścisnął przewody i zmuszał się do płytkiego oddychania. Piekła pokryta ropą skóra. Gdzieś z daleka dobiegał słaby stukot młotów - robotnicy rozbierający statek, nieświadomi jego katastrofy.

Dłonie zaczęły mu się zsuwać. W desperacji chwycił mocniej kabel, zahaczając

ramieniem o zwoje. Kanał w górze groźnie zaskrzypiał. Przeszył go strach. Parę pasm kabla sięgającego do tego kanału na górze - tylko tyle dzieliło go od utopienia. Jednakże i to bezpieczeństwo było tymczasowe. Niedługo kanał się podda, a on znów pójdzie na dno, płuca wypełnią się ropą, będzie się miotał i dławił...

Uspokój się, debilu.

Zastanowił się, czy znów nie popłynąć, ale porzucił ten pomysł. To mózg z nim igrał, podpowiadał mu, że ciecz wokół to właściwie woda. Ropa to co innego. Nie wypierała ciała, choćby nie wiem jak się starać. Po prostu je połykała. Nailer raz widział, jak człowiek z ciężkiej ekipy utonął w ten sposób. Chwilę młócił powierzchnię, krzycząc w panice, potem poszedł w dół, na długo, zanim ktokolwiek był w stanie rzucić mu linę.

Nie panikuj. Myśl.

Sięgnął ręką, wyciągając palce w mrok. Aby dotknąć czegokolwiek: ściany, jakiegoś pływającego śmiecia, wszystko jedno czego, żeby tylko zorientować się, gdzie jest. Dłoń nie znalazła nic poza powietrzem i lepką ropą. Od ruchów kanał nad głową zatrzeszczał. Druty opadły odrobinę i Nailer wstrzymał oddech, czekając aż zacznie tonąć, przewody jednak się zatrzymały.

- Pima! - krzyknął.

Głos odbił się szybkim echem ze wszystkich stron.

Nailer zdziwiony ścisnął kabel. Sądząc po odgłosie, pomieszczenie nie było tak duże, jak myślał. Gdzieś w pobliżu były ściany.

- Pima!

Znowu to szybkie echo.

To nie mógł być wielki zbiornik. O wiele, wiele mniejszy. Podniesiony na duchu wyczuwaną obecnością ścian, Nailer znów sięgnął. Ale tym razem nie ręką, lecz palcami stopy.

Po dwóch próbach natrafił na szorstki metal. Jakąś ścianę i coś jeszcze... Nailer z ulgą nabrał powietrza. Cienka rurka sunąca w poprzek. Tylko centymetr średnicy, ale i tak lepsza niż zwój drutów dyndających z nadłamanego kanału.

Bez namysłu rzucił się ku ścianie.

Gdy się poruszył, kanał nad głową załamał się z jękiem. Nailer zanurzył się, miotając się i szukając cienkiej rurki. Dotknął dłońmi ściany, ześliznął się. Chwytał. Podciągnął się, trzymając się samymi czubkami palców. Drżały z wysiłku. Pływalności ropa nie dawała ani trochę. Już czuł się zmęczony. Długo tak nie wytrzyma.

Szybko przesunął się wzdłuż ściany, szukając lepszego uchwytu. Trochę szczęścia i

może będzie drabina. Dotarł do zakrętu rurki. Skręciła ostro w dół i zniknęła w ropie.

Nailer powstrzymał szloch frustracji. Zginie tutaj.

Nie panikuj.

Jeżeli zacznie płakać, ma przerąbane. Musi myśleć, a nie ryczeć jak dziecko, umysł już jednak miał oszołomiony i myślał chaotycznie. Załatwiały go opary. Nailer wiedział, jak to się skończy. Jeszcze trochę pooddycha trującym powietrzem, uczepony ściany jak karaluch, w końcu jednak zmęczy się i naćpa na tyle, że po prostu się zsunie.

Jak można tak głupio zginąć? To nawet nie był zbiornik paliwa, po prostu jakieś pomieszczenie, do którego spłynęła ropa. Kpina po prostu. Fuksiarz znalazł na statku trochę ropy i wykupił się na wolność. Nailer też - i ona go zaraz zabije.

Utopię się w pieprzonej forsie.

Omali nie parsknął śmiechem na tę myśl. Nikt dokładnie nie wiedział, ile ropy znalazł i przemycił Fuksiarz. Robił to powoli, przez dłuższy czas. Wykładał ją wiadro za wiadrem, aż miał dość, żeby wykupić się ze służby i zedrzeć robocze tatuaże. Zostało mu tyle, że mógł ustawić się jako pośrednik pracy, sprzedający wakaty w bardzo ciężkich ekipach, z których sam się wydostał. Urządziło go tak tylko trochę ropy, a Nailer siedział w tym gównie po szyję.

- Nailer?

Słabiutko i bardzo daleko.

- Leserka! - Nailerowi z ulgi aż załamał się głos. - Tu jestem! Na dole! Spadłem! - Z ekscytacji wierzgnął nogami. Ropa wokół zafalowała.

Gdzieś wysoko ciemność rozświetliła odrobina zielonego światła. W otworze kanału dostrzegł twarz złomiarki Leserki, z LEDową smugą na czole.

- Cholera. Spierdzieliłeś sprawę, co, Nailer?

- No tak. Spierdzieliłem. - Uśmiechnął się słabo.

- Pima wysłała mnie po ciebie.

- Powiedz jej, że potrzebna mi lina.

Długa przerwa.

- Bapi nie pozwoli.

- Czemu?

Kolejne długie milczenie.

- Chce miedzi. Wysłał mnie po miedź. Zanim nadciągnie sztorm.

- Rzućcie mi linę i tyle.

- Muszę wyrabiać przydział. - Twarz ze światełkiem cofnęła się. - Pima kazała mi

przynieść ci różne rzeczy. Gdybyś potrzebował pomocy.

Nailer się skrzywił.

- Widzisz gdzieś jakąś drabinę?

Kolejna długa pauza. Oboje rozglądali się w ciemności, podążając wzrokiem za światełkiem zielonej plamki. Nic. Ani drabiny, ani drzwi. Tylko zardzewiałe pomieszczenie wypełnione mrokiem.

- A co ci się stało? - zapytała. - Coś sobie złamałeś?

Nailer pokręcił głową, zanim uświadomił sobie, że ona go pewnie za dobrze nie widzi.

- Pływam w ropie. Powiedz Bapiemu, że siedzę po szyję w ropie. Tysiąc galonów. Nie straci, jeśli mnie wyciągnie. Jest tu masa tej ropy dla niego.

Kolejna przerwa.

- Tak? Dużo?

Nailera zmroziło, gdy dotarło do niego, że cwana Leserka właśnie liczy, co jej się opłaci.

- Nie myśl sobie, że ci się uda jak Fuksiarzowi.

- Fuksiarzowi się udało.

- Jesteśmy jedną ekipą - powiedział Nailer, starając się nie okazać w głosie strachu. - Powiedz Pimie, że tu jest ropa. Tajny zbiornik. Jak nie powiesz, będę cię nawiedzał jak Mały Jackson, a potem wrócę i wypruję ci flaki we śnie.

Cisza. Leserka myślała.

Nailer poczuł nagłą falę nienawiści do niej. Chuda, zagłodzona dziewczyna siedząca tam na górze ma władzę nad wszystkim: może pomóc, może zabić, może przynajmniej powiedzieć Bapiemu, że na uratowaniu Nailera da się coś zarobić - a ona tam siedzi i siedzi.

- Leserka?!

- Zamknij się. Myślę.

- Jesteśmy ekipą - przypomniał. - Przysięgaliśmy na krew.

Wiedział jednak, co ona sobie kalkuluje, jak jej cwany umysł rozpatruje kwestię ze wszystkich stron, wyczuwa masę bogactwa, tajemny skarb, który będzie mogła później splądrować, jeśli tylko Mojry i Święty Rdzy będą jej sprzyjać. Miał ochotę na nią wrzasnąć, chwycić i ściągnąć w dół. Niech się dowie, jak to jest, tonąć i oddychać ropą.

Ale nie wolno było na nią krzyżeć. Nie wolno było jej denerwować. Bo jej potrzebował. Musiał ją przekonać, żeby go uratowała.

- Nikomu nie powiemy - zaproponował. - Razem zaliczymy fuksa.

- Sam powiedziałaś, że w niej pływasz - odparła po dłuższej chwili. - Niech tylko ktoś cię zobaczy, od razu się dowie, że znalazłeś jakiś zbiornik.

Skrzywił się. Za bystra, kurna. Cały problem z takimi dziewczynami polega na tym, że są za cwane.

- Jesteśmy ekipą - powtórzył, ale podejrzewał, że nie ma to sensu. Za dobrze ją znał. Wszystkich ich za dobrze znał. Wszyscy byli wygłodniali. Wszyscy tylko gadali, co zrobią, jak trafi im się fuks. A tu proszę: Leserka się trafia. Takie szanse nie leżą na ulicy. Musiała zaryzykować. To była jej szansa.

„Proszę”, błagał w myślach. „Proszę, niech okaże się dobra, jak Pima. Jak Pima i jej mama. Niech nie będzie jak tato. O Mojry, niech nie będzie jak tato”.

- Pima powiedziała, że mam ci to wszystko dać. Jeśli cię znajdę - powiedziała Leserka.

- No to mnie znalazłaś.

- No tak. Pewnie. - Szelest. - Masz tu jedzenie i wodę.

W zielonym blasku plamki na czole zobaczył przelatujący cień. Spadł i chlupnął. Ledwo widział pływające na powierzchni blade przedmioty. Już zaczynały tonąć. Wyciągnął się ku nim, starając się cały czas trzymać dłońmi ściany. Udało mu się złapać butelkę z wodą, zanim zniknęła. Wszystko inne już przepadło. Gdy Leserka poszła, ciemność znów się nad nim zamknęła.

- Dzięki! Za nic! - krzyknął, ale jej już niebyło.

Nie miał pojęcia, czy Leserka faktycznie zamelduje o wszystkim Pimie, czy po prostu wróci i przyciągnie miedziany drut, zdecydowana wejść na jego miejsce i wymyślić jakiś sposób, by zarobić na tej ropie. A Bapiemu to już na pewno nie powie. Bapi po prostu powiedziałby, że zdobyła to lekka ekipa i wziął wszystko dla siebie.

To znaczyło, że będą mieli przy kablach roboty na wiele godzin... a on wiele godzin czekania, nawet gdyby Pima wiedziała, gdzie Nailer jest i że potrzebuje pomocy.

Jedną dłońią i zębami udało mu się otworzyć plastikową butelkę i napić się z niej, jednocześnie wisząc na ścianie. Pociągnął pierwszy łyk i wypluł go, żeby oczyścić usta z ropy i brudu, a potem napił się, łapczywie i szybko, z bulgotem. Z wdzięcznością. Póki woda się weń nie wlała, nie czuł, jak bardzo był spragniony. Chciwie przełknął resztę i puścił butelkę na powierzchnię. Jeśli zginie, to będzie ostatnia widoczna pamiątka po nim.

Z góry przyplęnęło kilka zgrzytów i chrobotów.

- Leserka?

Dźwięk ustał, potem znów się rozległ.

- No weź, Leserka. Pomóż mi.

Sam nie rozumiał, czemu mu się jeszcze chce. Ona już zdecydowała. Dla niej już był trupem. Słuchał, jak pracuje nad wyciągnięciem reszty kabla. Palce mu słabły. Ropa podchodziła do brody. O Mojry, jakże był zmęczony. Ciekawe, czy Małego Jacksona też zdradziła jego ekipa. Czy to dlatego małego wszarza znaleziono dopiero rok później. Może ktoś mu celowo dał umrzeć?

Ty nie umrzesz.

Okłamywał się w ten sposób. Przecież utonie. Bez drabiny. Albo drzwi...

Nagle serce zabiło mu mocniej.

Jeśli to faktycznie jest jakieś pomieszczenie przypadkowo zalane ropą, gdzieś w nim muszą być drzwi. Ale na pewno gdzieś na dole, pod powierzchnią. Trzeba będzie zanurkować, zaryzykować. To niebezpieczne.

Przecież i tak utoniesz. Leserka cię nie uratuje.

Ita była prawda. Jeszcze trochę po wisi na ścianie, potem osłabnie, w końcu palce się zmęczą i opadnie na dno.

Już nie żyjesz.

Ta myśl przyniosła niespodziewaną wolność. Naprawdę nie miał już nic do stracenia.

Przesunął się powoli wzdłuż ściany, badając mrok palcami stóp, szukając jakiejś wypukłości czy półki, która świadczyłaby o tym, że pod spodem są drzwi. Za pierwszym razem nie znalazł nic, za drugim jednak zapuścił się głębiej, zanurzając się w ropie po same usta. Otarł o coś palcami. Zadarł głowę, zanurzył jeszcze głębiej, ropa zachlupotała mu wokół policzków, zamknęła się wokół ust i nosa.

Półeczka. Metalowy brzeżek.

Przesunął palcem stopy wzdłuż niego. Domyślał się, że może to framuga drzwi. Nie miały więcej niż metr szerokości.

Ale i taka półeczka była skarbem. Prawie był w stanie odpoczywać, opierając się na niej stopami, odciążając rozdygotane palce. Była dla niego niczym pałac.

Teraz możesz odpocząć, pomyślał. Poczekać na Pimę. Leserka jej powie, że tu siedzisz. Możesz poczekać.

Zdławił tę nadzieję. Pima pewnie by po niego przyszła. Ale Leserka najprawdopodobniej nie wspomniała o nim ani słowem. Był zdany na siebie. Zabalansował na półeczce, na krawędzi decyzji.

W tę albo w tamtą, pomyślał. W tę albo w tamtą. Zanurkował.

Rozdział IV

Czarna maź właściwie nie była gorsza niż mrok nad powierzchnią. Nailer zastępował wzrok rękoma. Obmacał krawędź drzwi, zanurzając się głębiej, rozpoznając ich kontur.

Wymacał koło dociskowe.

Zalała go fala ulgi. Tego typu kółka były na drzwiach w grodziach, solidnych, wodoszczelnych, mających powstrzymać wodę w razie uszkodzenia kadłuba. Szarpnął koło, próbując przypomnieć sobie, w którą stronę powinno się nim kręcić. Nie ustąpiło. Powstrzymał panikę. Jeszcze raz pociągnął. Ani drgnęło. A jemu już kończyło się powietrze.

Wierznął, chcąc wypłynąć, odepchnął się od koła dociskowego, modląc się, by zdążyć. Wynurzył się, zamachał rękami. Palce dopadły cienkiej rurki, cudem chwyciły się jej na moment, nim znów się zanurzył. Gorączkowo otarł twarz, oczyszczając nos, nie otwierając oczu. Wypuścił powietrze przez usta, usuwając z warg ropę. Zacerpnął powietrza nasyconego oparami paliwa.

Nadal nie otwierając oczu, spróbował wymacać drzwi palcami stóp. Przez chwilę miał wrażenie, że je zgubił, potem jednak zaskrobał po rdzy i chwilę później już się na nich opierał. Uśmiechnął się nerwowo. Drzwi z kołem. Szansa. Jeśli tylko uda się to cholerstwo przekręcić.

Z góry znów dobiegło skrobanie. Leserka tam jeszcze pracuje.

- E, Leserka, słyszysz? Znalazłem wyjście. Jeszcze cię dorwę, złomiarko.

Ruch ustał.

- Słyszysz mnie? - Jego głos poniósł się po całym statku. - Wychodzę stąd! I zaraz cię dopadnę.

- Tak? - odpowiedziała Leserka. - To co, mam zawołać Pimę? - W jej głosie zabrzmiała drwina.

Nailer znów pożałował, że nie może wyciągnąć rąk i ściągnąć jej do ropy. Postarał się zabrzmieć rozsądnie.

- Jeśli teraz zawołasz Pimę, zapomnę, że dałaś mi utonąć.

Długa pauza.

W końcu Leserka odparła:

- Już przepadło, nie? Nailer, ja cię znam. Tak czy owak powiesz Pimie, a wtedy ja wylatuję z ekipy i wchodzi ktoś inny. - Kolejna pauza, po czym dodała: - Teraz to już tylko Mojry. Jak znajdziesz wyjście, to do zobaczenia na zewnątrz. I wtedy się zemścisz.

Nailer się nachmurzył. Spróbować nie szkodziło. Pomyślał o czekających w dole drzwiach. Mogą być zamknięte od drugiej strony. Może dlatego to koło nie chciało się przekręcić. Może...

Jeżeli są zamknięte, zginiesz. Żadna różnica. Nie ma co się tym zamartwiać.

Wziął głęboki wdech i znów zszedł w dół.

Tym razem, mając więcej powietrza i wiedząc, co chce zrobić, szybko znalazł koło i starannie się nim zajął. Oparł stopy na ramie wjazdu, wymacał klamkę. Najpierw trzeba je rozszczelnić tym kołem, potem pociągnąć za klamkę. Ponownie spróbował obrócić koło. Nic. Naparł na nie, ustawiając się bokiem i zapierając nogami.

Nic.

Zahaczył o nie łokciem. Choć kończyło się mu powietrze, nie chciał się poddać. Pociągnął. Pociągnął jeszcze raz, mocniej, koło wrzynało mu się w zgięcie ręki. Płuca aż pękały.

- Słyszysz mnie? - Jego głos poniósł się po całym statku. - Wychodzę stąd! I zaraz cię dopadnę.

- Tak? - odpowiedziała Leserka. - To co, mam zawołać Pimę? - W jej głosie zabrzmiała drwina.

Nailer znów pożałował, że nie może wyciągnąć rąk i ściągnąć jej do ropy. Postarał się zabrzmieć rozsądnie.

- Jeśli teraz zawołasz Pimę, zapomnę, że dałaś mi utonąć.

Długa pauza.

W końcu Leserka odparła:

- Już przepadło, nie? Nailer, ja cię znam. Tak czy owak powiesz Pimie, a wtedy ja wylatuję z ekipy i wchodzi ktoś inny. - Kolejna pauza, po czym dodała: - Teraz to już tylko Mojry. Jak znajdziesz wyjście, to do zobaczenia na zewnątrz. I wtedy się zemścisz.

Nailer się nachmurzył. Spróbować nie szkodziło. Pomyślał o czekających w dole drzwiach. Mogą być zamknięte od drugiej strony. Może dlatego to koło nie chciało się przekręcić. Może...

Jeżeli są zamknięte, zginiesz. Żadna różnica. Nie ma co się tym zamartwiać.

Wziął głęboki wdech i znów zszedł w dół.

Tym razem, mając więcej powietrza i wiedząc, co chce zrobić, szybko znalazł koło i starannie się nim zajął. Oparł stopy na ramie wjazdu, wymacał klamkę. Najpierw trzeba je rozszczelnić tym kołem, potem pociągnąć za klamkę. Ponownie spróbował obrócić koło. Nic. Naparł na nie, ustawiając się bokiem i zapierając nogami.

Nic.

Zahaczył o nie łokciem. Choć kończyło się mu powietrze, nie chciał się poddać. Pociągnął. Pociągnął jeszcze raz, mocniej, koło wrzynało mu się w zgięcie ręki. Płuca aż pękały.

Koło się obróciło.

Nailer zdwoił wysiłki. W polu widzenia zaczęły mu latać złote, niebieskie i czerwone mroczki. Koło kręciło się dalej, coraz luźniej. Wariował z braku powietrza, ale się trzymał, walcząc z pragnieniem wypłynięcia, kręcąc kołem coraz szybciej i szybciej, aż ból w płucach stał się nie do wytrzymania. Rzucił się do góry, pijany nadzieją.

Pełen zapału, zaczął się hiperwentylować po raz ostatni, głośno sapiąc w ciemności.

Zanurkował.

Kręcił, kręcił i kręcił, płuca pękały. Wóz albo przewóz, myślał oszalały od żądy wydostania się na zewnątrz. Szarpnął klamkę. Na sekundę wystraszył się, że drzwi otwierają się do środka i w życiu ich nie ruszy, przyciśniętych ciężarem całej tej masy ropy...

Drzwi się gwałtownie otworzyły.

Nailera wciągnął czarny nurt. Walnął o ścianę. Koziółkując, zwinął się w kłębek. Ropa huczała wokół. Uderzył czołem o metal, omal nie zaczerpnął powietrza, ale wysiłkiem woli zwinął się jeszcze ciaśniej, pozwalając sobą kręcić, miotać i rzucać po okrętowych korytarzach, jak meduzą ciśniętą przez przybój na rafę.

Wpadł prosto w powietrze.

Żołądek omal mu nie wyskoczył. Spadał w dół. Machinalnie otworzył oczy. Piekąca ropa i palące słońce. Jasny jak lustro ocean, niemal biały w swojej świetlistości. Błękitne fale wybiegły mu na spotkanie. Miał tylko sekundę, żeby się obrócić...

Uderzył w wodę. Pochłonęła go morska sól. Falowanie i opadanie oleistej wody. Bujanie przyboju. Nailer zamachał nogami i wypłynął. Wydostał się na słońce, na fale, dysząc ciężko. Nabrał tchu, wypełniając płuca błyszczącym, czystym tlenem, głodny życia, którego utraty był już pewien.

Wysoko nad nim, otwór w burcie tankowca nadal pluł ropą, pokazując miejsce, z którego został wyrzucony na zewnątrz. Czarne strugi paliwa spływały po blachach tłustymi strugami. Spadł z piętnastu metrów do płytkiej wody i przeżył. Zaczął się śmiać.

- Ja żyję! - krzyknął. A potem już się darł, czując falę zwycięskiego triumfu i uwolnionego strachu, upojony słońcem, falami i tłumem gapiących się nań z brzegu ludzi.

Popłynął ku plaży, cały czas się śmiejąc, upojony faktem, że przeżył. Fale chwyciły go i popychały do brzegu. Uświadomił sobie, że miał podwójne szczęście. Gdyby nie

nadszedł przyływ, nie wpadłby do wody, tylko walnął o piasek.

Wyczołgał się z fal i wstał. Nogi miał słabe od długiego pływania, ale stał na suchym lądzie i żył. Roześmiał się obłąkańczo na widok Bapiego, Li, Raina i setek innych robotników i członków ekip, którzy patrzyli na niego w osłupieniu.

- Ja żyję! - krzyczał do nich. - Ja żyję!

Nie odezwali się ani słowem. Tylko się gapili.

Nailer już miał znów krzyknąć, ale coś w ich twarzach kazało mu spojrzeć w dół.

Wokół kostek chlupotała mu morska piana, rdza i odłamki drutu. Muszelki i izolacja. Z pianą mieszała się jego własna krew. Spływała strumieniami po nogach, jaskrawa, czerwona, miarowo barwiąc wodę w rytm bicia jego serca.

Rozdział V

- Masz szczęście - powiedziała matka Pimy. - Powinieneś już nie żyć.

Nailer był zbyt zmęczony, by odpowiedzieć, ale zmusił się do słabego uśmiechu.

- A jednak żyję.

Matka Pimy podsunęła mu pod nos ostrze z zardzewiałej blachy.

- Gdyby to siedziało cał głębiej, to wypłynąłbyś w charakterze padliny. - Spojrzała nań poważnie. - Masz szczęście. Mojry dziś cię mocno trzymały. Mógł być z ciebie kolejny Mały Jackson. - Podała mu zardzewiały odłamek. - Zachowaj to. Jako talizman. To chciało cię dopaść. Celowało w płuco.

Wyciągnął dłoń po metal, który omal go nie zarznął, i skrzywił się, naciągawszy sobie szwy.

- Widzisz? - dodała. - Dziś jesteś błogosławiony. Mojry cię kochają.

Nailer pokręcił głową.

- Ja nie wierzę w Mojry. - Powiedział to jednak na tyle cicho, żeby nie usłyszała.

Gdyby Mojry istniały, wrzuciłyby go do jednej szufladki z ojcem, a to byłoby fatalnie.

Już lepiej myśleć, że życiem rządzi przypadek, niż że cały świat chce cię dopaść. Mojry były w porządku, jeśli było się Pimą i miało szczęście mieć dobrą matkę i ojca, który okazał się na tyle miły, że zmarł, zanim zaczął bić. Ale inni? Niech lepiej uważają.

Matka Pimy uniosła wzrok, przypatrzyła mu się ciemnymi oczyma.

- No to pomódl się do jakiego innego boga, w co tam sobie wierzysz. Mnie obojętne, czy to Ganeśa z głową słonia, Jezus Chrystus, Święty Rdzy czy twoja zmarła matka. Jedno jest jasne: ktoś miał cię w opiece. Nie opluwaj tego daru.

Nailer kiwnął posłusznie głową. Matka Pimy to najlepsze, co mu się w życiu przydarzyło. Nie miał ochoty jej drażnić. Jej buda z foliowych płacht, starych desek i palmowych liści była najbezpieczniejszym miejscem, jakie znał. Tu zawsze mógł liczyć, że podzielią się z nim krabami albo ryżem, a w dni, kiedy nie było nic do jedzenia, no cóż, mógł mieć chociaż pewność, że między tymi ścianami - pod dyndającymi niebieskimi Oczami Mojry i pobrużdżoną figurką Świętego Rdzy - nikt nie będzie próbował dźgnąć go nożem, bić się z nim, albo go okraść. Tu, w miejscu przesyconym siłą Sądny, strach i napięcie nie miały szans.

Poruszył się delikatnie, sprawdzając szwy i opatrzone rany.

- O wiele lepiej, Sadna. Dzięki, że mnie połątałaś.

- Mam nadzieję, że ci to pomoże. - Nie uniosła głowy. Myła w wiaderku z wodą noże ze stali nierdzewnej. Woda zrobiła się cała czerwona. - Jesteś młody, od niczego nie jesteś uzależniony. I mów sobie co chcesz o swoim ojcu, ale masz w sobie tę twardość Lopezów. Masz szansę.

- Myślisz, że dostanę infekcji?

Matka Pimy wzruszyła ramionami, pod podkoszulką zafalowały węzłaste mięśnie. Czarna skóra zaślniła w blasku oświetlającej budę świecy. Opuściła własną zmianę, żeby go opatrzeć. Nie wyrobiła przydziału, dzięki Pimie, która miała dość rozumu, żeby po nią pobiec, kiedy dowiedziała się, że zaginiony chłopak z ekipy jest na płyciźnie, a nie na górze w kadłubie statku.

- No, nie jestem pewna - powiedziała. - Nieźle cię pocięło. Skóra powinna cię chronić, ale woda jest tu brudna, a ty do tego byłeś w ropie. - Pokręciła głową. - Nie jestem lekarzem.

Chciał to obrócić w żart.

- Nie trzeba mi lekarza. Tylko igły z nitką. Łatasz mnie jak żagiel i jestem jak nowy.

- Staraj się zachować je w czystości. Jeśli dostaniesz gorączki, albo skóra zacznie ci ropieć, to mnie znajdź. Obłożymy czerwiami i zobaczymy, czy to pomoże.

Nailer skrzywił się, ale kiwnął głową pod jej groźnym spojrzeniem i ostrożnie usiadł. Postawił stopy na podłodze, patrząc, jak Sadna krząta się po pomieszczeniu, wyciąga ciemność krwawą wodę, potem wraca. Wyprostował się i ostrożnie przesunął ku drzwiom. Rozsunął płaty folii, żeby spojrzeć na plażę.

Wraki świeciły się nawet w nocy - ludzie pracowali przy pochodniach, miarowo kontynuując rozbiórkę. Wyglądały jak ogromne czarne cienie na de jaskrawych punkcików gwiazd i łuku Drogi Mlecznej nad głową. Pochodnie migotały, podskakiwały i poruszały się. Po wodzie niósł się łoskot młotów. Uspokajające odgłosy pracy, aktywności, powietrze śmierdzące węglowym dymem z wytapiaczy i świeżą, słoną bryzą od oceanu. Piękne to było.

Nie miał o tym pojęcia, dopóki omal nie zginął. Ale teraz, gdy się stamtąd wydostał, Bright Sands Beach była najpiękniejszym miejscem, jakie w życiu widział. Nie mógł przestać patrzeć, nie mógł przestać uśmiechać się do idących po piasku ludzi, do ognisk, nad którymi piekli złowione na płyciźnie tilapie, do brzęczenia muzyki i krzyków pijaków z walibud. Wszystko to było piękne.

Prawie tak piękne jak widok Leserki ganieanej kopniakami po plaży, z pełnymi łez oczyma, gdy Sadna zszywała mu rany. Bapi sam przeciął jej nożem tatuaże lekkiej ekipy,

wyrzekając się jej całkowicie. Już nigdy nie dostanie pracy przy rozbiórce statków. I pewnie nigdzie indziej. Nie po złamaniu przysięgi krwi. Udowodniła, że nikt nie może jej ufać.

Nailer zdziwił się, że Leserka nie protestuje. Sam nie zamierzał jej wybaczyć, ale szanował to, że kiedy Bapi wyciągnął nóż, nie błagała i nie protestowała. Wszyscy wiedzieli, jaka jest stawka. Co się stało, to się nie odstanie. Zaryzykowała i przegrała. Tak to w życiu jest. Są Fuksiarze i są Leserki; są Mali Jacksonowie i cholerni szczęściarze, jak on. Dwie strony tej samej monety. Rzuca się losem w powietrze, los spada na planszę i żyjesz albo giniesz..

- To Mojry - mruknęła matka Pimy. - Wzięły cię pod swoje skrzydła. I nie wiadomo, co z tobą zrobią. - Patrzyła nań niemal ze smutkiem.

Chciał zapytać, o co chodzi, ale przez drzwi wpadła Pima z resztą ekipy.

- Ej, ej! - powiedziała. - Popatrzcie no na naszego złomiarza! - Przyjrzała się opuchniętym ranom i szwom. - Niezłe ci zostaną blizny, wiesz, Nailer?

- Na szczęście - dodała Lunia. - Lepsze niż tatuaż Świętego Rdzy. - Wręczyła mu butelkę.

- Co to? - zapytał Nailer.

Lunia wzruszyła ramionami.

- Prezent na szczęście. Bóg ma cię teraz w objęciach. A ja chcę być bliżej Boga.

Nailer uśmiechnął się, pociągnął łyk, zdziwił się, jaki porządny dostał alkohol.

Pima parsknęła śmiechem.

- To Black Ling. - Nachyliła się. - Tiktak ją ukradł. Świrus po prostu wyniósł ją z jadalni Chena. Rozumu może nie ma, ale w rękach jest prędko. - Pociągnęła go w stronę brzegu. - Zrobiliśmy ognisko. Trzeba się napić.

- A co jutro z robotą?

- Bapi mówi, że na sto procent będzie sztorm. - Wyszczrzyła się. - Izolację możemy ściągać na kacu, żaden problem.

Ekipa zgromadziła się wokół ogniska, wymieniając się napitkami. Pima poszła gdzieś i chwilę później wróciła z garnkiem ryżu i fasoli, a potem zaskoczyła go, pokazując jeszcze patyk z ugrillowanym gołębiem. Widząc zdziwioną minę Nailera, wyjaśniła:

- Inni ludzie też chcą się znaleźć bliżej Boga i Mojra. Wszyscy widzieli, jak wydostajesz się ze statku. Nikt nie ma takiego szczęścia jak ty.

Napili się, przekazując z ręki do ręki zardzewiały odłamek, który omal go nie zabił. Zastanawiali się, czy nie zrobić z niego talizmanu, ozdoby do powieszenia na szyi. Alkoholowy rausz grzał go, świat wydawał się dzięki niemu lepszy. Przeżył. Skóra aż grała

zyciem. Przyjemny był nawet ból w grzbiecie i barku, gdzie wbił się odłamek blachy. Od tego otarcia się o śmierć całe życie nabrało uroku. Poruszył ramieniem, rozkoszując się bólem.

Pima obserwowała go z drugiej strony ogniska.

- Myślisz, że dasz radę jutro robić?

Nailer zmusił się do kiwnięcia głową.

- Przecież będziemy tylko zdzierać izolację.

- A kogo weźmiemy do łożenia po kanałach? - zapytała Lunia.

Pima się skrzywiła.

- Myślałam wcześniej, że to będzie Leserka. A tak, trzeba będzie zaprzysiąc kogoś nowego. Znowu się pokrwawić.

- A potrzebne to jak cholera - mruknął Tiktak.

- No, wiesz, niektórzy ludzie dotrzymują słowa.

Wszyscy obejrżeli się na plażę, gdzie wyrzucono Leserkę.

Niedługo będzie głodna, będzie potrzebować kogoś, kto ją ochroni. Kogoś, kto podzieli się z nią łupami, kto się za nią wstawi. Bez ekipy ciężko było przetrwać na plaży.

Nailer gapił się na ogniska i myślał o naturze szczęścia. Jedna szybka decyzja Leserki - i rozstrzygnęła się cała jej przyszłość. Nie miała już zbyt wiele opcji i wszystkie bez wyjątku parszywe. Sam ból, krew i rozpacz. Pociągnął po raz kolejny z butelki, zastanawiając się, czy mimo wszystko nie jest mu jej żal.

- Możemy wziąć Teelę - podsunął Perelka. - Mała jest.

- Ma szpotawą nogę - zauważyła Lunia. - Będzie się guzdrać.

- W lekkiej ekipie? Spokojnie da radę.

- Później się zastanowię - powiedziała Pima. - Może Nailer szybko dojdzie do siebie i nie trzeba będzie szukać zastępcy.

Nailer uśmiechnął się kwaśno.

- A może Bapi mnie przetnie i sprzeda mój wakat. To w ogóle nie będzie się trzeba zastanawiać.

- Po moim trupie.

Nikt się nie odezwał. Wieczór był zbyt przyjemny, żeby psuć go paskudnymi spekulacjami. Bapi i tak zrobi co zechce, ale nie ma sensu dziś rozdrapywać tej rany.

Pima jakby wyczuwała ich wątpliwości.

- Ja już rozmawiałam z Bapim - powiedziała stanowczo. - Nailer ma parę dni wolnego. Na koszt szefa. Nawet Bapi chce być bliżej takiego szczęścia.

- Nie wkurzył się, że straciłem tyle ropy?

- No, pewnie też. Ale kable wyszły razem z tobą, więc z tego się z kolei ucieszył. Masz czas, żeby wydobrzeć. Święty Rdzy mi świadkiem.

Brzmiało to aż za dobrze, żeby było prawdziwe. Napił się jeszcze raz. Widział już tyle obietnic dorosłych, które okazywały się pobożnymi życzeniami, że tym razem nie będzie się do tego przywiązywał. Musi jutro stawić się do roboty i szybko odzyskać pełną przydatność. Ostrożnie poruszył barkiem, błagając go, żeby się goił. Parę dni pracy przy izolacji to byłoby szczęście. Jeśli w tym wszystkim jest jakieś szczęście, to właśnie w fakcie, że nadciąga sztorm.

Ale z kolei, gdyby nie sztorm, dwa razy tego samego dnia nie polazłby do kanału.

Napił się, zachwycony widokiem plaży. W nocy nawet nie było widać plam oleju na wodzie. Tylko srebrne odbicia księżyca na wodzie. Daleko, pod horyzontem żarzyło się parę czerwonych i niebieskich światełek, jak magiczne ogniki - światła pozycyjne przecinających Zatokę kliprów.

Żaglowce sunęły bezszelestnie po horyzoncie, pędzone wiatrem tak szybko, że w parę minut ich światła znikają za krzywizną Ziemi. Próbował sobie wyobrazić jak to jest, stanąć na pokładzie takiego statku, zostawiać za sobą plażę i lekką ekipę. Żeglować szybko i swobodnie.

Pima wzięła od niego butelkę.

- Co, śniesz w dzień?

- W nocy. - Nailer wskazał brodą kolorowe światełka. - Pływałaś kiedyś na czymś takim?

- Na kliprze? - Pima pokręciła głową. - No co ty. Widziałam kiedyś jak przybija, mieli do ochrony całą bandę półludzi. Nawet nie pozwoliliby się zbliżyć jakimś śmieciarzom w łódeczce. - Skrzywiła się. - Puścili prąd do wody.

Tiktak się zaśmiał.

- A, pamiętam. Próbowałem odpłynąć i strasznie mnie zaczęło łaskotać.

Pima nachmurzyła się.

- A potem musieliśmy cię wyciągać, jak zdechłą rybę. Mało brakowało, żeby nas wszystkich poraziło.

- Nic by mi się nie stało.

Lunia prychnęła.

- Psiogłowi by cię żywcem zeżarli. Oni tak robią. Nawet nie gotują mięsa. Rozdzierają na żywca i jedzą. Jakbyśmy cię tam zostawili, dłubałoby sobie w zębach twoimi

zebrami.

- A tam, pierdzielicie. Fuksiarz ma jednego półczłowieka w ochronie... jak on się nazywa? - Tiktak zawahał się, nie mogąc sobie przypomnieć imienia. - No nieważne, ale go widziałem. Zęby ma wielkie jak nie wiem, ale ludzi nie je.

- A skąd wiesz? Ci zeżarci już nie przyjdą i się nie poskarżą.

- Bo je kozy - wtrąciła nagle Pima. - Ten półczłowiek je kozy. Na początku, jak się tu pokazał, za pracę w ciężkiej ekipie płacili mu kozami. Mama mówiła, że w trzy dni zżerał całą. - Skrzywiła się. - Lunia ma rację. Lepiej się trzymać od tych potworów z daleka. Nigdy nie wiadomo, kiedy zwierzęca natura weźmie górę i spróbują ci odgryźć rękę.

Nailer przez cały czas patrzył na sunące po głębokiej wodzie światelka.

- Myśleliście kiedyś, jak to jest, wsiąść na coś takiego? Popłynąć takim kliprem?

- Nie wiem. - Pima pokręciła głową. - Pewnie szybko.

- Szybko jak nie wiem - dodała Lunia.

- Szybko jak cholera - powiedział Perełka.

Teraz wszyscy patrzyli na wodę. Chciwie.

- Myślicie, że oni w ogóle wiedzą, że my tu stoimy?

Pima splunęła w piasek.

- Dla nich to jesteśmy muchami na śmieciach.

Światelka poruszały się dalej. Nailer próbował sobie wyobrazić, jak to by było: stać na pokładzie, skakać po falach, pruć pianę. Całe wieczory spędzał kiedyś wpatrzony w zdjęcia kliprów pod pełnymi żaglami, wykradzione z czasopism, które Bapi trzymał w szufladzie w swojej szopie kierownika - i nigdy nie znalazł się bliżej nich niż wtedy. Całymi godzinami gapił się w te opływowe, drapieżne linie, studiował żagle i płaty, gładkie, elegancko zaprojektowane powierzchnie, tak inne od porzewiałych wraków, na których codziennie pracował. Wpatrywał się w pięknych ludzi, uśmiechających się i pijących drinki na pokładzie.

Statki wyszeptywały obietnice szybkości, słonej wody i otwartych horyzontów. Czasem żałował, że nie może po prostu wejść w te stronice i uciec na dziób klipra. Odpłynąć wyobraźnią od złomiarskiej codzienności. Innym razem darł zdjęcia i wyrzucał je, wściekły, że przez nie pragnie rzeczy, o których inaczej w ogóle nie miałby pojęcia.

Wiatr się zmienił. Na plażę zawiąło czarnym dymem z wytapiaczy, owionęły ich popiół i mgła.

Wszyscy zaczęli kaszleć, dławić się, szukać świeżego powietrza. Wiatr znów się zmienił, Nailer jednak kaszlał dalej. Płacił za czas spędzony w zbiorniku z ropą. Płuca i piersi

nadal miał obolałe, nadal miał w ustach olejowy posmak.

Zanim opanował kaszel, klipry już się rozplynęły. Nad ognisko znów zawiąło dymem z wytapiaczy.

Nailer uśmiechnął się rozgoryczony wśród gryzącego dymu. Tyle ci przychodzi z myślenia o kliprach. Płuca pełne dymu, bo nie zwracałeś uwagi na to, co się dzieje wokół.

Pociągnął kolejny łyk z butelki i podał ją Perełce.

- Dziękuję za te dary na szczęście - powiedział. - Nie miałem pojęcia, że Black Ling jest taka dobra.

Lunia uśmiechnęła się.

- Cholernie dobry trunek dla cholernego szczęściarza.

- No, to prawda - powiedziała Pima. - Największego szczęściarza, jakiego w życiu widziałam.

Przyjrzała się innym darom na szczęście, które zgromadziły się przez noc. Jeszcze jeden gołąbek na patyku, którego Nailer od razu puścił w obieg, paczka ręcznie skręcanych papierosów, flaszka taniego alkoholu z bimbrowni Jima Thompsona, gruby srebrny kolczyk z wielką dziurą. Wypolerowana przez morze muszla. Półkilowy worek ryżu.

- Większego niż Fuksiarz? - zadrwił Nailer.

- No nie, nie po tym, jak straciłeś całą tę ropę - odparła Lunia. - Gdybyś był Fuksiarzem, wymyśliłbyś jakiś sposób, żeby ją przemycić na zewnątrz, a nie zmarnować. Byłbyś teraz bogaty, cała plaża byłaby twoja.

Reszta mruknęła z aprobatą, Pima jednak zamarła.

- Nikt nie ma takiego szczęścia - powiedziała z goryczą. - Leserka zdemoralizowała się przez te marzenia o następnym Fuksiarzu.

- No, ale wiesz... - Nailer wzruszył ramionami - ja dalej czuję, że mam szczęście.

- To nie tylko szczęście. - Pima skrzywiła się. - To także spryt. I Fuksiarz też musiał mieć spryt. Połowa ekip, które znajdą jakiś skarb, ropę, górę miedzi, czy coś, nawet nie ma pojęcia co z tym zrobić. Wszystko zgarnia szef ekipy, a im daje kopa na rozpęd i wypędza z wraków. Kurna. - Raz jeszcze pociągnęła z butelki, otarła wargi ramieniem i podała flaszkę Luni, która się napiła i zaczęła kaszleć. - To nie szczęścia nam tu potrzeba - dokończyła Pima.

- Ale właśnie sprytu.

- Szczęście czy spryt, wszystko jedno, póki przeżyłem.

- I za to wypijmy. Ale i tak cały czas napalamy się, że trafi się nam coś jak Fuksiarzowi, i tracimy głowę. Tracimy kasę na grę w kości, chcemy zbliżyć się do szczęścia,

zgarnąć wielką wygraną. Modlimy się do Świętego Rdzy, żeby pomógł nam znaleźć coś, co będziemy mogli zatrzymać dla siebie. Kurde, nawet moja mama marnuje dobry ryż na wagę Boga Złomu, żeby jej sprzyjał. - I wszyscy kończymy jak Leserka.

Pima wskazała brodą plażę, gdzie ludzie z ciężkich ekip porozpalali ogniska. Stały tam z nimi dziewczyny z walibud, obejmowały ich w talii szczupłymi ramionami, namawiały do picia i wydawania pieniędzy.

- Leserka też tam z nimi jest. Sama widziałam. Marzenia o fuksie nic jej nie dały, poza cięciami hańby na policzkach i kupą złego towarzystwa.

Nailer przypatrzył się ogniskom.

- Myślisz, że mnie napadnie?

- Ja bym tak zrobiła - stwierdziła Pima. - Co ona ma teraz do stracenia? - Wskazała brodą dary na szczęście. - Lepiej gdzieś dobrze to wszystko pochowaj. Pewnie będzie próbowała to ukraść. Może znajdzie sobie tam jakiegoś dobrego wujka, co weźmie ją pod skrzydła, ale poza tym nikt nie będzie chciał z nią gadać. Budy z żarciem jej nie wezmą, bo ekipy nie będą niczego kupować od kogoś, kto ma przecięte tatuaże. Ekipy od wytapiaczy też nie tkną kogoś, kto złamał przysięgę. Taki kłamca nie ma za wiele do wyboru.

- Może sprzedać nerkę - odezwała się Lunia. - Albo odlać Żniwiarzom litr krwi, czy coś. Oni zawsze chętnie kupią.

- O pewnie. Ładne ma te oczka - zauważył Perełka. - Żniwiarze wzięliby je w sekundę.

Pima wzruszyła ramionami.

- No tak, kupcy organów mogą ją pokroić jak ćwiartkę świniaka, ale organy zaraz się każdemu kończą. I co wtedy?

- Sekta Życia - podsunął Nailer. - Kupią od niej jajeczka.

- Tego nam tylko trzeba - skrzywiła się Lunia. - Bandy półludzi, którzy wyglądają jak Leserka.

- Psie DNA to dla niej awans - zauważył Perełka. - Psy chociaż są lojalne.

Wszyscy zaśmiali się ponuro. Zaczęli żartować o tym, które zwierzęta poprawiłyby Leserce geny: koguty, bo chociaż wstają wcześniej, kraby, bo chociaż nadają się do jedzenia, węże, bo są świetne do roboty w kanałach i nie mają rąk, więc nie wsadzą ci noża w plecy. Każde zwierzę, jakie tylko przyszło im do głowy, było lepsze od kreatury, która ich zdradziła. Rozbiórka statków to zbyt niebezpieczna praca, żeby nie mieć zaufania do własnej ekipy.

- Leserka zaraz będzie pod ścianą - powiedziała Pima - ale i my mamy ten sam

problem. Może nie w tym roku, ale niedługo. - Wzruszyła ramionami. - Matka daje mi więcej jedzenia, chce mnie napakować, żebym mogła startować do ciężkich ekip. - Zawahała się, obejrzała na ogniska z mężczyznami. - Chyba mi się nie uda. Do ciężkiej jestem za mała, do lekkiej za duża, i co teraz? Ile klanów w ogóle bierze cudze dzieciaki?

- Durne to wszystko - powiedział Perełka. - Nie powinnaś rezygnować z lekkiej ekipy. Dajesz więcej złomu niż ktokolwiek na tym statku. Mogłabyś wziąć robotę Bapiego, przyłożyć się trochę i podwoić jego zbiór. - Pstryknął palcami. - O tak, pstryk i już. Bapiego z palcem w nosie mogłabyś zastąpić.

Pima uśmiechnęła się.

- Do tej roboty jest duża kolejka i nie stoimy na początku. Trzeba się wkupić, i to grubo. Nikt z nas nie ma takiej kasy.

- Głupota - powiedział Perełka. - Z ciebie byłby lepszy szef ekipy.

- Tia. - Pima się skrzywiła. - I tu właśnie chyba potrzeba tego szczęścia. - Spojrzała na nich poważnie. - Wiecie co, zapamiętajcie sobie. Wszyscy. Samo szczęście, albo sam spryt, nie są warte metra miedzi. Trzeba mieć jedno i drugie, inaczej wylądaje się jak Leserka, co zebrze tam przy ogniskach, żeby ktoś znalazł dla niej jakąś robotę. - Pociągnęła ostatni raz z butelki i oddała ją. Wstała. - Muszę się przespać. - Ruszyła plażą, wołając jeszcze przez ramię do Nailera: - Do zobaczenia jutro, szczęściarzu! I żebyś był punktualnie. Jak nie przyjdiesz się pocić razem z resztą ekipy, Bapi na pewno cię przetnie.

Nailer i reszta ekipy patrzyła za nią. Strzeliło ostatnie drewno w ognisku, sypiąc iskrami. Lunia sięgnęła w płomienie, szybko obracając polano i wciskając je głębiej w węgle.

- Nie ma mowy, żeby wzięli ją do ciężkiej ekipy - powiedziała. - Ani nikogo z nas.

- Co, chcesz zepsuć wieczór? - zapytał Perełka.

Poprzekłuwana twarz Luni zalsniła w świetle ogniska.

- Mówię to, co wszyscy i tak wiemy. Pima jest warta dziesięciu Bapich, ale to nie ma znaczenia. Jeszcze z rok i będzie miała ten sam problem, co Leserka. Szczęście albo nic. - Pokazała zawieszony na szyi amulet z niebieskiego szkła, na cześć Mojr. - Całuje się oko i ma się nadzieję, ale tak naprawdę, wszyscy mamy przerąbane jak Leserka.

- Nie. - Tiktak pokręcił głową. - Jest różnica. Leserka sobie na to zasłużyła, a Pima nie.

- To nie ma żadnego znaczenia - odparła Lunia. - Gdyby ludzie dostawali to, na co zasłużyli, to matka Nailera by żyła, matka Pimy byłaby właścicielką Lawsona i Carlsona, a ja bym jadła sześć razy dziennie. - Splunęła w ogień. - Nikt na nic nie zasłużył. Może i Leserka złamała przysięgę, ale była na tyle bystra, żeby wiedzieć, że na nic się nie zasługuje, że

trzeba sobie to wziąć.

- Do mnie to nie przemawia. - Perelka pokręcił głową. - Co masz bez swoich obietnic? Jesteś niczym. Mniej niż niczym.

- Perelka, ale ty nie widziałeś tej ropy - powiedział Nailer. - To był największy fuks w życiu. Możemy sobie udawać, że nie jesteśmy jak Leserka, ale w życiu nie widziałeś tyle ropy, która mogłaby być twoja. Każdy by złamał przysięgę.

- Nie ja - stwierdził stanowczo Perelka.

- No jasne. Nikt z nas - odparł Nailer. - Ale nie było cię tam.

- Ani Pima - dodał Tiktak. - Ona - w życiu.

I to zakończyło dyskusję: mogli sobie naopowiadać jeszcze masę różnych kłamstw, ale w tej kwestii Tiktak miał rację. Pima nigdy się nie wahała. Nigdy się nie wycofywała, zawsze stała murem za ekipą. Nawet gdy opieprzała za niewykonanie przydziału, czuła się bezpieczny. Nailer nagle zapragnął oddać jej całe to swoje szczęście. Nikt na nie nie zasługiwał tak jak ona.

Przygnębiona klimatem rozmowy ekipa zaczęła zbierać resztki jedzenia, gasić piaskiem ogień i przygotowywać się do powrotu do rodziny, opiekunów, czy kogo tam kto miał.

Powiał wiatr, Nailer odwrócił się ku orzeźwiającemu powietrzu. Sztorm nadchodził jak nic. Miał wystarczająco wiele doświadczenia, żeby go wyczuć. Już tam był i toczył się ku nim. Porządny wiatr, nie jakieś byle co. Zatrzyma robotę co najmniej na parę dni. Może da mu możliwość, żeby trochę odpoczął i wydobrzył.

Zaciągnął się świeżym słonym powietrzem. Inni też już gasili ogniska, zaczęła się gorączkowa krzątania - mieszkańcy plaży przywiązywali swój skromny dobytek, przygotowując się na zmianę pogody.

Na horyzoncie ponad wodami zatoki ślizgał się kolejny kliper, jarząc się błękitnymi światełkami nawigacyjnymi. Nailer wziął głęboki wdech, patrząc, jak statek śpieszy się do jakiegoś portu, który zapewni mu bezpieczeństwo. Tym razem cieszył się, że sam stoi na łodzi.

Odwrócił się i poczłapał plażą do własnej szopy. Przy odrobinie szczęścia ojciec jeszcze będzie gdzieś pił i nie zauważy go.

Dom Nailera stał na samym skraju dżungli, pomiędzy pnączami kudzu i cyprysami, zbudowany z palmowych liści, bambusowych tyczek i blachy ze złomu, w której ojciec powybijał znaki swoją pięścią, żeby pod ich nieobecność nikt jej nie ukradł.

Nailer złożył prezenty na szczęście pod drzwiami. Jeszcze trochę pamiętał czasy, gdy

te drzwi nie wydawały mu się niebezpieczne. Zanim matka dostała gorączki. Zanim ojciec zaczął pić i ćpać. Teraz każde otwarcie tych drzwi było jak hazard.

Gdyby nie fakt, że miał na sobie pożyczone ciuchy, nawet nie ryzykowałby powrotu, a tak - za drzwiami leżało drugie ubranie, a ojciec przy odrobinie szczęścia dalej gdzieś pił. Delikatnie otworzył drzwi i przesunął się w ciemność. Otworzył słoik z fosforescencyjną farbą i maznął się nią po czole. Z mroku wydobyły się niewyraźne cienie...

Błysnęła zapalka. Nailer się obrócił.

Ojciec opierał się o ścianę za drzwiami i obserwował go. W pięści ścisnął prawie pustą butelkę.

- Miło cię widzieć, Nailer.

Richard Lopez był chudym jak szczapa mężczyzną zbudowanym wyłącznie z węzlastych mięśni i płonącej w środku energii. Po ramionach biegły mu wytatuowane smoki, których ogony wspinały się po szyi i splatały z wyblakłymi wzorami jego własnych, dawnych, tatuaży ekip. Na piersi lśniły świeższe i o wiele paskudniejsze zwycięskie blizny, zliczające wszystkich ludzi, których pokonał w ringu. Trzynaście czerwonych i gniewnych cięć. Jego własny piekarski tuzin, jak mawiał z uśmiechem. A potem pytał Nailera, czy kiedykolwiek będzie tak twardy jak on sam.

Richard zapalił sztormową lampę nad głową. Zaczęła się kołysać. Nailer stał bez ruchu, starając się ocenić nastrój ojca, podczas gdy ten okręcił śmietnikowe krzesło i usiadł na nim okrakiem. Bujająca się lampa rzucała na nich obu ruchome, zmienne, chwiejne cienie. Richard Lopez leciał wysoko, nabuzowany amfetaminami i alkoholem. Przekrwione oczy obserwowały Nailera uważnie, jak u przyczajonego do ataku węża.

- Co się, kurna, z tobą działo?

Nailer starał się nie okazać strachu. Stary nie miał nic w rękach: ani noża, ani pasa, ani wierzbowych witek.

- Miałem wypadek przy pracy.

- Wypadek? A może coś głupiego zrobiłeś?

- Nie...

- Myślałeś o dupach? - indagował ojciec. - Albo o niczym nie myślałeś? O niebieskich migdałach, jak to u ciebie? - Dźgnął brodą w kierunku naddartego zdjęcia klipra, które Nailer przypiął do ściany szopy. - O pięknych żaglowcach, co?

Nailer nie chwycił przynęty. Jeśli zacznie protestować, będzie tylko gorzej.

- Jak się tu utrzymasz, skoro nie robisz w ekipie?

- Przecież robię. Jutro wracam.

- Taa? - Przekrwione oczy zwęziły się podejrzliwie. Spojrzał na szmaciany temblak podtrzymujący rękę Nailera. - Z taką ręką? Bapi to nie instytucja dobroczynna.

Nailer zmusił się, by się nie cofnąć.

- Dam radę, spokojnie. Bapi pociął Leserkę, więc do kanałów nie mam konkurencji. Jestem mniejszy...

- No, małe gównu z ciebie. Fakt. Tu masz rację. - Pociągnął łyk z butelki. - A maska gdzie?

Nailer się zawahał.

- No?

- Zgubiłem.

Cisza zawisła pomiędzy nimi. Ojciec powiedział tylko: „Zgubiłeś, tak?”, lecz Nailer wiedział, że w jego głowie zaczęły się kręcić niebezpieczne kółeczka, napędzane narkotykami, złością i tym nieokreślonym szaleństwem, które pchało go do napadów gorączkowej pracy i brutalności. Za wytatuowaną twarzą już kipiał sztorm, pełen przeciwprądów, wirów i grzmiących fal - śmiercionośna woda, z którą Nailer musiał się zmagać za każdym razem, gdy próbował podejść do wybrzeża nastrojów starego. Richard Lopez myślał. Nailer musiał wiedzieć o czym - inaczej nie uda mu się uciec z szopy bez bicia.

Spróbował się tłumaczyć.

- Spadłem z kanału do zbiornika z ropą. Nie mogłem wyleźć. Maski i tak już się nie nadawała, zatkała się ropą. Była już do niczego.

- Nie mów mi, że była do niczego - warknął ojciec. - Nie tobie decydować.

- Tak jest, tato. - Nailer czekał, spięty.

Richard Lopez postukał machinalnie butelką w oparcie krzesła.

- Co, pewnie będziesz chciał drugą. Ciągle tylko narzekałeś, że w tamtej jest pełno pyłu.

- Nie, tato.

„Nie, tato” - przedrzeźnił go ojciec. - Cholera, Nailer, niezły cwaniak się z ciebie zrobił ostatnio. Zawsze mówisz to co trzeba. - Uśmiechnął się, pokazując żółte zęby, sterczące na boki jak palce dłoni, jednak flaszka wciąż postukiwała o oparcie krzesła. Ciekawe, czy go nią walnie. Butelka stuknęła raz jeszcze. Oczy drapieznika wpatrywały się w Nailera. - Cwany gówniarz z ciebie ostatnio - mruknął. - Zaczyna mi się nawet wydawać, że aż za cwany. Może nawet mówisz różne rzeczy, chociaż naprawdę tak nie myślisz. „Tak jest, tato. Nie, tato”.

Nailer ledwie był w stanie oddychać. Wiedział teraz, że ojciec już rozplanowuje ciosy, planuje, jak go złapać, jak nauczyć go szacunku. Zerknął na drzwi. Nawet naćpany, miał sporą szansę go złapać, co skończy się znowu krwią, siniakami - i nie będzie mowy, żeby wrócić do lekkiej ekipy, zanim Bapi go przetnie.

Klął sam siebie, że nie poszedł od razu do bezpiecznego azylu chaty Pimy.

Znów powędrował wzrokiem ku drzwiom. Gdyby tak po prostu...

Richard zauważył spojrzenie Nailera. Jego rysy w okamgnieniu zlodowaciały. Wstał, odsunął krzesło.

- Chodź no tu do mnie.

- Mam prezent, dostałem na szczęście - powiedział nagle Nailer. - Porządna rzecz. Za to, że wydostałem się z ropy.

Starął się mówić równym głosem, udawać, że nie wie, że ojciec planuje spuścić mu łomot. Udawać niewiniątko. Mówić normalnie, jakby nie miało zaraz być bólu, wrzasków i pogoni.

- Tu mam - dodał.

Idź powoli. Niech nie pomyśli, że uciekasz.

- O, tu go mam - odezwał się ponownie, otworzywszy drzwi i sięgnąwszy na zewnątrz. Chwycił prezent na szczęście od Luni i podał go ojcu. Flaszka błysnęła w świetle lampy jak talizman. - Black Ling - dodał. - Ekipa mi dała. Powiedzieli, że mam się z tobą podzielić, bo mam szczęście, że mnie spłodziłeś.

Wstrzymał oddech. Zimny wzrok ojca powędrował ku butelce. Może się napije. A może walnie go nią w głowę. Nie wiedział. Ten człowiek robił się coraz bardziej nieprzewidywalny, w miarę jak coraz mniej pracował w ekipach, a coraz więcej w plażowym półświatku, w miarę jak prochy sprowadzały go do rozpalonego rdzenia przemocy i żądz.

- Pokaż no. - Ojciec wziął butelkę z dłoni Nailera i sprawdził poziom płynu. - Za wiele to dla starego nie zostawiłeś - poskarżył się. Odkręcił jednak kapsel i powąchał zawartość.

Nailer czekał, modląc się o szczęście.

Ojciec się napił. Zrobił pełną szacunku minę.

- Dobra rzecz - mruknął.

Furia ulotniła się z domu. Ojciec wyszczerzył zęby i unióśł butelkę w stronę Nailera.

- Dobre jak cholera. - Cisnął w róg poprzednią butelkę. - O wiele lepsze niż te siki.

Nailer zaryzykował uśmiech.

- Cieszę się, że ci smakuje.

Ojciec napił się jeszcze raz i otarł usta.

- Idź spać. Jutro masz robotę. Jak się spóźnisz, Bapi na pewno cię przetnie. - Machnął ręką w stronę koców. - Szczęściarz z ciebie, wiesz? - Znów się uśmiechnął. - Może tak cię będę teraz nazywać. Szczęściarz. - Błysnęły żółte, końskie zęby, nieoczekiwanie życzliwie. - Podoba ci się? Szczęściarz?

Nailer kiwnął z wahaniem głową.

- Pewnie. - Zmusił się do szerszego uśmiechu, wszystko, by tylko podtrzymać ten nowy, dobry humor ojca. - Bardzo.

- No i dobra. - Usatysfakcjonowany ojciec kiwnął głową. - To kładź się spać, Szczęściarzu. - Upił następny łyk prezentu na szczęście i zasiadł, żeby patrzeć na toczący się ku nim sztorm.

Nailer nakrył się brudną płachtą. Z drugiego końca usłyszał jeszcze mruknięcie starego:

- Się sprawiłeś.

Nailer, słysząc pochwałę, poczuł falę ulgi. Niosła ze sobą cień ojca, jakiego pamiętał z dawnych czasów, kiedy był mały, a matka jeszcze żyła. Inne czasy, inny ojciec. W słabym świetle mógł prawie uchodzić za człowieka, który pomagał mu wskrobać podobiznę Świętego Rdzy na ścianie nad posłaniem chorej matki. Ale to było dawno temu.

Zwinął się w kłębek, wdzięczny, że przez noc może czuć się bezpiecznie. Jutro będzie inaczej, lecz dzisiejszy dzień dobrze się skończył. A jutro też się jakoś opędzi.

Rozdział VI

Sztorm uderzył w plażę z nieubłaganą siłą staroświeckiego czołgu. Potężne fronty chmur spiętrzyły się na horyzoncie, po czym runęły w głąb lądu, siekąc wszystko deszczem. Nad oceanem przetoczyły się grzmoty, brzuchy chmur rozświetliły błyskawice, przeskakujące od wody do nieba i z powrotem.

Rozpętał się potop.

Nailera obudził huk uderzającego w bambusowe ściany deszczu. Wiatr i woda wdzierały się przez otwarte drzwi, oświetlane elektrycznymi błyskami. Ojciec był tylko cieniem, leżącym bezwładnie obok, z otwartymi ustami, chrapiącym. Wiatr zawirował po domu, drapiąc Nailera w twarz zimnymi palcami; po czym przyskoczył ku ścianie i zdarł z niej zdjęcie klipra. Kartka zakręciła się jak szalona, a potem wyszło ją przez okno w ciemność - zniknęła, zanim zdołał choć wyciągnąć rękę. Zimny deszcz ciekł mu na skórę z miejsc, gdzie pod naporem wiatru już rwała się palmowa strzecha.

Nailer przeczołgał się przez ojca i pokuśtykał do drzwi. Plaża zaroila się od krzątających się ludzi: wciągali skify głębiej między drzewa, uganiali się za zwierzętami. Sztorm nie wyglądał na krótkotrwały, raczej na niszczyciela miast, jeśli przyjrzeć się wirującym nad wrakami i sypiącym błyskawicami chmurom. Mimo że powinien być odpływ, spienione fale zalewały plażę, woda wdzierała się w głąb lądu.

Ojciec twierdził, że sztormy co roku są gorsze, Nailer jednak nigdy nie widział takiego potwora jak ten. Odwrócił się z powrotem do szopy.

- Tato! - wrzasnął. - Wszyscy idą w głąb! Musimy uciekać spod fali!

Ojciec nie reagował. Nocne ekipy wysypywały się z wraków. Mężczyźni i kobiety zlazili po sznurowych drabinach, zwisali z nich i spadali jak zeskakujące z psa pchły, nurkowali w coraz większych falach. Kontury czarnych kłębów chmur rozświetlała elektryczność, odcinając je od jasnego jak w dzień nieba; potem wszystko zalał mrok. Plażę zaczął siec deszcz.

Nailer miotał się po szopie, szukając, co by tu zabrać. Zgarnął ostatni komplet ubrań, słoik z farbą fosforescencyjną, srebrny kolczyk i torebkę ryżu, którą dostał na szczęście. Dom trzeszczał i wyginał się w podmuchach wiatru. Blacha i bambus długo nie przetrwały.

Zdecydowanie był to niszczyciel miast, nazywany przez ludzi także rozganiaczem imprez albo Orleańską Falą. Zajrzawszy w rozszalałą paszczę żywiołu, Nailer zobaczył, że wszyscy uciekają do solidniejszych schronień. Cienie ludzi wypełzały z ciemności,

przygarbione pod naporem wiatru i wody biegly ku bezpiecznemu azylowi. Do takich miejsc jak pociąg odbierający złom, którego żelazne wagony może tak łatwo nie dadzą się porwać.

Nailer zebrał cały dobytek koło bezwładnego ojca. Ściągnął z łóżka prześcieradło i jedną ręką niezdarnie wszystko spakował. Zraniony bark palił od gorączkowego wysiłku. Związał prześcieradło w tobołek. Przez rozpadający się dach coraz mocniej lał deszcz. Błada skóra ojca lśniła od wody, on jednak i tak się nie ruszał.

Chłopak chwycił wytatuowaną rękę.

- Tato!

Żadnej reakcji.

- Tato! - Potrząsnął nim jeszcze raz. Próbował wbić paznokcie w smocze tatuaże. - Wstawaj!

Stary ledwo się poruszył, pogrążony w tak głębokim amfetaminowym zjeździe, że nic go nie ruszało.

Nailer przestąpił z nogi na nogę.

Jeśli walnie w nich cały impet niszczyciela miast, nie będzie tu czego zbierać. Słyszał, że czasami taka fala potrafiła przesunąć linię brzegową o całą milę, zmieniając plaże i lasy w zabagnione, mętne morze, podnosząc poziom wody i tworząc nowe, poszarpane wybrzeże. Wielki huragan był w stanie nawet przesuwać wraki statków. Co z tego, że dom wytrzyma, jeśli zmiażdży go taki kadłub.

Wyprostował się. Dźwignął prześcieradło, stękając pod ciężarem. Gdy dotarł do drzwi, wiatr nim rzucił, wychłostał twarz wodą, piaskiem i liśćmi. W plażę trafiły kolejne błyskawice. W migotliwym świetle przekoziółkowała klatka na kury, choć kur już nie było, wszystkie je porwał szary wir. Nailer obejrzał się na ojca. Walczyły w nim sprzeczne uczucia.

Stary ani drgnął. Chemię w mózgu miał tak zużytą, że nawet sztorm nie był go w stanie obudzić. Przy takich co gorszych zjazdach czasem spał nawet dwa dni. Nailer cieszył się wtedy ze spokoju. Wszystko było o wiele prostsze...

Odłożył toboł z dobytkiem. Przeklinając własną głupotę, rzucił się w burzę. Może to pijak i łotr, ale są w końcu rodziną. Mają takie same oczy, takie same wspomnienia o matce, wspólne jedzenie, wspólny alkohol. Taka rodzina, na jaką go stać.

Wir piasku, miedzianych śrub i plastikowych odłamków zakręcił się wokół niego, okrętowe śmieci cięły mu skórę, gdy biegł bosy ku szopie Pimy. Płatki rdzy, kawałki izolacji, zwój drutu. Latające, ostre jak noże śmieci.

Nagły szkwał powalił Nailera na kolana, zmusił do czołgania się. Ramię zapłonęło

czerwonym bólem. Nad głową przeleciał arkusz blachy, jak latawiec - dach, kawałek statku, nie do odróżnienia. Wbił się w palmę kokosową i ściał ją, ale huk sztormu był tak silny, że Nailer nic nie usłyszał.

Skulony na piasku, mrużył oczy i wpatrywał się w ulewę. Szopy Pimy nie było, ale cienie dziewczyny i jej matki wciąż się tam poruszały, walczyły z burzą, ciągnęły liny, mocowały się z jakimś rozmazanym cieniem.

Nailer zawsze miał matkę Pimy za wielką, silną kobietę, pracującą w ciężkiej ekipie; teraz jednak, wśród burzy, wydawała się mała jak Leserka. Deszcz na moment ustał. Sadna i Pima mocowały się ze skifem, przywiązywały go do gnącego się na wietrze drzewa. Zasypywała je fala śmiecia. Gdy dotarł bliżej, dostrzegł, że Pima ma na czole ranę, z której płynie krew. Mimo to, nadal szamotała się, wiążąc liny.

- Nailer! - Matka Pimy przywołała go machnięciem. - Pomóż jej tam trzymać!

Rzuciła mu linę. Owinął ją wokół zdrowego ramienia i pociągnął, we dwoje pociągnęli jeden koniec skifu., ramię w ramię, Pima pośpiesznie związywała węzły. Gdy tylko udało się go przywiązać, matka Pimy kiwnęła na niego i krzyknęła:

- Lećcie na górę, do lasu! Tam jest taka dziura w skale! Osłoni was!

Nailer pokręcił głową.

- Ale mój ojciec! - Pokazał dom, cień, który cudem jeszcze stał. - Nie mogę go dobudzić!

Matka Pimy patrzyła w mrok i deszcz, w stronę ich domu. Zasznurowała usta.

- Cholera. No dobra. - Machnęła na Pimę. - Ty bierz go na górę.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył Nailer, był nurkujący pod wiatr cień Sądny, biegnący plażą, otoczony błyskawicami.

A potem Pima pociągnęła go między drzewa, pomiędzy siekące jak bicze gałęzie i wycie wiatru.

Wspinali się szaleńczo, rozpaczliwie chcąc uciec spod ulewy. Nailer obejrzał się na plażę. Nic już nie było widać. Zniknęła matka Pimy. Szopa ojca. Wszystko. Plaża była splukana do czysta. Na wodzie jarzyły się płomienie - ropa czy olej jakimś sposobem zapaliły się i płonęły mimo deszczu.

- No, rusz się! - Pima ciągnęła go dalej. - To jeszcze kawał drogi!

Uciekali głębiej w dżunglę, brodząc w błocie i potykając się o grube korzenie cyprysów. Z góry spadały na nich potoki wody, zamieniające leśne przecinki w błotniste rzeki. Wreszcie dotarli do celu - małej, wapiennej groty, w której ledwo mieścili się oboje. Przycupnęli w środku. Ulewa przelewała się przez krawędź nieprzyjemną strugą i gromadziła

się wokół nich, tak że kulili się po kostki w zimnej wodzie. Ale chociaż byli osłonięci przed wiatrem.

Nailer wpatrzył się w sztorm. Rzeczywiście niszczyciel miast.

- Pima - zaczął - ja...

- Ciii. - Odciągnęła go od wody, głębiej w jamę. - Nic jej nie będzie. Jest twarda.

Twardsza niż każdy sztorm.

Przeleciało drzewo, lekko jak ciśnięta przez dziecko wykałaczką. Nailer zagryzł wargę. Oby tylko Pima miała rację. Głupi był, że poprosił o pomoc. Matka Pimy była warta stu takich, jak jego ojciec.

Czekali, dygocąc. Pima przyciągnęła go do siebie, przytulili się mocno, dzieląc się ciepłem, czekając, aż gwałtowność żywiołu przeminie.

Rozdział VII

Sztorm szalał przez dwie noce, zmieniając linię brzegową, porywając wszystko, co nie było uwiązane.

Pima i Nailer tulili się do siebie w dziurze, słuchając huku, patrząc na deszcz; usta im siniały, a na skórze mieli gęsią skórkę.

Trzeciego dnia z rana niespodziewanie się wypogodziło. Nailer i Pima zmusili zeszywniałe kończyny do ruchu i pokuśtykali na plażę, przyłączając się do wysypującego się na piasek pochodu innych obdartych ocalałych.

Wyszli pomiędzy drzew i Nailer stanął jak wryty.

Plaża była pusta. Ani śladu ludzkiej stopy. W błękitnej wodzie nadal majaczyły cienie tankowców, porzrzucanych bezładnie jak zabawki, ale nic więcej nie zostało. Zniknęły sadza, ropa i olej na wodzie, w blasku porannego zwrotnikowego słońca wszystko aż błyszczało.

- Jaka niebieska - mruknęła Pima. - Chyba w życiu nie widziałam takiej niebieskiej wody.

Nailer zaniemówił. On w życiu nie widział takiej czystej plaży.

- O, żyjecie, co?

Szczerząca zęby Lunia. Cała wymazana błotem z jakiejś dziury, w której się chowała, ale poza tym cała. Za nią, na plażę wracał Perełka z rodzicami. Wstrząśnięte miny, gdy docierała do nich skala zmian.

- Wszyscy cali. - Pima rozejrzała się po plaży. - A moją mamę widzieliście?

Lunia pokręciła głową, w słońcu błysnęły kolczyki.

- Może gdzieś tam. - Wskazała brodą bocznice kolejowe. - Fuksiarz rozdaje jedzenie.

Wszystkim chętnym. Wszystko za darmo, póki nie zacznie się rozbiórka.

- Co, uratował jakieś jedzenie?

- Parę wagonów.

Pima szturchnęła Nailera.

- To chodźmy.

Wokół pociągu na złom zebrał się tłum ludzi, czekających, aż Fuksiarz rozda racje. Pima i Nailer rozejrzeli się po twarzach. Ani śladu Sądnym.

Fuksiarz śmiał się i powtarzał:

- Spokojnie! Jest dosyć dla wszystkich. Nikt tu nie będzie głodował, póki czekamy, aż

Lawson & Carlson wrócą z MissMet. Kupcy się pochowali przed sztormem, ale Fuksiarz troszczy się o wszystkich.

Szczerzył zęby, długie dredy miał spięte z tyłu, Nailer wiedział jednak, że tym samym mówi ludziom, że nie będzie żadnych bijatyk o jedzenie. I że jeśli kogokolwiek ludzie usłuchają, to właśnie jego.

Fuksiarz, odkąd pierwszy łut szczęścia uwolnił go od ciężkiej ekipy, cały czas rósł w potęgę. Teraz przemycił na plażę Bright Sands wszystko, od antybiotyków po kryształową jazdę. Miał układy z szefostwem, że może robić co chce. Miał udziały w norach z hazardem, walibudach i tuzinach innych interesów, tak że pieniądze po prostu się sypały, zmieniając się w lśniące złote samородki, które zawieszał na końcach dredów, albo przekuwał w grube kolczyki w uszach. Cały aż ociekał bogactwem.

- Nie pchać się! - krzyknął. - Cofnąć się! - Uśmiechał się, minę miał pewną siebie, za nim stał jednak, dla pewności, szereg wynajętych osiłków.

Nailer przepatrzył twarze tych oprychów, rozpoznając paru morderców, z którymi kumał się ojciec. Wyglądało na to, że Fuksiarz wziął sobie do ochrony najlepszych z najgorszych. Nawet półczłowiek tam stał. Jego gigantyczna, muskularna sylwetka górowała nad resztą bandytów, a psi pysk warczał i obnażał zęby, żeby odstraszyć głodnych ludzi.

Pima zauważyła, gdzie patrzy Nailer.

- On robił w ciężkiej ekipie z matką. Nosił blachy. Mówiła, że potrafił podnieść cztery razy tyle, co zwykły człowiek.

- To co on tam robi?

- Pewnie uznał, że więcej dostanie, robiąc za mięśniaka u Fuksiarza niż w ciężkiej ekipie.

Półczłowiek znów obnażył zęby i warknął ostrzegawczo. Napierający na pociąg tłum cofnął się.

Fuksiarz się zaśmiał.

- No tak, mojego psa łańcuchowego to słuchacie, co? No właśnie. Wszyscy krok do tyłu. Albo mój przyjaciel Młot nauczy was grzeczności. Poważnie mówię. Cofnąć się wszyscy. Jak się Młotowi nie spodobacie, to was zeżre żywcem.

Tłum zamruczał z niezadowoleniem, ale pod spojrzeniem Młota ustąpił.

- Pima!

Nailer i Pima odwrócili się na ten okrzyk. Sadna. Biegła ku nim, a za nią ojciec Nailera. Podbiegła i uściskała Pimę.

Ojciec zatrzymał się krok dalej. Pochylił głowę.

- Wygląda na to, Szczęściarzu, że uratowałeś mi tyłek.

Nailer kiwnął ostrożnie głową.

- Chyba tak.

Nagle stary roześmiał się i chwycił go.

- Ja nie mogę, chłopak! Co, nie przytulisz starego?

- Nailer krzywił się w uścisku, bolały go szwy, ale się nie wyrywał. Ojciec dodał:

- Obudziłem się w samym środku tego cholernego sztormu i nie miałem pojęcia, co się dzieje. Mało brakło, żebym zabił Sadnę, zanim doszła do słowa.

Nailer zerknął niespokojnie na matkę Pimy, lecz Sadna tylko wzruszyła ramionami.

- Jakoś się dogadaliśmy.

- No jasne. - Ojciec wyszczerzył zęby i dotknął szczęki. - Ma cios jak młot pneumatyczny.

Nailer przeląkł się, że stary chowa jakąś urazę, on jednak przynajmniej na razie nie był naćpany. Wydawał się nieomal rozsądny. Czysty jak ta plaża. Już wyciągał szyję, żeby zobaczyć, jak zorganizowane jest wydawanie jedzenia.

- O, Młot tam jest? - Roześmiał się i klepnął Nailera po ramieniu. - Jak Fuksiarz zatrudnił tego brytana, to i mnie weźmie, jasna sprawa. Dzisiaj zjemy sobie porządnie. - Zaczął przepychać się przez tłum ku ochroniarzom Fuksiarza. Nie obejrzał się ani na Sadnę, ani na Nailera czy Pimę.

Nailer westchnął z ulgą. Ojciec nic do niego nie miał.

Trwała inwentaryzacja plaży i stanowisk rozbiórkowych. Rozchodziła się plotka, że centrum sztormu ich ominęło. Przeszedł po wschodniej stronie, Aleją Orleańską, uderzył w ruiny starego miasta, a potem wdarł się dalej, ku ruinom Orleanu II. Mówili, że dotarł aż do serca miasta, niszcząc wszystko po drodze.

Co oznaczało, że na plaży Brights Sands mieli szczęście: mogło ich zgnieść na miazgę.

Szkody były jednak kolosalne nawet po takim przelotnym muśnięciu sztormem. Wszędzie znajdowali trupy: wplątane w kudzu w dżungli, wciśnięte wysoko w korony drzew, pływające w wodzie. Fuksiarz zorganizował grupy sprzątające zwłoki, palące je lub chowające w ziemi, zależnie od wiary, by nie dopuścić do wybuchu epidemii. Pojawiały się coraz to nowe imiona.

Bapi zaginął, zabił go wiatr albo utonął - w każdym razie nie było go. Nikt nie miał pojęcia, czy przeżyła Leserka. Znaleziono Tiktaka i całą jego rodzinę, bez śladu jakichkolwiek obrażeń, ale wszystkich martwych.

Wszyscy kupcy złomu i rdzy zatrudniani przez Lawsona i Carlsona uciekli w głąb lądu, żeby przeczekać burzę. Rozbiórka stanęła - nie było firm w rodzaju GE, które skupowały złom do swoich fabryk, ani kompanii transportowych, jak Patel Global Transit, szukających złomu, który można by wywieźć na inny kontynent. Pojechali księgowi, rzeczoznawcy i korporacyjni ochroniarze, którzy ważyli i skupowali pochodzące z wraków surowce - skoro nie było nikogo, kto kupowałby ich produkt, złomiarze wykorzystywali czas na ścinanie drzew i remontowanie szop, szukanie pożywienia w dżungli i w oceanie. Póki biznes nie zorganizuje się od nowa, zdani byli sami na siebie.

Pima i Nailer poszli poszukać jedzenia, zaczęli zbierać opadłe zielone kokosy, potem skupili się na kałużach i rozlewiskach. Z daleka widzieli wystający punkt wysepki.

- Tam będą kraby - powiedziała Pima.

- Tak? A będziemy się zapuszczać tak daleko?

Pima wzruszyła ramionami.

- Lepszy łup, jak nie ma konkurencji, nie? - Wskazała stojące w ciszy wraki. - Przecież nikomu nie będziemy potrzebni.

Wzięli konopny worek, wiadro i wyprawili się na poszukiwania, poszli przez plażę, a potem prowadzącą do wysepki mierzeją. Ocean po obu stronach lśnił jak lustro. Na piasek wtaczały się białe jak mleczne zęby grzywacze. Czarne skorupy wraków sterczały ku słońcu - ogromne pomniki świata, który upadł.

Daleko na horyzoncie nad falą ślizgał się kliper z rozwiniętym podniebnym żaglem. Nailer przerwał zbieranie i patrzył, jak tnie błękitną wodę. Tak blisko i tak daleko zarazem.

- Co, znowu będziesz śnić na jawie? - zapytała Pima.

- Oj, przepraszam. - Nailer pochylił się i przeczesał dłonią kolejną kałużę, krzywiąc się trochę od tego ruchu. Siniaki prawie zniknęły, choć rękę nadal nosił na temblaku, a w barku wciąż denerwująco go piekło. Szli dalej mierzeją. W paru miejscach, w głębi przejrzystej wody było widać stare domy albo ich betonowe fundamenty.

- O, zobacz - powiedziała Pima, pokazując coś palcem. - Wielki dom musiał być.

- Skoro byli tacy bogaci - zapytał Nailer - to czemu budowali w miejscu, w którym grozi utonięcie?

- A skąd mam, kurna, wiedzieć? Pewnie nawet bogaci ludzie czasem są głupi. - Pima wskazała coś głębiej w zatoce. - Ale nie tak głupi, jak ci, co zbudowali Zęby.

Woda nad Zębami była spokojna, mierzwił ją lekki wietrzyk. Z fal wystawało tylko parę czarnych belek i fragmentów konstrukcji. Pod powierzchnią natomiast czaiły się całe wysokie, potężne budynki z cegły i stali. Ludzie, którzy budowali Zęby, nie docenili

podnoszącego się poziomowi morza. Ich budowle było widać teraz tylko przy odpływie. Przez resztę czasu ruiny były kompletnie niewidoczne.

- Zastanawiałaś się kiedyś, czy tam jest coś do wzięcia? - zapytał Nailer.

- Raczej nie. Była masa czasu, żeby powybierać wszystko, co łatwo dostępne.

- No tak, ale na pewno zostało jakieś żelazo albo stal. Rzeczy, które w ich czasach nie były takie rzadkie jak teraz.

- Nikt nie będzie polował na jakieś ogryzki zardzewiałej stali, skoro do rozebrania jest tyle statków.

- No tak, w sumie racja. - Mimo to, nadal męczyła go myśl, że tam pod powierzchnią mogą kryć się skarby.

Przeszli, brodząc, przez ruiny domów bogaczy, i ruszyli dalej mierzeją; kierowali się ku zielonej kępce wyspy. Ostatni fragment drogi prowadził przez szeroką piaszczystą plażę, odsłoniętą podczas odpływu. Dobrze się po niej szło.

Dotarli do wysepki, wspięli się pomiędzy drzewa, pnącza kudzu i zarośla: szło im nieźle, nawet pomimo niesprawnej ręki Nailera. Weszli na sam szczyt. Przed nimi rozciągał się wielki, błękitny przestwór oceanu. Całkiem jakby znaleźli się nagle pośrodku niego - tak daleko byli od brzegu. Czując wiejącą od wody bryzę, Nailer mógł udawać, że naprawdę stoi na mostku pędzącego ku horyzontowi statku. Wpatrzył się w zakrzywienie ziemi, chcąc sięgnąć wzrokiem drugiej strony świata.

- Szkoda, że cię tu nie ma - mruknęła Pima.

- Taa.

Nigdy dotąd nie był bliżej pełnego morza. Myślał o nim tak intensywnie, że aż bolało. Niektórzy to urodzeni szczęściarze: mogą sobie żeglować klipami.

A inni to plażowe szczury, jak on i Pima.

Nailer oderwał wzrok od horyzontu i przepatrzył zatokę. Na głębiny falowały cienie Zębów. Zdarzało się że wpadały na nie statki, które nie orientowały się w okolicy.

Widział kiedyś, jak rybak zawisł na tych dźwigarach i zatonął - wpłynął pomiędzy płatanię stali ze starych wieżowców i nie mógł się uwolnić. Paru złomiarzy popłynęło tam potem po łupy. Czasem, jak pozwoliły pływy, Zęby naprawdę potrafiły ugryźć.

- No chodź - powiedziała Pima. - Lepiej, żeby nas tu nie zastał przyływ.

Nailer zszedł na dół, pozwalając, by Pima pomagała mu na co trudniejszych odcinkach.

- A jak tam stary, już się napił? - zapytała nagle Pima.

Nailer przypomniał sobie rano i dobry humor ojca.

Bystry wzrok, śmiech, gotowość do pracy - ale i nerwowość, typową, kiedy nie wziął jeszcze kryształu albo czerwoniaka.

- Jakiś czas będzie w porządku. Fuksiarz nie pozwoli mu tłuc ludzi, jak nie będzie czysty. Pewnie zacznie dopiero wieczorem.

- Nie mam pojęcia, czemu ty go uratowałeś. Nic, tylko cię leje.

Nailer wzruszył ramionami. Zarośla na wyspie były zadziwiająco gęste, musiał rozgarniać je rękoma, żeby gałęzie nie siekły go po twarzy.

- Kiedyś tak nie było. Kiedyś był inny. Póki nie zaczął brać i póki żyła mama.

- Wtedy też nie był za super. Teraz po prostu jest gorszy.

Nailer się skrzywił.

- No, wiesz... - Wzruszył ramionami, czując sprzeczne emocje. - Gdyby nie on, pewnie bym się z tej ropy nie wydostał. To on nauczył mnie pływać. Nie myślisz, że jestem mu coś za to winien?

- Zależy, ile razy na dzień da ci w mordę. Jak będzie miał dość okazji, to w końcu cię zabije.

Nailer nie odpowiedział. Gdy się nad tym zastanowił, sam też nie miał pojęcia, czemu właściwie uratował ojca. Richard Lopez nie ułatwiał mu życia. Może dlatego, że wszyscy ciągle gadali, jaka ważna jest rodzina? Perelka tak mówił. Mama Pimy. Wszyscy. A Richard Lopez stanowił całą rodzinę, jaka mu została.

Nie mógł jednak nie ubolewać, że jego rodziną nie są Sadna i Pima, a nie Richard Lopez. Ciekawe, jak to by było, cały czas z nimi mieszkać - nie tylko wtedy, gdy ojciec ma jazdę. Wiedzieć, że za dzień czy dwa nie musi wracać do domu ojca. Mieszkać z ludźmi, na których można liczyć, do których można mieć zaufanie.

Gęstwina się skończyła. Weszli na pływowe rozlewiska, pomiędzy ostre skały na samym końcu wysepki. Z wody wystawały granitowe wały, tworzące coś w rodzaju falochronu, broniącego wyspy przed najgorszymi ciosami nowych sztormów. Pima zaczęła zbierać oszołomione od sztormu orłoryby i małe karmazynki, wrzucając je do wiaderka.

- Kupa ryb. Więcej niż myślałam.

Nailer nie odpowiedział. Wpatrywał się w skały w oddali. Coś tam odbijało światło, jak szkło. Coś białego i błyszczącego.

- Ej, Pima. - Szarpnął ją za ramię. - Zobacz tam?

Pima wyprostowała się.

- Co za cholera?

- To kliper, nie? - Przełknął ślinę, postąpił krok naprzód. Stał. Fatamorgana czy co?

Cały czas spodziewał się, że widok zaraz się rozplynie. Jednak białe deski i trzepoczące tkaniny uparcie trwały. - Tak. Na pewno. To musi być kliper.

Pima zaśmiała się cicho za jego plecami.

- Nie, Nailer. Nie masz racji. To wcale nie kliper. - Nagle puściła się biegiem, wyprzedzając go. - To skarb!

Wiatr ponióśł drwiąco jej śmiech. Nailer otrząsnął się z osłupienia i pobiegł za nią. Gdy pędził przez piasek, z ust wyrwał mu się okrzyk radości.

Przed nimi w słońcu lśnił zapraszająco biały jak mewa kadłub wraku.

Rozdział VIII

Statek leżał na burcie, rozbitej i zanurzonej w wodzie, jak z przetrąconym kręgosłupem. Nawet zniszczony był piękny, w niczym nie przypominał rdzewiejących żelaznostalowych wraków, które codziennie rozbierali na części.

Był wielki; używano go do szybkiego transportu towarów i ludzi Szlakiem Polarnym - przez wierzchołek świata do Rosji i Nipponu. Albo może przez wzburzony Atlantyk do Afryki i Europy. Płaty nośne miał wciągnięte, ale przez dziury w rozbitym węglowo-polimerowym kadłubie Nailer widział ich mechanizmy: potężne tryby do rozkładania płatów, skomplikowaną hydraulikę i precyzyjną elektronikę do sterowania.

Pokład był przechylony ku nim, ukazując działko Buckella i szyny do wystrzeliwania żagli spadochronowych. Bapi, kiedyś, jak był w dobrym humorze, powiedział Nailerowi, że takie działko potrafi wyrzucić żagiel na kilkaset metrów w górę, żeby łapał wysokie wiatry, które potrafią podnieść żaglowiec na płaty nośne, żeby sunął po samych wierzchołkach fal z prędkością ponad pięćdziesięciu węzłów.

Nailer i Pima stanęli jak wryci, gapiąc się na ogromny wrak.

- O Mojry, jaki on jest piękny - sapnęła Pima.

Nawet martwy wyglądał jak królewski orzeł, pokonany i ranny, choć wciąż wyróżniający się drapieżnym pięknem swych linii. Miał opływowy, aerodynamiczny kształt łowcy, każdy kąt i każdą krzywiznę przemyślano tak, by stawiać jak najmniejszy opór. Nailer omiół wzrokiem górne pokłady klipra, pontony, stabilizatory, postrzępione resztki stałych żagli, a wszystko to białe, aż oślepiająco białe w słońcu. Ani kropki rdzy czy sadzy. Ani kropli wyciekającego oleju, mimo roztrzaskanego kadłuba.

Stare tankowce i frachtowce ze stoczni rozbiórkowej, te rdzewiejące dinozaury, nie mogły się z nim równać. Bez napędzającej je kiedyś drogocennej ropy były bezwartościowe. Stały tylko, jak potężne, leniwe bestie, wypuszczające do wody brud i trucizny. Już po zbudowaniu, w Epoce Przyspieszenia, były cuchnące i niszczące środowisko - teraz niszczyły je dalej, nawet po śmierci.

Natomiast kliper był czymś zupełnie innym, machiną skonstruowaną przez anioły. Napis na dziobie był dla nich obojga nieczytelny, Pima rozpoznała jednak jedno ze słów poniżej.

- Z Bostonu jest - powiedziała.

- Skąd wiesz?

- Jedna lekka ekipa, w której pracowałam, rozbierała frachtowiec z Bostonu i tam było to samo słowo. Widziałam je, kurna, na każdych drzwiach tej cholernej balii, jak ją rozbieraliśmy.

- Nie przypominam sobie.

- To było, zanim cię wzięli do ekipy. - Zawahała się. - Ta pierwsza litera to „B”, a potem jest „S”, to zakręcone jak wąż. Musi być to samo.

- Masz pomysł, co się im stało?

- Pewnie ten sztorm.

- Ale powinni być trochę mądrzejsi. Na takich statkach mają ustrojstwa do gadania z satelitami. Wielkie oczy w chmurach. Nie powinno w ogóle ich dopaść.

Teraz Pima spojrzała na Nailera.

- A skąd ty wiesz?

- Kojarzysz Starego Milesa?

- Tego, co umarł, tak?

- Taa. Jakąś infekcję płuc podłapał, czy coś. Ale wiesz, robił kiedyś w kuchni na takim kliprze, zanim go nie wywalili. Mówił, że te ich kadłuby są z jakiegoś specjalnego włókna, co sunie po wodzie jak olej, i że do stabilizowania statku są specjalne komputery. Mierzą prędkość wody i wiatru. A już na pewno mówił, że gadają z satelitami od pogody, tak jak Lawson & Carlson, kiedy nadchodzi sztorm.

- Może myśleli, że przed nim uciekną - domyślała się Pima.

Oboje wpatrzyli się we wrak.

- Masa łupów.

- Taa. - Pima zastanowiła się. - Pamiętasz, co mówiłam parę dni temu wieczorem? Że trzeba mieć szczęście i spryt jednocześnie?

- Pewnie.

- Jak myślisz, jak długo uda się nam utrzymać go w tajemnicy? - Wskazała brodą plażę i wraki. - Przed nimi wszystkimi?

- Może z dzień, dwa. Jeśli naprawdę będziemy mieć szczęście. Potem ktoś przyjdzie. Albo, jeżeli plażowe szczury się nie dopatrzą, to zauważy go jakaś łódź rybacka. Albo jakiś kupiec...

Pima zacisnęła usta.

- Musimy to jakoś zgłosić, że to nasze.

- Akurat się uda. - Nailer przyjrzał się rozbitemu statkowi. - W życiu nam tego nie uznają. Patrole będą go szukać. Ochrona z korporacji. A jeśli to pełnoprawny wrak, to

Lawson & Carlson też będą chcieli działkę...

- Pewnie, że wrak - przerwała mu Pima. - Tylko popatrz na niego. W życiu już nie popłynie.

Nailer pokręcił z uporem głową.

- Dalej nie widzę, jak moglibyśmy go zatrzymać dla siebie.

- Moja mama - podsunęła Pima. - Ona mogłaby pomóc.

- Robi w ciężkiej ekipie. Jak sobie pójdzie, żeby tu z nami pracować, ludzie się zorientują. - Nailer spojrział na plażę. - My też: jeśli jutro nie wrócimy do roboty, zaczną się zastanawiać, gdzie się podzialiśmy. - Rozmasował bolący bark. - Potrzeba ochrony. Nawet jak uda nam się ugadać jakichś oprychów, to jak tylko to zobaczą, wezmą wszystko dla siebie.

Pima zagryzała wargę, myśląc.

- Nawet nie wiem, jak się takie znalezisko rejestruje.

- Wierz mi, nikt nam tego nie da zarejestrować.

- A może Fuksiarz? Ma kontakty w szefostwie. Może on mógłby to zrobić. Żeby Lawson & Carlson nas nie wysiudali.

- I też nam to zabierze. Tak jak każdy inny.

- On rozdaje teraz jedzenie - zauważyła Pima. - Nikt inny tego nie robi. Daje na kredyt każdemu, kto może sprowadzić dwie osoby, które poświadczą, że ma pracę i wróci do niej, jak tylko robota się znowu rozkręci.

- Dla niego jesteśmy tylko wszarzami. Rdzy od nas nie weźmie. Żarcie, to jedna sprawa... - Nailer spojrział sfrustrowany na wrak. Takie bogactwo, gdyby tylko mogli je jakoś przejąć. - Głupoty gadamy. My jesteśmy od wyrywania miedzi z kanałów. Nie mamy pojęcia, co tam jest. Musimy wejść i sami się rozejrzeć.

- Pewnie. - Pima kiwnęła głową. - Masz rację. Może coś drogiego i lekkiego, co da się gdzieś schować. Potem pomyślimy, co z resztą.

- Tak. A może zawiadomimy o tym statku, może jest za niego jakaś premia?

- Nagroda?

- Kiedyś u Chena w budzie z makaronami słyszałem o czymś takim w radiu. Że dostaje się nagrodę, jak się komuś pomoże.

- To czemu od razu nie powiedziałaś „nagrada”?

- Bo tam mówili „premia”. - Nailer skrzywił się i splunął. - No chodź. Przyjrzymy mu się.

Przedarli się przez ostatnie skały ku statkowi. Był odpływ: woda wokół kadłuba

sięgała im ledwo do kostek. W zalewiskach tkwiło trochę ryb, inne leżały na plaży, psując się pomiędzy pasmami wodorostów. Z bliska statek zrobił się większy. Nie jak te rdzewiejące monolity z Epoki Przyśpieszenia, ale i tak nad nimi górował. Pima wspięła się po rozbitej burcie i wśliznęła do środka, szybko i sprawnie po latach pracy w ekipach rozbiórkowych. Nailer ruszył za nią trochę wolniej, podciągając się na jednej zdrowej ręce.

Wrak leżał na boku, więc czołgali się jego korytarzami trochę jak kanałami technicznymi - to było niespodziewanie znajome, jak na coś, co powinno być zupełnie inne. Nailer rozglądał się po zakamarkach. Błysk metalu, trochę rozrzuconych ubrań, śmieci, smród psujących się ryb.

- Rzeczy dla lalusiów - powiedział. Obmacał sukienkę, która wyglądała jak z jedwabiu. - Popatrz tylko na to.

Pima zrobiła lekceważącą minę.

- Po co komu takie ciuchy? - Wygramoliła się z dziury na przechylony pokład i wspinała po nim, póki nie znalazła wjazdu. Chwilę później zawołała: - Mam kambuz! - Gwizdnęła. - Chodź i zobacz!

Nailer z trudem wspiął się za nią. Kuchnia była zrujnowana, wszystko powysypywane, ale część rzeczy tkwiła na swoim miejscu - przymocowane, szczelne pojemniki z ryżem i mąką. Pima zaczęła otwierać szuflady. Wysypały się butelki, ulewą szklanych odłamków, buchnęły przyprawy. Zmarszczyła nos i zakaszła.

Nailer kichnął.

- Wolniej, kobieto.

- Przepraszam. - Znów zakaszła. Otworzyła szafkę. Wysypały się półcie mięsa, już zepsutego od upału: wielkie, miękkie steki, lepsze niż wszystko, co można było kupić na plażach. Oboje zakryli usta dłońmi, oddychając płytko, gdy owiał ich odór.

- Chyba musieli mieć tu elektryczne chłodzenie - powiedział. - Tylko tak byli w stanie trzymać tyle mięsa.

- Cholera. Nieźle byli urządzeni, co?

- No. Nic dziwnego, że Stary Miles tak żałował, że go wywalili.

- A co zrobił?

- Powiedział, że był pijany, ale ja myślę, że handlował czerwoniakami.

Pima zajrzała do środka, sprawdzając, czy da się coś uratować. Cofnęła głowę, dławiąc się. Smród zgniłego mięsa był zbyt silny. Poszli dalej w głąb statku.

Pierwsze zwłoki znaleźli w jednej z kajut. Mężczyzna, bez koszuli, o szeroko otwartych oczach, we flakach roilo mu się od krabów. Pima odwróciła głowę, dławiąc się

smrodem śmierci w ciasnym pomieszczeniu, potem jeszcze raz zajrzała do środka. W płytkiej kałuży koło głowy trupa trzepotały się ryby. Trudno było powiedzieć, czy utonął, czy załatwiła go paskudna rana na czole. W każdym razie nie żył.

- No, ten się nie obrazi, jak go obrabujemy - mruknęła Pima.

- A co, chcesz go obszukać?

- Kieszenie ma.

Nailer pokręcił głową.

- Ja tam go nie dotykam.

- Nie bądź wszarzem.

Pima wzięła głęboki wdech i podkradła się bliżej do trupa. Wzbiła się chmura much, zabrzęczały w gorącej kajucie. Pima pociągnęła go za nogawkę i wsunęła palce do kieszeni. Zgrywała twardą, choć Nailer wiedział, że jest zdenerwowana. Oboje słyszeli opowieści o takich świeżych wrakach. Trupy były nie do uniknięcia - ale i tak strasznie było patrzeć facetowi w martwe oczy i myśleć, że jeszcze niedawno chodził po pokładzie, zanim sztorm wszystko mu zabrał i dał jakiejś bandzie dzieciaków z plaży.

Przepatrzył resztę kabiny. Wielka była. Stłuczone zdjęcie na podłodze ukazywało tego człowieka, ubranego w białą bluzę z paskami na rękawach. Podniósł ramkę i przyjrzał się jej.

- To chyba był jego statek.

- Tak?

Rozejrzał się po ścianach. Przymocowana okuciami staroświecka luneta. Kartki papieru z różnymi napisami, pieczęciami, wyglądającymi bardzo oficjalnie stemplami. I kolejne zdjęcie tego samego człowieka, z drugim, przepasanym przez ramię sznurem. Stali przed kliprem, uśmiechnięci. Nie był w stanie powiedzieć, czy to ten sam statek, czy nie, było jednak oczywiste, że mężczyzna jest bardzo dumny. Obejrzał się na opuchniętego trupa i sapnął z namysłem.

Pima, jakby czytając mu w myślach, uniosła wzrok.

- To wszystko szczęście, Nailer. Szczęście i Mojry. Tylko tyle mamy. - Błysnęła zdobycznymi monetami. Dość, żeby wyżywić oboje przez tydzień. Miedziaki i wilgotny rulon chińskich czerwonych banknotów. - Dzisiaj to my mamy szczęście.

- No tak. - Nailer kiwnął głową. - A jutro już możemy nie mieć.

Kapitan, na przykład, szczęścia nie miał. I dzięki temu Nailer i Pima byli teraz bogaci. Dziwne, jak się o tym pomyśli. Kapitan leżał, wzdęty, z opuchniętą, siną twarzą, a słońce przypiekało i rozkładało ciało. Wokół roiły się beztrósko muchy: w oczach, ustach, krwi na

głowie, ranie na brzuchu. Całe chmary osiadły na nim z powrotem, gdy tylko Pima się odsunęła.

Nailer jeszcze raz, z namysłem, przyjrzał się kabinie. Mosiądz na ścianach, łupy na każdym kroku. Statek lalusiów, tyle było pewne. Kajuta kapitana ociekała bogactwem, a cały statek, choć wielki jak frachtowiec, nie wyglądał jak coś do przewozu towarów. Wszystko było zbyt ładne, wszędzie jedwab, w korytarzach dywany, miedź, mosiądz i małe szklane latarenki. Przeszukali kolejne kabiny. Znaleźli rzeźbione meble, salony, bawialnie, bar pełen porozbijanych butelek z alkoholem, prywatne kajuty, na ścianach zniszczone dzieła sztuki, porozrzucane, porozdzierane olejne obrazy.

Na dole, w maszynowni, przy sterujących statkiem urządzeniach, znaleźli kolejne trupy.

- Półudzie - szepnęła Pima.

Trójka półludzi, wzdętych, utopionych. Ich twarze bestii z językami wywieszonymi spomiędzy ostrych zębów wydawały się dziwnie głodne. Żółte psie oczy patrzyły martwo na Pimę i Nailera, połyskując tępo w promieniach penetrującego rozbitą maszynownię tropikalnego słońca.

- Nieźli musieli być lalusie, skoro stać ich było na tylu półludzi.

- O, ten jest do ciebie podobny - rzucił Nailer. - Na pewno nie sprzedawałaś jajeczek?

Pima parsknęła śmiechem i dźgnęła go łokciem w żebra, choć i ona nie zasugerowała, żeby ich przeszukać. Te genetycznie zmodyfikowane kreatury miały w sobie coś paskudnego, człowiek aż nie miał ochoty się do nich zbliżyć.

Rozdzielili się i dalej badali statek. Na górnych pokładach Pima znalazła kolejnego martwego półczłowieka, przypiętego pasami do koła sterowego i utopionego. Tyle ofiar, pomyślał Nailer. Ci ludzie musieli być kompletnymi kretynami, żeby wpakować się w niszczyciela miast. Pchnął kolejne drzwi i aż gwizdnął, zaskoczony.

Stół, przewrócony na bok, wbity pod ścianę, z czarnego drewna ciemnego jak noc. Wszędzie potłuczone szkło, porozrzucane kielichy...

- Pima! Chodź tu, zobacz!

Przybiegła. Kabina była pełna srebra: srebrne lichterze, srebrne sztucce, srebrne talerze, miski... jeden wielki fuks, czekający, aż ktoś go zgarnie.

- Masa kasy. - Pima aż sapnęła.

- Wystarczy, żeby spłacić wszystkie nasze długi ze służby. Mając tyle kasy, sami będziemy mogli organizować ekipy. Nawet kupić przydział Bapiego dla lekkiej ekipy.

- No rusz się! - powiedziała Pima. - Wysprzątajmy to, zanim ktoś inny tu przyjdzie.

Jesteśmy bogaci, Szczęściarzu! - Chwyła go i ucałowała w prawy policzek, lewy, a na koniec w same usta, śmiejąc się z jego zdziwienia. - Och, Szczęściarzu! Jesteśmy bogaci! Będziemy więksi niż sam Fuksiarz!

Zarażony jej humorem Nailer też zaczął się śmiać. Zebrali wokół siebie srebro, całe góry, aż po sufit. Przeszukali rozbitą porcelaną, kieliszki i półksiężycy misek z delikatnego szkła, znajdując coraz więcej i więcej skarbów.

Pima poszła poszukać czegoś, żeby to wszystko spakować. Wróciła z konopnym worem, który jeszcze parę minut temu też nazwaliby łupem - dałoby się go sprzedać za parę metrów miedzi, i też by się cieszyli - a teraz był tylko opakowaniem na prawdziwy skarb: całe to srebro. Tace, widelce i noże powędrowały do worka. Widelczyki tak małe, że ginęły Nailerowi w dłoni, łychy tak wielkie i głębokie, że nadałyby się na chochle w jadłodajni Chena, gdzie karmił sto gąb za jednym posiedzeniem.

Nailer wyprostował się.

- Trzeba zobaczyć, co jeszcze tu jest. Może będzie więcej.

Pima mruknęła z aprobatą. Nailer wygramolił się do głównego korytarza i przedostał przez salon pełen porzucanych obrazów i statuetek. Nawet pełnej lekkiej ekipie zdemontowanie całego tego mosiądzu, miedzi i wszystkich kabli zajęłoby parę dni. Jak wyniosą z Pimą pierwsze łupy, trzeba będzie obmyśleć jakiś plan. Musi być sposób na to, żeby zagwarantować sobie udział w reszcie.

Szczęście i spryt. Musieli mieć szczęście i spryt.

Problem polegał na tym, że ten fuks był aż za duży, żeby sprytnie go rozegrać.

Znalazł drzwi do kolejnej kajuty i otworzył je kopniakiem. Dziwna kabina, pełna lalek i nasiąkniętych wodą misiów. Błyszczące drewniane pociągi, jak miniaturki tych magnetycznych. Rozdarty obraz na ścianie: kliper, może nawet ten kliper, widziany z wysoka, jakby ktoś patrzył z góry na pokład. Wszystkie głowy w dole zadarte, oczy wpatrzone w niebo. Całkiem dobry malarz, obraz był prawie jak zdjęcie. Nailer dziwnie się czuł, patrząc w nie, jakby mógł wpaść do środka i zlecieć na ten pokład. Wylądować między tymi wszystkimi ludźmi w lalusiowatych ubraniach, patrzących na niego zimnym wzrokiem. Oszalałoby go to. Odwrócił się od obrazu i jeszcze raz rozejrzał po kajucie. Na drugim końcu miała kolejne drzwi. Przeczółgał się ku nim po ścianie, która była teraz podłogą, i mozolnie je otworzył.

Sypialnia: wszędzie jakieś narzuty i wielkie połamane łoże. I piękna dziewczyna, martwa, zmiądzzona, gapiąca się nań wielkimi czarnymi oczyma.

Nailer stracił dech.

Nawet posiniaczona i martwa była ładna, wciśnięta pod pościel z łóżka, przygnieciona ciężarem wszystkich tych rzeczy, które ją zmiażdżyły. Czarne włosy spadały na twarz jak mokra sieć. Wielkie, ciemne oczy gapiły się przed siebie. Bluzkę z misternie splecionych kolorowych i srebrnych nitek miała rozdartą i przemoczoną. Była młoda. Nie w wieku kapitana i półludzi. Raczej w wieku Pimy. Bogata dziewczyna, z diamentowym kolczykiem w nosie.

Pozazdrościłby jej, gdyby nie była taka martwa.

Zawołał do Pimy:

- Znalazłem kolejnego trupa!

- Półczłowieka? - odkrzyknęła.

Nailer nie odpowiedział. Nie odrywał wzroku od martwej dziewczyny. Z tyłu coś zaskrobało, pojawiła się Pima.

- Cholera - powiedziała. - Szkoda.

- Ładna, co?

Pima parsknęła śmiechem.

- Nie wiedziałam, że lubisz trupy.

Nailer skrzywił się z niesmakiem.

- Gdybym chciał dziewczyny, jest cała masa żywych, dziękuję bardzo.

- Tak, ale ta ci nie da w mordę jak Lunia, kiedy spróbujesz ją pocałować. Tylko usta trochę jakby zimne. Pocałuj ją, a na pewno cię zabierze na samą wagę Boga Złomu.

- Błee. - Nailer zrobił zbrzydzoną minę. Pima za dużo się zadawała z ciężkimi ekipami i poczucie humoru też miała przez to przyciężkie.

- Zobacz, ile na niej złota - dodała Pima.

Nailer patrzył w czarne oczy dziewczyny, Pima miała jednak rację. Złoto na szczupłej śniadej szyi, złoto na palcach. Jeśli jest prawdziwe, to istna fortuna, warta więcej niż wszystko, co dotąd znaleźli.

Bez namysłu przeczołgali się przez górę rupieci ku zmiażdżonemu ciału. Dziewczyna była przygnieciona meblami. W ogóle nie były zamocowane, jakby bogaci lalusie myśleli, że nawet sztorm nie odważy się poprzestawiać im mebli. Jakby byli bogami i nie tylko przewidywali pogodę swoimi przyrządami i satelitami, ale również mogli jej rozkazywać.

Nailer wzdrygnął się na widok martwej bogatej dziewczyny. I w tym kryła się jakaś nauka, równie dobitna, jak to, co powtarzała im matka Pimy, ucząc ich, jak dożyć do dorosłości. Duma i śmierć przychodziły równie szybko, kiedy było się Bapim, który myślał, że wiecznie będzie szefem lekkiej ekipy, jak i kiedy się było tą zmiażdżoną dziewczyną, z

górami pięknych zabawek, złota i drogich kamieni.

Przykucnęli obok ciała.

- Dobrze, że chociaż krabów nie ma - mruknęła Pima.

Chwyliła naszyjnik dziewczyny i pociągnęła. Głowa odskoczyła jak u marionetki, łańcuszek się rozerwał. Złoty wisiołek zakołysał się przed nimi - hipnotyzujące bogactwo zaciśnięte w pięści Pimy. Jeden szybki ruch ręki i są bogatsi niż wszyscy, może z wyjątkiem Fuksiarza. Oboje zaczęli mozolić się nad pierścionkami, usiłując je zdjąć z chłodnego ciała.

- Cholera - mruknął Nailer, ciągnąc mocniej. - Strasznie jej palce zesztyniały.

- Twój też nie chce zejść? - zapytała Pima.

- Spuchnięte od wody. Nic nie chce zejść.

Pima wyciągnęła nóż.

- Masz.

Nailer skrzywił się z niesmakiem. - Co, chcesz jej tak ot, poobrzynać palce?

- Łatwiej niż uciąć kurze głowę. Przynajmniej nie będzie się szarpać i gdakać. - Pima przyłożyła nóż do palca dziewczyny. - Robisz to, co ja?

- A gdzie mam ciąć?

- W stawie. Kości nie przetniesz. A tak, zaraz odskoczy.

Nailer wzruszył ramionami i wyciągnął swój nóż. Przyłożył ostrze do stawu, w miejscu, gdzie łatwo ustąpi. Wcisnął je w skórę. Gdy ciął, wokół noża zebrała się krew.

Czarne oczy dziewczyny zamrugwały.

Rozdział IX

- Krew i rdza! - Nailer aż odskoczył. - Ona nie zginęła! Żyje!

- Co takiego? - Pima odsunęła się od zwłok.

- Poruszyła oczyma! Widziałem! - Serce zadudniło mu w piersi. Zwalczył pragnienie ucieczki z kajuty. Dziewczyna więcej się nie poruszyła, ale jemu i tak ścierpła skóra. - Jak zacząłem kroić, to się poruszyła.

- Ja nic nie wi... - Pima urwała w pół zdania.

Spojrzenie czarnych oczu utopionej dziewczyny zogniskowało się na niej. Przeskoczyło na Nailera i wróciło do Pimy.

- O Mojry... - szepnął Nailer. Zimne palce przebiegły mu po kręgosłupie, budząc ciarki. Jakby ich noże przywołały ducha z powrotem do ciała.

Jej usta zaczęły się poruszać. Ale nie wydobyły się z nich słowa. Tylko ledwo słyszalny syk.

- Aż dary chodzą, kurna - mruknęła Pima.

Dziewczyna dalej szeptała, jednostajny strumień syczących głosek, modlitwa, błaganie, tak ciche, że ledwo odróżniali słowa. Wbrew rozsądkowi, Nailer przysunął się bliżej, wabiony jej oczyma i desperacją. Przystrojone złotem palce zadrgały, wyciągnęły się ku niemu. Znowu szepty: brzmiały jak modlitwa, błaganie, jakby wypuszczała z siebie całą słoną okropność sztormu. Wzrok omiótł kajutę, oczy rozszerzyły się w przestrachu, przerażone czymś, co widziała tylko ona. Potem wbiła wzrok w Nailera, desperacki, błagalny. Wciąż szeptała. Przysunął się jeszcze, próbując zrozumieć słowa. Jej ręce zatrzepotały słabo, gdy usiłowała chwycić go za ramiona, sięgnęły, by dotknąć jego twarzy, lekko jak motyle - chciała przyciągnąć go bliżej. Nachylił się i pozwolił, by palce topielicy go chwyciły.

Szepczące usta musnęły jego ucho.

Modliła się. Łagodne, błagalne słowa skierowane do Ganesi, Buddy, do Kali matki Miłosiernej i chrześcijańskiego Boga... modliła się do wszystkiego, co się nawinęło, błagała Mojry, żeby wypuściły ją spod cienia śmierci. Z jej ust rozpaczliwym strumieniem lały się błagania. Była ranna, miała zaraz umrzeć, ale na razie szeptała te słowa i szeptała: „Tum karuna ke saagar Tum palankarta zdrowaś Mario łaskiś pełna Ajahn Chan Bodhisattva zbaw mnie ode złego...”.

Cofnął się. Jej palce odpadły od policzka jak płatki wędnącego storczyka.

- Umiera - powiedziała Pima.

Wzrok dziewczyny się zamglił. Wciąż poruszała wargami, ale wydawało się, że traci energię i wolę modlitwy. Słowa zmieniły się teraz w delikatne akcenty na tle odgłosów oceanu i wybrzeża: krzyków mew, szumu fal, trzeszczenia i skrzypienia wraku statku.

Powoli ustawały. Jej ciało znieruchomiało.

Pima i Nailer spojrzeli po sobie.

Zalśniło złoto na jej palcach.

Pima uniosła nóż.

- O Mojry, strach się bać po prostu. Bierzmy to złoto i zwiewajmy.

- Chcesz jej ucinać palce, kiedy jeszcze oddycha?

- Długo już nie pooddycha. - Pima pokazała zwalone na nią łóżko, marynarskie skrzynie, górę śmiecia. - Jest załatwiona. Jak jej poderżnę gardło, to właściwie wyświadczę jej przysługę. - Podkraśla się bliżej i dźgnęła ją w rękę. Topielica nie zareagowała. - Widzisz, już i tak nie żyje. - Znow przyłożyła nóż do jej palca.

Dziewczyna raptownie otworzyła oczy.

- Proszę - szepnęła.

Pima zacisnęła wargi, ignorując te słowa. Dziewczyna musnęła jej twarz swobodną ręką. Pima opędziła się od niej. Napała na nóż, popłynęła krew. Dziewczyna nie drgnęła. Nie cofała dłoni. Tylko patrzyła, błagalnie, czarnymi oczyma, jak nóż wbija się w jej brązową skórę.

- Proszę - powtórzyła.

Nailer poczuł ciarki.

- Pima, nie rób tego.

Pima obejrzała się na niego.

- Co, będziesz się łamać? Myślisz, że uda ci się ją uratować? Zostać jej rycerzem na białym koniu, jak w bajeczkach mamy? Jesteś tylko plażowym szczurem, a ona lalunią. Wychodzi stąd cała, statek jest jej, a my wszystko tracimy.

- Tego nie wiadomo.

- Nie bądź głupi. To wszystko jest do wzięcia, tylko jak ona nie stoi na górze i nie mówi, że to jej. Całe to srebro? Tyle złota na palcach? Wiesz dobrze, że to jej łajba. Dobrze wiesz. Popatrz, jak wygląda jej pokój. - Pima ogarnęła ramieniem pobojuwisko wokół. - Od razu widać, że nie robi tu za służącą. To lalunia, zaszrana elegantka. Wypuścimy ją stąd i wszystko przepada. - Spojrzała na dziewczynę. - Przykro mi, lalka. Więcej jesteś warta martwa niż żywa. - Zerknęła na Nailera. - Jak ci to ma w czymś pomóc, to najpierw jej

poderżnę gardło. - Przytknęła nóż do gładkiej brązowej szyi.

Oczy rannej dziewczyny odszukały go, błagając o ratunek, lecz już się nie odezwała. Patrzyła tylko.

- Nie zabijaj jej... - powiedział Nailer. - Tak się nie da zaliczyć fuksa... to by było jak z Leserką i ze mną.

- Zupełnie nie to samo. Leserka była w ekipie. Przysięgała ci na krew. Okazała się kompletnie niemoralna. Ale ta lalunia? - Pima poklepała topielicę płazem noża. - Nie jest z ekipy. To tylko córunia szefa, który ma kupę złota. - Skrzywiła się. - Zaciukamy ją i jesteśmy bogaci. Do końca życia zero pracy w ekipie, tak czy nie?

Na palcach topielicy zabłysło złoto. Nailer walczył ze sprzecznymi emocjami. Bogactwo, jakiego w życiu nie widział. Więcej niż wszystkie ekipy zebrały przez lata ze wszystkich wraków - i ta dziewczyna nosiła to na palcach nonszalancko, jak Lunia stalowy drut w podziurawionych ustach.

Pima nalegała.

- Nailer, to się zdarza raz w życiu. Sprytnie to rozegramy, albo do końca życia mamy przerąbane. - Trzęsa się już, w oczach zalśniły łzy. - Mnie też się to nie podoba. - Obejrzała się na dziewczynę. - To nic osobistego. Po prostu ona albo my.

- Może, jak ją uratujemy, dostaniemy jakąś nagrodę - powiedział.

- I ty, i ja wiemy, że nie tak to działa. - Zerknęła na niego ze smutkiem. - Tak to bywa w bajkach i opowieściach mamuśki Perełki o radzy, co zakochuje się w swojej służącej. My albo się bogacimy, albo ginimy w ciężkiej ekipie, i to jeśli się nam poszczęści. Może nosimy ropę, póki nie dorobimy się ran na nogach, albo twój stary nie rozwali nam łbów. Co mamy jeszcze do wyboru? Żniwiarzy? Walibudy? Jeszcze możemy popychać na wrakach czerwoniaki i kryształki, póki nas Lawson i Carlson nie powieszą. Takie mamy opcje. A ta lalka? Wraca do swojego życia bogatej laski.

Nailer wpatrzył się w dziewczynę. Parę dni temu poderżnąłby jej gardło bez problemu. Przeprosiłby te zdesperowane oczy i wbił nóż w szyję. Zrobiłby to szybko, żeby nie cierpiała - nie męczyłby jej tak, jak ojciec lubił męczyć ludzi - ale jednak by zabił, a potem pozdejmował całe złoto ze wzdętego od wody trupa i poszedł sobie. Naturalnie, byłoby mu przykro, złożyłby nawet jakąś ofiarę na wadze Boga Złomu, żeby pomóc jej trafić do takiego życia wiecznego, w jakie wierzyła. Zginęłaby jednak, a on nazywałby siebie szczęściarzem.

Teraz jednak myśli wypełniał mu mroczny smród ropy - wspomnienie o tym, jak siedział po szyję w ciepłej śmierci i patrzył na Leserkę wysoko w kanale, ze świecącą plamką

na czole - stanowiącą ratunek tylko jeśli uda mu się ją przekonać, jeśli uda mu się dotknąć tej części jej jaźni, którą obchodzi cokolwiek poza nią samą; jak wiedział, że ona ma gdzieś ten punkt zaczepienia, że jeśli uda mu się go znaleźć, pójdzie po pomoc, uratuje go i wszystko będzie dobrze.

Tak rozpaczliwie pragnął wtedy, żeby Leserka się przejęła jego losem.

Niestety, nie był w stanie znaleźć tego punktu zaczepienia. Albo w ogóle go nie było. Niektórzy ludzie nie widzą niczego poza sobą. Tacy jak Leserka.

Albo jak jego ojciec.

Richard Lopez nie zawahałby się. Poderznąłby bogatej lalce gardło, zabrał pierścionki, otrząsnął je z krwi i śmiał się w głos. Nailer był pewien, że tydzień temu sam zrobiłby tak samo. Lalunia to nie ekipa. Nic nie jest jej winien. Teraz jednak, po zbiorniku z ropą, mógł myśleć tylko o tym, jak bardzo pragnął, by Leserka uwierzyła, że jego życie jest równie ważne jak jej.

Znów załśniło złoto na palcach dziewczyny.

Co się z nim porobiło? Nailer miał ochotę walnąć pięścią w ścianę. Czemu nie może po prostu być cwany? Czemu nie weźmie się w garść, nie chwyci noża i nie zgarnie łupu? Prawie słyszał, jak jego ojciec nabija się z niego, jak drwi z jego głupoty. On jednak patrzył w błagające oczy topielicy i widział swoje własne.

- Przepraszam, Pima - powiedział. - Nie dam rady. Musimy jej pomóc.

Pimie opadły ramiona.

- Pewien jesteś?

- Tak.

- Cholera jasna. - Pima otarła oczy. - Może ja i tak ją zarżnę. Będziesz mi później dziękował.

- Nie rób tego. Proszę. Oboje wiemy, że to źle.

- Źle? A co jest dobrze? Popatrz tylko na to złoto.

- Nie podrzynaj jej gardła.

Pima skrzywiła się, ale cofnęła nóż.

- Może pozwoli nam zatrzymać srebra.

- No, taa. Może tak, a może nie.

Już pożałował własnej decyzji, patrząc, jak znikają nadzieje na lepszą przyszłość. Jutro i on, i Pima wrócą do rozbiórki, a ta dziewczyna albo przeżyje i sobie pójdzie, albo poinformuje o wraku całą resztę złomiarzy z plaży Bright Sands - tak czy owak, nic mu z tego nie przyjdzie. Trafił mu się fuks, a on właśnie przepuszczał go przez palce.

- Przykro mi - powiedział jeszcze raz, nie do końca wiedząc, czy jest mu przykro wobec Pimy, samego siebie, czy może dziewczyny, która mrugała wielkimi czarnymi oczyma, patrząc na niego, i która, jeśli naprawdę im się poszczęści, nie przeżyje dzisiejszej nocy. - Przykro mi.

- Przyływ idzie - odparła Pima. - Jak chcesz zostać bohaterskim ratownikiem, to lepiej się pośpiesz.

Dziewczyna była przysypana całą górą sprzętów, masą marynarskich kufrów i ramą wielkiego łoża z baldachimem. Odgarnięcie tego zajęło im prawie godzinę. Topielica nie odezwała się ani słowem. Raz jęknęła, gdy zdjęli z niej kufer, przestraszyli się wtedy, że może ją po drodze czymś przygnietli, lecz kiedy wreszcie ją uwolnili, przemoczoną i dygocącą w coraz słabszym słońcu, wydawała się cała. Skórę miała pokrwawioną, spódnice i bluzkę przesiąknięte wodą i podarte, ale żyła.

Pima zlustrowała ją uważnie.

- Cholera, Nailer, prawie taka sama szczęściara jak ty. - Po czym skrzywiła się z niesmakiem, uświadomiwszy sobie, że Nailer ma uszkodzoną rękę, więc jednak to ona zostanie tą ratowniczką.

- Nailer, jeśli się nie przyłożysz do roboty, to nie dostaniesz od niej buzi z podziękowaniem - prychnęła.

- Cicho bądź - mruknął Nailer, zauważywszy nagle pod mokrym ubraniem szczupłą figurę dziewczyny, krągłości jej ciała, błysk uda i dekoltu pod rozdartą tkaniną spódnicy i bluzki.

Pima tylko się zaśmiała.

Wyniosła topielicę z kabiny, poniosła przekrzywionymi korytarzami aż do wybitej w kadłubie dziury. Dziewczyna była ciężka i nie mogła ani iść, ani w żaden sposób jej pomóc. „Równie łatwo było z trupem”, rzuciła Pima, ze stękaniem wyciągając ją za zewnątrz. By opuścić ją wzdłuż burty do płytkiej wody przyływu, trzeba już było ich obojga - Nailer z trudem ją trzymał i opuszczał na wyciągnięte ręce Pimy, a potem oboje, potykając się, brodzili po coraz głębszych falach.

- Idź, weź, kuma, te srebra - stęknęła Pima. - Weź chociaż ten wór. Niech będzie schowany, gdyby ktoś inny znalazł wrak.

Nailer wgramolił się z powrotem na statek i przeszedł po kabinach, zbierając rzeczy. Gdy stanął z powrotem na krawędzi dziury w kadłubie, Pima już czekała, stojąc po uda w morskiej pianie. Przemknęło mu przez głowę, że może utopiła dziewczynę, ale po chwili dostrzegł na skałach u podstawy wyspy błysk jasnego ubrania.

Pima wyszczerzyła zęby.

- Co, myślałeś, że ją zarznęłam, nie?

- Nie.

Tylko się roześmiała. Fale chlupotały wokół niej, obryzgując śniade nogi, mocząc szorty. Statek zatrzęszczał pod naporem fal.

- Idzie przyływ. Ruszmy się stąd lepiej.

Nailer spojrział przez zatokę ku wrakom, błyszczącym w gasnącym słońcu.

- Już nie zdążymy przejść tam suchą nogą.

- To co, mam się przelecieć po łódkę? - zapytała Pima.

- Nie, nie da rady. Przesiedźmy na tej wyspie i rano przejdziemy. Może do tego czasu wymyślimy jakiś sposób na zgarnięcie reszty łupów.

Pima obejrzała się na dziewczynę, zwiniętą w kłębek, dygocącą.

- Dobra, niech będzie. Jej wszystko jedno, w tę, czy w tamtą. - Wskazała z powrotem na statek. - Ale jak mamy zostać, to zbierzmy stamtąd, co się da. Jest żarcie. Masa innych rzeczy. Rozbijemy obóz na wyspie i jutro ją sprowadzimy.

Nailer zasalutował żartobliwie.

- Dobry pomysł.

Wrócił do spiżarni. Znalazł przesiąkniętą słoną wodą babeczki. Poobijane mango, banany, granaty, porozrzucane po całym kambuzie. Soloną wołowinę, wciąż dobrą i z wyglądu nietkniętą. Suszoną szynkę. Tyle mięsa, że aż nie mógł uwierzyć. Wbrew sobie zaczął się ślinić.

Wszystko to zaciągnął do dziury w kadłubie. Ostrożnie zszedł, ściskając łup w znalezionej w kambuzie siatkowej torbie. Woda była coraz głębsza. Szarpała go i ciągnęła, gdy przez nią brnął z jedzeniem nad głową. Wyniósłszy wszystko na brzeg, zauważył, że topielica cała się trzęsie, i wrócił na wrak. W środku było już prawie ciemno. Znalazł koce z grubej wełny, wilgotne ale nadal ciepłe, i poniósł je na brzeg.

Przeszedł przez fale sięgające mu do piersi, podcinany przez spieniony przybój, z kocami nad głową. Na brzegu potknął się i rzucił je na ziemię. Rozejrzał się za dziewczyną.

- Nie zabiłaś jej jeszcze, co?

- Mówiłam, że nie, to nie. - Pima wskazała brodą rozdygotanego rozbitka. - Coś na rozpałkę masz?

Nailer wzruszył ramionami.

- Nie.

- Nailer, no! - Pima zrobiła zirytowaną minę. - Jeżeli ma przeżyć, potrzeba jej

ogniska.

- Ruszyła z powrotem na statek, z trudem brnąc przez ciemniejące fale.

- Zobacz, czy nie ma tam jakiejś słodkiej wody! - zawołał za nią.

Podniósł koce i zaczął taszczyć je wyżej, szukając na zboczu jakiegoś choć odrobinę płaskiego miejsca. W końcu wypatrzył całkiem przyzwoity skrawek pod korzeniami cyprysu. Oczyszczył go z kamieni i pnączy kudzu.

Zanim zszedł z powrotem na brzeg, Pima wróciła obładowana połamanymi meblami ze statku. W pobojuwisku w kambuzie znalazła jeszcze pojemnik z naftą i zapalniczkę. Po paru kursach z ładunkami na górę, wzięli tam także topielicę. Prawy bark i góra pleców Nailera piekły go od tego wysiłku - cieszył się, że nie musiał iść dzisiaj do lekkiej ekipy. Nawet ta niezbyt ciężka praca tutaj sprawiała mu problem.

Meble zapłonęły wesołym płomieniem, a Nailer pociął szynkę na plasterki do przeżuwania.

- Dobre żarcie, co? - powiedział, gdy Pima wyciągnęła dłoń po jeszcze.

- Pewnie. Lalusie nieźle sobie, kurna, żyją.

- Z nas też nieźli lalusie - zauważył Nailer. Omiótł dłonią zgromadzone wokół skarby.

- Dziś jemy lepiej niż sam Fuksiarsz.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, dotarło do niego, że to chyba faktycznie prawda. Przed nim migotał ogień, rzucając światło na Pimę i dziewczynę topielicę. Oświetlał worki z jedzeniem, wór pełen srebrnych naczyń i sztućców, grube wełniane koce, złoto na palcach utopionej dziewczyny, błyszczące w świetle ogniska jak gwiazdy na niebie. Nikt ze złomiarzy tyle nie miał. A dla niej to wszystko to były tylko śmieci z wraku statku. Była niezmiernie bogata. Statek pełen jedzenia i luksusów, dłonie i szyja obwieszona złotem i drogimi kamieniami, twarz piękniejsza niż wszystkie, jakie w życiu widział. Nawet dziewczyny w pismach Bapiego nie były takie ładne.

- Bogata jest jak cholera - mruknął. - Patrz tylko, ile tego ma. Nawet w kolorowych pismach tak nie mają. - Uświadomił sobie właśnie, że zdjęcia w magazynach udawały tylko taki poziom zamożności, a jednak nie miały pojęcia, jak go osiągnąć. - Myślisz, że własny dom też ma?

Pima zmarszczyła czoło.

- Pewnie, że ma. Wszyscy bogaci mają domy.

- Myślisz, że taki wielki, jak ten statek?

Pima się zawahała.

- Może tak być.

Nailer zagryzł wargę, przypominając sobie ich prymitywne budy na plaży: szopy z gałęzi, znalezionych desek i palmowych liści, rozsypujące się jak śmieci przy pierwszym sztormie.

Ogień grzał ich i osuszał. Przez dłuższą chwilę milczeli, patrząc na trzaskające i płonące meble ze statku.

- Ej, zobacz - odezwała się nagle Pima.

Oczy dziewczyny, dotąd przez długi czas zamknięte, były otwarte i patrzyły w ogień. Pima i Nailer przyjrzeni się jej. Ona natomiast im.

- Zbudziłaś się, co? - powiedział Nailer.

Nie zareagowała. Milczała jak dziecko, tylko patrząc. Usta nie poruszyły się. Żadnej modlitwy, błagania, w ogóle ani słowa. Mrugała, ale się nie odzywała.

Pima klękła obok niej.

- Chcesz pić? Wody?

Spojrzenie dziewczyny powędrowało ku niej, nadal bez słowa.

- Myślisz, że zwariowała? - zapytał Nailer.

Pima pokręciła głową.

- Cholera wie. - Wzięła małą srebrną filiżankę i nalała do niej wody. Przysunęła ją dziewczynie do twarzy i obserwowała. - Wody? E? Pić chcesz?

Dziewczyna wykonała słaby ruch w kierunku filiżanki. Pima przytknęła jej naczynie do ust. Napiła się niezręcznie. Wzrok miała teraz bardziej skupiony, przypatrywała się im obojgu. Pima spróbowała dać jej jeszcze. Ona jednak uniosła głowę i spróbowała usiąść. Wyprostowawszy się z wysiłkiem, objęła nogi rękoma. Ogień rozświetlał jej twarz jaskrawo-pomarańczowym poblaskiem. Pima znów podała jej wodę i tym razem dziewczyna wypila jej sporo, po czym tęsknie spojrzała na dzbanek.

- Daj jej jeszcze - powiedział Nailer.

Dziewczyna napiła się ponownie, tym razem biorąc naczynie we własną, trzęsącą się dłoń. Piła łapczywie, aż woda pociekła jej po brodzie.

- Ej, no! - Pima odebrała jej filiżankę. - Uważaj! To cała woda na dzisiaj.

Rzuciła jej pełne złości spojrzenie, po czym odwróciła się i zaczęła grzebać w worku z zebranymi przez Nailera owocami. Znalazła pomarańczę, podzieliła ją na cząstki i podała dziewczynie. Ta zjadła chciwie, jedną cząstkę i przyjęła kolejną. Była niemal dzika w fascynacji, z jaką patrzyła na krojenie owocu. Jednakże po paru kęsach znowu się położyła, jakby zapadała się w ziemię z wyczerpania.

Uśmiechnęła się słabo i wymamrotała: „Dziękuję”, a potem zamknęła oczy.

Pima zasznurowała usta. Wstała, dokładniej otuliła nieruchomą dziewczynę kocem.

- No to chyba masz ją żywą, Nailer.

- Chyba tak. - Nailer nie wiedział, czy czuje ulgę, czy smutek, że dziewczyna przeżyła.

Leżała teraz spokojnie, z zamkniętymi oczyma, oddychając głęboko, jakby spała. Gdyby umarła albo zwariowała, wszystko byłoby o wiele prostsze.

- Naprawdę mam nadzieję, że wiesz co robisz - mruknęła Pima.

Rozdział X

Nailer, gdyby chciał być sam wobec siebie szczery, przyznałby, że nie ma pojęcia, co robi. Improvizował na bieżąco jakąś nową wersję przyszłości, a jedyne co wiedział, to fakt, że ta dziwna lalunia musi się w nią wpisywać. Bogata dziewczyna z nienaruszonym diamentem w nosie, złotymi pierścionkami i ciemnymi oczyma, które iskrzą - żywe, nie martwe.

Siedział po drugiej stronie ogniska, objął kolana ramionami, i patrzył, jak Pima karmi ją resztą pomarańczy. Dwie dziewczyny i dwa całkiem różne życia. Pima ciemna, silna, z bliznami, wytatuowana w symbole lekkiej ekipy i znaki na szczęście. Krótko ścięte włosy, twarde mięśnie, mocna wola życia. Ta druga - o wiele jaśniejszy brąz, nietknięta słońcem, włosy długie i falujące, ruchy gładkie i miękkie, precyzyjne i pełne gracji, twarz i gołe ramiona bez śladów po biciu, sterczących drutach czy oparzeniach chemicznych.

Dwie dziewczyny, dwa różne życia, dwa różne przejawy szczęścia.

Pociągnął za kolczyki z wielkimi otworami. I on, i Pima mieli na ciele mnóstwo rysunków, począwszy od tatuaży pozwalających im pracować w ekipie, aż po własne, starannie wykonane klucia, symbolizujące błogosławieństwa Świętego Rdzy i Mojr. Ona - nic z tych rzeczy. Żadnych ozdobnych tatuaży, żadnych roboczych znaków, żadnych symboli ekip. Nic. Pusta kartka. Był trochę od niej niższy, ale wiedział, że gdyby musiał, spokojnie by ją zabił. Z Pimą by w walce nie wygrał, natomiast ta tutaj była miękka.

- Czemu mnie nie zabiliście?

Wzdrygnął się. Dziewczyna znów otworzyła oczy, patrzyła na niego z drugiej strony ogniska. Odbijał się w nich blask płonących okrętowych mebli i ram od obrazów.

- Czemu mnie nie zabiliście, jak była okazja? - szepnęła.

Słowa brzmiały w jej ustach elegancko i wyrafinowanie - dokładne, ukształtowane i precyzyjne. Jakby była jednym z tych szefów, którzy przychodzą na kontrolę i wypłacają premie gotówką za dobry złom. Idealnie uformowane słowa, bez zająknięcia, bez ostrości w tonie. Przyjęła od Pimy ostatnią cząstkę pomarańczy i zjadła ją, nie śpiesząc się, jakby delektowała się smakiem. Powoli, z wysiłkiem, usiadła.

Przeniosła wzrok na Pimę.

- Mogliście po prostu dać mi umrzeć. - Otarła usta wierzchem dłoni, zlizując z nich resztki pomarańczowego soku. - Nie mogłam się wydostać. Mogliście zabrać mi złoto i się wzbogacić. To czemu?

- Zapytaj Szczęściarza - odparła z niesmakiem Pima. - To nie był mój pomysł.

- Mówią na ciebie Szczęściarz?

Nailer nie wiedział, czy to pytanie, czy ona z niego drwi. Nie dał po sobie poznać zażenowania.

- W końcu ja znalazłem wrak, nie?

Skrzywiła usta.

- Czyli ja jestem Szczęściarą, prawda? - Zaiskrzyło jej w oczach.

Pima parsknęła śmiechem. Kucnęła koło niej.

- Pewnie. Tak. Szczęściara. Jak cholera. - Przez moment spoglądała łakomie na dłonie Szczęściary, na odcinające się od śniadej skóry złoto. - Szczęściara jak cholera.

- To czemu nie zabierzecie mi złota i nie pójdziecie? - Uniosła dłonie, pokazała miejsca, gdzie wbijali noże. - moglibyście zrobić amulety dla Mojr, prawda? Zdobyć i złoto i moje kostki.

Gładkie rysy stwardniały. Bystra jest, uświadomił sobie Nailer. Miękką, ale nie głupią. Nie mógł się teraz powstrzymać od myśli, że to był błąd - dać jej żyć. Trudno odróżnić, kiedy ktoś jest cwany, a kiedy aż za cwany. A ta dziewczyna... już teraz wydawało się, że przejmuje całą przestrzeń wokół ogniska. Zawłaszcza ją. Zadaje pytania, zamiast na nie odpowiadać.

Fuksiarz ciągle powtarzał, że między sprytem a głupotą jest bardzo cienka granica, i mówiąc to, zawsze zaśmiewał się do rozpuku. Patrząc, jak ta dziewczyna po drugiej stronie ogniska drwi z niego i przekomarza się z nim, Nailer poczuł, że doskonale to rozumie.

- Taki mój palec to byłby dla ciebie świetny amulet - dodała. - Wtedy to dopiero byłbyś szczęściarzem.

Pima znów się zaśmiała. Nailer się zjeżył. Roztaczały się przed nim dziesiątki wizji przyszłości, zależących od jego szczęścia i woli Mojr... i zmiennej, jaką stanowiła ta dziewczyna. Widział te drogi rozchodzące się wirowo w różne strony; sam stał u ich zbiegu i zaglądał w każdą po kolei, ale był w stanie dostrzec tylko jeden, góra dwa kroki naprzód.

A teraz, gdy patrzył w bystre oczy tej nieskazitelnej, idealnej laluni, dotarło do niego, że jeden czynnik przegapił. Nic o niej nie wiedział. Wiedział, że ma złoto. Za złoto można było kupić bezpieczeństwo, wybawienie od wraków, rozbiórek i lekkich ekip. Taką drogą poszedł Fuksiarz. Nailer postąpiłby sprytniej, gdyby po prostu pozwolił Pimie dźgnąć lalunię nożem. Byłoby z głowy.

Ale co, jeśli są inne drogi? Jeśli za tę bogatą dziewczynę ktoś da nagrodę? Jeśli można ją jakoś inaczej wykorzystać?

- Masz jakąś ekipę, co przyjdzie cię szukać? - zapytał.

- Ekipę?

- Ktoś chce, żebyś wróciła do domu?

- Oczywiście. Ojciec będzie mnie szukał.

- Bogaty? - zapytała Pima. - Laluś, jak ty?

Nailer rzucił jej złe spojrzenie. Na twarzy Szczęściary zamigotało rozbawienie.

- Zapłaci, jeśli o to pytasz. - Pokazała palce. - Zapłaci więcej, niż mam tej biżuterii. - Ściągnęła pierścionek i rzuciła go Pimie. - Więcej niż to. Więcej niż wszystko, co jest na moim statku. - Popatrzyła na nich poważnie. - Żywa jestem warta więcej niż złoto.

Nailer i Pima spojrzeli po sobie. Ta dziewczyna wiedziała, czego chcą, znała ich na wylot. Jakby była plażową wiedźmą i umiała rzucić kości i wejrzeć mu w duszę, zobaczyć całą tę chciwość i głód. Denerwowało go, że tacy są z Pimą prości. Poczul się jak małe dziecko, głupie i prymitywne, jak te małe łobuzy, które stawały za jadłodajnią Chena, w nadziei, że ktoś rzuci im ochłap. Ona po prostu wiedziała.

- A skąd mamy wiedzieć, czy nie kłamiesz? - zapytała Pima. - Może nic więcej nie masz. Może tylko tak gadasz.

Wzruszyła ramionami. Dotknęła reszty pierścionków.

- Mam domy, w których pięćdziesięciu służących czeka na mój dzwonek, żeby przynieść mi wszystko, co zechcę. Mam dwa klipry i sterowiec. Moi służący noszą liberie ze srebrem i onyksem, a w prezencie dają im złoto i diamenty. I wy też możecie je mieć... jeśli pomożecie mi się skontaktować z moim ojcem.

- Być może - powiedział Nailer. - A być może masz tylko trochę złota na palcach i bardziej nam się przydasz martwa.

Dziewczyna nachyliła się ku nim, z twarzą oświetloną ogniem, o nagle lodowatym wyrazie.

- Jeżeli coś mi zrobicie, mój ojciec przyjedzie tutaj i zetrze was i wasze rodziny z powierzchni ziemi, a wasze flaki rzuci psom. - Wyprostowała się z powrotem. - Wybór należy do was: albo się wzbogaciecie, pomagając mi, albo umrzecie biedni.

- A pieprzyć to - powiedziała Pima. - Utopmy ją i będzie z głowy.

Przez twarz dziewczyny przemknął błysk niepewności, tak krótki, że Nailer przegapiłby go, gdyby jej uważnie nie obserwował. Dostrzegł jednak delikatne rozszerzenie oczu.

- Musisz uważać - powiedział. - Jesteś sama. Nikt nie wie gdzie jesteś i co się z tobą stało. Dla reszty świata równie dobrze mogłaś utopić się w oceanie. Możesz po prostu

zniknąć i ani wiatr, ani fale nie będą pamiętać, że w ogóle istniałaś. - Uśmiechnął się szeroko.
- I do swoich lalusiowatych służących też masz trochę daleko.

- Nie. - Dziewczyna otuliła się kocami jak peleryną. Spojrzała na oświetlony księżycem ocean i odległe fale. - Systemy alarmowe i GPS na statku powiedzą im, gdzie mają szukać. Teraz to tylko kwestia czasu. - Uśmiechnęła się. - Moja „ekipa” będzie tu bardzo niedługo.

- Ale na razie masz tu tylko mnie i Pimę - zauważył Nailer. - A do naszej ekipy zdecydowanie nie należysz. - Nachylił się ku niej. - Może twoi ludzie rzeczywiście zrobią nam coś bardzo złego, wyprują flaki, poucinają palce, ale dla nas to nic strasznego, Szczęściaro. - Przeciągnął drwiąco sylaby przezwiska. Machnął ręką ku rozbiórce statków. - Tu się ginie codziennie. Cały czas. Może zginę jutro. A mogłem zginąć dwa dni temu. - Splunął. - Może życie nie jest warte metra miedzi. - Spojrzał na nią. - Więc twoje życie jest warte więcej niż złoto tylko wtedy, jeśli pomoże nam się stąd wydostać. Inaczej, tyle samo jesteś warta martwa.

Wypowiedziawszy te słowa, uświadomił sobie, że to prawda. Był w piekle. Stocznia rozbiórkowa była piekłem. A tam, skąd ona pochodziła, kimkolwiek była, musiało być lepiej niż gdzie indziej. Nawet Fuksiarz, który w oczach wszystkich żył jak król, był nikiem w porównaniu z tą rozpuszczoną elegantką. Pięćdziesięciu ludzi na każde zawołanie. Fuksiarz mógł sobie zorganizować Raymonda, Niebieskooką i Sammy'ego Hu, co tutaj wystarczało, żeby spuścić dowolny łomot, ale z zewnątrz było niczym. I nawet on uśmiechał się i szurał nogami, kiedy wysocy szefowie z Lawsons i Carlsons przyjeżdżali swoim specjalnym pociągiem na inspekcję rozbiórki, a potem, kiedy wracali tam, gdzie mieszkają lalusie. Ta dziewczyna była z zupełnie innej planety.

I miała tam wrócić.

- Jeśli chcesz zostać żywa - powiedział - to musisz nas zabrać ze sobą.

Kiwnęła powoli głową.

- Nie ma sprawy.

- Kłamie - mruknęła Pima. - Gra na czas i tyle. Nie jest z naszej ekipy. Jak tylko pokażą się jej ludzie, znika, a my wracamy na plażę. - Obejrzała się na niewidzialne wraki wielkich statków. - O ile się nam poszczęści.

- Tak? - Nailer przyjrzał się laluni uważnie, próbując wy badać, czy kłamie. - Zostawisz nas? Wrócisz do lalusiowatego życia, a nas kopniesz w tyłek, żebyśmy wracali do złomu?

- Nie kłamie - odparła. Nie odwróciła wzroku. Wytrzymała jego spojrzenie, twarda

jak obsydian.

Nailer wziął nóż.

- No to zobaczymy.

Podszedł do niej, okrążając ognisko. Cofnęła się, chwycił ją jednak za nadgarstek - choć się szamotała, on był silniejszy. Przysunął jej nóż do oczu. Pima złapała ją za barki, unieruchomiła.

- Tylko trochę krwi, Szczęściaro. Troszeczkę - powiedziała. - Żeby mieć pewność, nie? - Wobec jej siły dziewczyna nie miała szans.

Nailer przyciągnął ku sobie jej dłoń. Cały czas walczyła, szarpała ją i wyginała, ale na nic się to nie zdało. Po chwili miał ją przed sobą. Przycisnął ostrze do wnętrza dłoni i spojrzał na nią z uśmiechem.

- Dalej przysięgasz? - zapytał, patrząc jej w oczy. - Że zabierzesz nas ze sobą?

Oddychała szybko, przerażona, spanikowana, przeskakując wzrokiem z jego oczu na nóż i z powrotem.

- Przysięgam - wyszeptała. - Przysięgam.

Dalej patrzył w jej twarz, wypatrując oznak tego, że ich zdradzi, że odegra Leserkę i wbije im nóż w plecy. Zerknął na Pimę. Skinęła głową, żeby kontynuował.

- Chyba chce tego.

- Chyba tak.

Przeciął jej dłoń. Popłynęła krew, dłoń zadrżała spazmatycznie, drżące palce obmacały ranę. Zdziwił się, że nie krzyknęła. Przeciął także swoją rękę i zwarł obie w jedną pięść.

- Jedna ekipa, Szczęściaro - powiedział. - Ja za ciebie, ty za mnie. - Spojrzał jej głęboko w oczy.

Pima szturchnęła dziewczynę.

- No, powtórz.

Szczęściara, jękając się, wypowiedziała:

- Ja za ciebie, ty za mnie.

Nailer kiwnął głową, usatysfakcjonowany.

- Świetnie.

Rozwarł jej krwawiącą dłoń i wbił kciuk w otwartą ranę. Sapnęła, czując nowy ból. Wtedy przycisnął kciuk do jej czoła. Wzdrygnęła się, gdy malował jej między oczyma krwawy tatuaż, trzecie oko, symbol wspólnego losu. Zadygotała i zamknęła oczy.

- Teraz ty go naznacz - powiedziała Pima. - Krew za krew, Szczęściaro. Tak to się u

nas robi. Krew za krew.

Szczęściara zrobiła, co jej kazano - ze zmartwiałą twarzą wetknęła kciuk do jego rany i wyrysowała mu znak.

- Świetnie. - Pima podeszła bliżej. - Teraz ze mną.

Kiedy skończyli, przed powrotem na górę w zarośla poszli do czarnej wody i splukali z rąk krew. Morze otaczało ich ze wszystkich stron, ich trójka była sama w ciemności, kiedy wspinali się, idąc na azymut ogniska. Nailera od wszystkich tych prac rozboleł bark, ciężko mu się szło. Szczęściara gramoliła się na górę przed nimi, głośno szeleszcząc gałęziami, nieprzyzwyczajona do wspinaczki, ciężko dysząca, w podartym ubraniu. Nailer patrzył na jej szczupłe nogi, na gładką skórę pod spódnicą.

Pima walnęła go.

- Co jest? Myślisz, że się z nią polubicie po tym, jak jej wbijałeś nóż w rękę?

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami z zakłopotaniem.

- Ładna jest, kurna.

- Pewnie, jakby umyć i wystroić... - zgodziła się Pima; potem zniżyła głos. - A ty jak myślisz? Jest ekipa czy nie?

Nailer przerwał wspinaczkę, ostrożnie poruszył barkiem, czując pieczenie rany na plecach.

- U Leserki, to, że była ekipą, nie było warte płątka rdzy. Ekipa to nic nie znaczy, poza tym, że wszyscy się razem pocimy na jednym statku. - Wzruszył ramionami i znowu skrzywił się z bólu. - Ale zaryzykować można, co tam.

- Poważnie mówisz o tym, żeby stąd wyjeżdżać?

Nailer kiwnął głową.

- Pewnie. To jest cwane wyjście prawda? To naprawdę cwane. Nic tu dla nas nie ma. Musimy wyjechać, albo zginiemy tak samo jak wszyscy. Nawet Fuksiarz oberwał od sztormu. Bapiemu też wiele nie pomogło, że był szefem lekkiej ekipy. Zabiło go i tyle.

- Ale Fuksiarz ma o wiele lepiej niż my.

- Jasne. - Splunął. - To jest to, co sobie mówi prosiak w chlewie, kiedy jego brata mu zarzynają na obiad. - Wzruszył ramionami. - I tak jesteś w chlewie. I tak umrzesz.

Rozdział XI

Obudził go lejący się z nieba żar i przyjemna świadomość, że ma jeszcze parę godzin, zanim morze obniży się na tyle, żeby mogli wracać na ląd. W normalny dzień o tej porze pracowalby już w lekkiej ekipie i siedział głęboko w kanale, z LEDową farbą rozsmarowaną na czole jak znak na szczęście, wdychając kurz, mysie odchody i pocąc się w ciemności.

Słońce przeświecało przez szeleszczące paprocie i karłowate cyprysy wysepki, tworząc plamy cienia i światła. Głosy wyrwały go z zamyślenia.

- Nie, cholera, nie wkładaj całego drewna od razu. Powoli trzeba.

Głos Pimy. Szczęściara odrzekła coś w odpowiedzi, słów nie zrozumiał, ale ton mówił jasno, że rozkazy Pimy niespecjalnie ją interesują.

Usiadł. Zatchnęło go z bólu. Płonęło całe ramię, brutalnym bólem, który drążył głęboko i palił jak kwas. Za dużo wczoraj nim ruszał, to jasne. Za bardzo je obciążał, szukając łupów, potem taszcząc Szczęściarę, i znów się coś w nim spieprzyło. Poruszył delikatnie barkiem, próbując go rozluźnić. Ból był obezwładniający.

- Wstałeś?

Uniósł wzrok. Szczęściara wyglądała spomiędzy paproci. W dziennym świetle także była ładna. Jasnobrązową cerę miała gładką i czystą, świeżo umytą. Długie czarne włosy odgarnęła do tyłu i związała, odsłaniając delikatne rysy twarzy. Uśmiechnęła się szeroko.

- Pima pyta, czy wstajesz.

- Tak, wstałem.

- Nailer, dość wylegiwania się! - zawołała Pima. - Pora na śniadanie.

- Tak? - Podniósł się i przecisnął między paprociami do miejsca, gdzie dziewczyny kucaly przy świeżo rozpalonym ognisku.

Statek wciąż leżał w wodzie: przyplływ przesunął go, ale był tak wbity w skały, że woda nie mogła go zabrać. Zatem szczęście chyba wciąż trwało, zwłaszcza jeśli chcą, żeby ludzie Szczęściary szybko ją znaleźli.

Rozejrzał się, co takiego jedzą. Nie zauważył niczego przygotowanego.

- Co jest na śniadanie? - zapytał zdziwiony.

- Co zrobisz, to będzie - powiedziała Pima, a Szczęściara się zaśmiała.

- Ha, ha. - Nailer się skrzywił. - Ale serio, co macie?

- Nie patrz na mnie. - Pima rozparła się na piasku. - Ja rozpaliłam ogień.

Nailer rzucił jej kolejne krzywe spojrzenie.

- Tu nie jest lekka ekipa. Nie jesteś moją szefową.

Pima parsknęła śmiechem.

- No to pewnie będziesz głodny.

Nailer pokręcił głową. Zaczął szperać w workach z żywnością, wyniesionych wczoraj ze statku.

- To nie zdziw się, jak znajdziesz smarki w swoim żarcie.

Pima wsparła się na łokciu.

- Ty mi naplujesz do żarcia, to ja ci napluję do gardła.

- Taa? - odwrócił się Nailer. - Chcesz spróbować?

Pima tylko się śmiała.

- Przecież wiesz, Szczęściarz, że skopałabym ci dupę. Rób to śniadanie i ciesz się, że dałyśmy ci pospać.

- Ja pomogę - wtrąciła się Szczęściara.

Nailer pokręcił głową.

- Nie trzeba. Pima nie gotuje, bo wszystko by spieprzyła. Silna, ale głupia. - Zaczął wywalać z worka owoce, grzebać w pozostałej żywności. - O, zobaczcie. - Wyciągnął półkilowy worek z ziarnem.

- Co to? - Pima usiadła z zainteresowaniem.

- Łuskana pszenica.

- Dobrze to?

- Całkiem dobre. Łatwiej pożyć niż ryż. - Zastanowił się. - Wy, lalusie, mieliście tam cukier? - zapytał Szczęściarę.

- Na statku jest - odpowiedziała.

- Naprawdę? - Nailer spojrział w dół ku wodzie. Nie chciało mu się tam schodzić, a potem wracać na samą górę. - A przyniesiesz? I jeszcze jakąś słodką wodę?

Szczęściara kiwnęła głową, nadspodziewanie chętnie.

- Pewnie.

Nailer dalej grzebał w żywności, gdy zniknęła w dole zbocza.

- Jeju, to niewiarygodne, ile oni mają tego żarcia.

- Normalnie uczta codziennie - powiedziała Pima.

- A pamiętasz gołąbka, którego mi Lunia przyniosła na szczęście?

- Dobry był.

Nailer wskazał brodą Szczęściarę, gramolącą się do statku.

- Założę się, że ona by tak nie uważała.

- To dlatego chcesz z nią wyjechać?

Nailer wzruszył ramionami.

- Właściwie dopiero wczoraj w nocy zacząłem się naprawdę zastanawiać... - Urwał, nie umiając wyjaśnić, co chodzi mu po głowie. - Widziałaś jej kabinę, prawda? Tyle łupów? A dla niej to nic. Albo popatrz na te pierścionki.

Wziąć tylko diament z nosa i ty albo ja jesteśmy bogaci. A ona nawet go nie zauważa.

- Pewnie, że jest bogata. Ale w ekipie nie jest. Obojętne, co byś mówił, ja jej nie ufam. Pytałam ją o rodzinę, kim są... - Pima pokręciła głową. - Kręciła i kombinowała jak Perełka, kiedy się go pyta, czemu myśli, że jest Kryszną. Ona coś ukrywa. Nie daj się nabrać tylko dlatego, że jest taka ładniutka.

- Taaa. Bystra jest.

- Lepiej niż bystra. Jest cwana. To złoto na palcach? Dzisiaj części brakuje. Nie wiem, gdzie je pochowała, ale teraz go nie ma. Gada różne rzeczy, jak to jesteśmy ekipą, ale gra w jakąś swoją grę.

- A my to nie?

- Nie łap mnie za słowa, Nailer. Wiesz, o co mi chodzi.

Uniósł głowę.

- Słyszę, szefowo. Będziemy ją mieć na oku. Teraz daj mi pogotować. - Znalazł woreczek jakichś małych, czerwonych, suszonych owoców i spróbował ich. Były jednocześnie cierpkie i słodkie. Bardzo dobre. Rzucił jeden Pimie. - Wiesz, co to takiego?

Spróbowała.

- Nigdy nie jadłam. - Wyciągnęła rękę. - Daj jeszcze.

Wyszczrzył zęby.

- Nie ma mowy. Biorę do gotowania. Będziesz musiała poczekać.

Postawił worek obok pszenicy i zagapił się na całą tę żywność, tak nonszalancko zgromadzoną na statku.

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, jak bardzo tutaj jest źle. Dopiero wczoraj. Dopiero jak ją zobaczyłem... Człowiek sobie myśli: jak ona jest tak bogata, to są tam i inni lalusie. Jest tam masa kasy. A u nas nie ma. Nawet taki Fuksiarz to żal w porównaniu z tym, co ma ona.

- I co, myślisz, że będziesz sobie tam z nią żył? Długo i szczęśliwie?

- Nie nabijaj się ze mnie. Nawet ludzie z jej załogi są bogatsi niż Fuksiarz.

- O ile mówi prawdę.

- Wiesz, że mówi. I wiesz, że jak tu zostaniemy, nigdy do niczego nie dojdziemy.

Pima się zawahała.

- Myślisz, że dałoby się wziąć moją mamę? - zapytała. - A, to o to się martwisz? - Nailer się uśmiechnął. - Uratowaliśmy laluni życie. Ma wobec nas wielki dług krwi. Pewnie, że będziemy mogli ją zabrać.

- A Lunia? Perełka? Reszta ekipy?

Nailer znieruchomiał.

- Fuksiarz z nikim się nie dzielił - odparł w końcu. - Sam sobie wypracował swój układ.

- No... - Pima nie wyglądała na przekonaną, ale zanim coś jeszcze dodała, przerwała jej wyłaniająca się spomiędzy pnączy Szczęściara.

- Mam! - wysapała, uśmiechnięta.

- Super. - Nailer wyszczerzył się do Pimy. - Nada się do lekkiej ekipy, jak znowu się zacznie praca, co?

Pima nie odpowiedziała uśmiechem.

- Walibudy też by za nią dobrze zapłaciły. - Odwróciła się. Szczęściara zmarszczyła brwi.

- Coś się stało?

- Nic - odparł Nailer. - Zła się robi, kiedy jest głodna. Biorąc od Szczęściara przyniesiony przez nią słoik z wodą, stęknął z bólu. Bark zapłonął ogniem. Omal nie upuścił wody. no Pima uniosła wzrok.

- Co z tobą?

- Plecy - powiedział Nailer przez zaciśnięte zęby. - Bola, jakby mnie wąż ugryzł.

- Zakażenie - stwierdziła Pima. Podeszła szybko ku niemu.

- Nie. - Pokręcił głową. - Oczyszciliśmy wszystko.

- Daj zobaczyć. - Zdjęła bandaż i aż sapnęła.

Szczęściara spojrzała raz i jęknęła.

- Coś ty sobie zrobił?

Nailer wykręcał szyję jak mógł, ale nic nie widział.

- Bardzo źle?

- Zakażenie jak nie wiem. Wszędzie ropa - powiedziała Szczęściara. Podeszła bliżej i dodała rzeczowym tonem: - Pozwól, że obejrzę. Miałam szkolenie z pierwszej pomocy. W szkole.

- Po lalusiowemu - mruknął Nailer, ale Szczęściara nie zareagowała. Palce badały i naciskały ranę. Usuwał się przed palącym ogniem.

- Potrzebny ci antybiotyk - powiedziała. - Strasznie to wygląda.

Pima pokręciła głową.

- U nas nie ma takich rzeczy.

- A jak jesteście chorzy, to co robicie?

Nailer uśmiechnął się słabo.

- Mojry decydują. My nie mamy nic do gadania.

- Głupi jesteś. - Szczęściara znów spojrzała na ranę. - Na Wiedźmie wiatrów powinno coś być. Jest cała szafka z lekarstwami. Znajdzie się penicylina czy coś.

- Może najpierw zjemy? - zaproponował Nailer.

- Zwariowałeś? - Szczęściara przeniosła wzrok z niego na Pimę. - Z takimi rzeczami się nie czeka. Trzeba się tym zająć od razu.

Nailer wzruszył ramionami.

- Teraz, później, co za różnica?

- Bo robi się coraz gorzej. A potem umierasz. To wygląda tak, jakbyś podłapał superbakterię. Trzeba coś szybko zrobić, albo koniec z tobą.

Bez ostrzeżenia wbiła mu kciuk w plecy, w sam środek rany. Nailer wrzasnął i uskoczył. Ścisnął bark, ciężko oddychając. Ból był tak potworny, że o mało nie zemdleł.

Opanowawszy się, krzyknął:

- Czemu to zrobiłaś?!

- Nailer, weź się w garść. - Szczęściara się skrzywiła. - Jeśli umrzesz, nie zgarniesz nagrody za to, że mnie uratowałeś. Rusz dupę, chodź na statek, zaraz ci jakoś pomożemy.

- Weź się w garść. - Pima zaśmiała się i klepnęła Szczęściarę po ramieniu. - Lalunia zaczyna gadać po naszymu. - Wyszczrzyła zęby i spojrzała poważnie na Nailera. - Dobrze mówi. Twoja mama cieszyłaby się, gdyby miała kasę na penicylinę. Chcesz umrzeć jak ona?

Pot, łzy. Skóra rozpalona jak ogień. Szyja opuchnięta od zakażenia. Oczy czerwone i zaropiałe.

Nailer wzdrygnął się.

- No dobra, skoro chcesz się bawić w doktora, to proszę bardzo. - Zaczynając schodzić w dół, zgarnął jeszcze pomarańczę. - Ja nie umrę jak ona. Nie ma mowy.

Mimo to, z trudem zszedł nad wodę i bardzo się tym przejął. Palilo go całe ramię, bark i plecy. Szczęściara i Pima prowadziły go w dół, powoli, podpierając, jakby był zasuszoną na patyk staruszką.

Kiedy schodził, w głowie kołatały się niechciane słowa Szczęściary. Nic mu nie przyjdzie z nagrody, jeśli umrze. Tłumił narastający strach, on jednak cały czas łaskotał go

gdzieś z tyłu głowy.

Nailer wzruszył ramionami.

- Teraz, później, co za różnica?

- Bo robi się coraz gorzej. A potem umierasz. To wygląda tak, jakbyś podłapał superbakterię. Trzeba coś szybko zrobić, albo koniec z tobą.

Bez ostrzeżenia wbiła mu kciuk w plecy, w sam środek rany. Nailer wrzasnął i uskoczył. Ścisnął bark, ciężko oddychając. Ból był tak potworny, że o mało nie zemdłał.

Opanowawszy się, krzyknął:

- Czemu to zrobiłaś?!

- Nailer, weź się w garść. - Szczęściara się skrzywiła. - Jeśli umrzesz, nie zgarniesz nagrody za to, że mnie uratowałeś. Rusz dupę, chodź na statek, zaraz ci jakoś pomożemy.

- Weź się w garść. - Pima zaśmiała się i klepnęła Szczęściarę po ramieniu. - Lalunia zaczyna gadać po naszymu. - Wyszczrzyła zęby i spojrzała poważnie na Nailera. - Dobrze mówi. Twoja mama cieszyłaby się, gdyby miała kasę na penicylinę. Chcesz umrzeć jak ona?

Pot, łzy. Skóra rozpalona jak ogień. Szyja opuchnięta od zakażenia. Oczy czerwone i zaropiałe.

Nailer wzdrygnął się.

- No dobra, skoro chcesz się bawić w doktora, to proszę bardzo. - Zaczynając schodzić w dół, zgarnął jeszcze pomarańczę. - Ja nie umrę jak ona. Nie ma mowy.

Mimo to, z trudem zszedł nad wodę i bardzo się tym przejął. Palilo go całe ramię, bark i plecy. Szczęściara i Pima prowadziły go w dół, powoli, podpierając, jakby był zasuszoną na patyk staruszką.

Kiedy schodził, w głowie kołatały się niechciane słowa Szczęściary. Nic mu nie przyjdzie z nagrody, jeśli umrze. Tłumił narastający strach, on jednak cały czas łaskotał go gdzieś z tyłu głowy.

Widział już innych ludzi, którym paskudziły się rany, widział zgniliznę i gangrenę, widział kikuty rojące się od robaków po nieudanych amputacjach. Mimo całej odwagi, poczuł strumyczek lodowatego strachu. Matka modliła się do Kali Matki Boskiej Miłosiernej, a zmarła wśród rojów much, gorączki i bólu. Jakaś zabobonna część umysłu zastanawiała się, czy Bóg Złomu czasem nie równoważy szal, dokładając do jego fuksa chorobę, która go zabije, zanim otrzyma nagrodę. Sadna miała rację. Kiedy wydostał się z komory z ropą, trzeba było złożyć coś w ofierze Bogowi Złomu i Mojrom. A on tylko napluł na to szczęście.

Dotarli do oceanu. Statek w nocy przemieścił się i prawie wyprostował - tym trudniej było wejść na pokład. Pima w końcu wciągnęła go na górę, jak zabitego prosiaka, napinając z

wysiłkiem mięśnie. Położyły go na pokładzie z włókna węglowego i obie zeszyły na dół.

Wróciły i pokręciły głowami.

- Wszystko porozbijane - powiedziała Szczęściara. - Ocean wszystko zabrał. - Rozejrzała się wokół statku. - W wodzie też nic nie widać. Przepadło.

Nailer wzruszył ramionami, ostentacyjnie nonszalancko.

- Jak twoi ludzie tu dotrą, to mi dadzą lekarstwo. - Jednakże, nawet mówiąc to, zastanawiał się, ile ma jeszcze czasu. Cały dygotał i marzył, choć siedział w gorącym słońcu. - Z tymi waszymi satelitami to pewnie długo nie zajmie, co?

- Tak. Oczywiście. - Głos Szczęściary brzmiał niepewnie.

Pima wskazała brodą biżuterię dziewczyny.

- Za twoje złoto moglibyśmy bez problemu kupić lekarstwa od Fuksiarza.

Szczęściara uniosła wzrok znad Nailera.

- Ten Fuksiarz ma lekarstwa?

- Pewnie - odparła Pima. - Ma kontakty z szefostwem. Załatwia, że przywożą mu różne rzeczy pociągiem.

- Nie. - Nailer pokręcił głową. - Nie możemy powiedzieć komukolwiek o wraku. Zabiorą nam łup. - Zadygotał. - Musimy być dyskretni, póki nie pokażą się ludzie Szczęściary. Wtedy dopiero możemy robić, co chcemy. Jak się teraz rozniesie, wszyscy przyjdą i zabiorą nam znalezisko.

- To nie jest jakieś „znalezisko” - rzuciła gniewnie Szczęściara. - To Wiedźma wiatrów, mój statek.

- Teraz to tylko wrak - powiedziała Pima. - A ty żyjesz tylko dlatego, że Nailer jest lepszy od większości ludzi. Sam miał parę dni temu jakieś religijne przeżycie i teraz ma febryczne oko, jak nic.

- Nie mam żadnego febrycznego oka - zaprzeczył Nailer.

Pima zerknęła nań.

- Nie wydaje ci się, że teraz płacisz cenę za całe swoje szczęście?

- A co to jest „febryczne oko”? - zapytała Szczęściara.

- To nie wiesz? - Pima wytrzeszczyła oczy.

- W życiu nie słyszałam.

- Nie? Jak umierający ludzie widzą przyszłość? Ostatnie spojrzenie, zanim ich Mojry zabiorą?

- Nie mam febrycznego oka. - Nailer poczuł się zmęczony. Siedział ciężko na przekrzywionym pokładzie, grzał się w słońcu. - Może jak to obmyję, trochę się poprawi?

- Nie bądź głupi. - Pima splunęła. - Poza lekarstwem nic nie pomoże.

Nailer schował głowę w ramiona.

- A ile to czasu? Zanim przyjdą twoi ludzie?

Szczęściara wzruszyła ramionami.

- Nadajnik GPS ich ściągnie. Pewnie niedługo.

- Aż taka jesteś ważna?

- Chyba tak. - Zrobiła zażenowaną minę.

- Ci twoi ludzie to kto? - zapytał. - Jakoś ciągle nie chcesz powiedzieć.

Zawahała się.

- Jesteśmy ekipą - przypomniała jej Pima.

- Nazywam się Chaudhury. Nita Chaudhury.

Wzruszyli ramionami.

- Pierwszy raz słyszymy.

- Póki nie odziedziczę majątku, noszę nazwisko matki. - Zawahała się. - Mój ojciec nazywa się Patel. - Czekala na reakcję.

Pauza; w końcu odezwała się Pima:

- Patel? Jak Patel Global Transit?

Pima i Nailer wymienili się zszokowanymi spojrzeniami.

- Dziewczyna z szefostwa? - zapytał Nailer.

Pima zrobiła wściekłą minę. Rzuciła się na Nitę i potrząsnęła nią.

- Jesteś z tych cholernych krwawych kupców?

- Nie!

- Patel Global kupuje od nas wszelki złom - powiedziała Pima. - Ciągłe widzimy ich logo. Oni, General Electric, FluidDesign i Kuok LG. Wszyscy ciągle tylko gadają, żeby realizować przydział, bo inaczej krwawi kupcy znajdą sobie inne źródło zaopatrzenia. Wyniosą się do Bangladeszu albo do Irlandii. Lawson i Carlson nie chcą nam nawet dać masek filtrujących, bo mówią, że muszą ciąć koszty.

- Ja nie wiem. - Nita zrobiła zażenowaną minę. - W firmie to priorytetowa polityka... żeby zaopatrywać się u sprzedawców surowców z recyklingu. - Zawahała się. - Rozbiórka statków to jedno z takich źródeł. - Odwróciła - wzrok. - Tego aspektu działalności nigdy specjalnie nie śledziłam.

- Ty cholerna laluniu! - piekliła się Pima. - Masz szczęście, że nie wiedzieliśmy, kim jesteś, kiedy jeszcze leżałaś pod tymi meblami.

- Pima, daj jej spokój. - Nailer poczuł się gorzej. Zmęczenie, mdłości. - Mamy

większy problem. - Wskazał na horyzont. - Patrzcie.

Pima i Nita odwróciły się. Cała trójka zapatrzyła się na piaszczystą płaszczyznę, z której spływały ostatnie wody odpływu. Od stoczni rozbiórkowej szła ku nim grupa ludzi - ośmiu czy dziesięciu, w ciasnej gromadzie.

- To twoja ekipa po ciebie idzie? - zapytała Pima. - A może krwawi kupcy, co?

Nita puściła drwinę mimo uszu i wyciągnęła szyję, patrząc na drugą stronę wody.

- Nie widzę. - Wspięła się do statku i przyniosła lunetę. Wycelowała ją w odległe sylwetki. - Mają masę blizn i tatuaży. To chyba wasi?

Pima pokręciła głową.

- Gorzej. - Podała lunetę Nailerowi.

- Jak to gorzej? - zapytała Nita.

Nailer ścisnął lunetę w zdrowej dłoni i spojrzał na odległą plażę. Omiatał wzrokiem świetlisty piasek i rozlewiska słonej wody, aż znalazł idące ku nim postacie. Skupił się na twarzach, znalazł przywódcę.

- Krew i rdza - przeklął cicho.

- Co jest? - zapytała znowu Nita. - Kto to?

Pima westchnęła.

- Jego ojciec.

Rozdział XII

Richard Lopez był szybki, kiedy zmierzał ku nim przez świeżo odsłoniętą piaszczystą mierzeję. Miał ze sobą zadziwiająco liczną ekipę, wszystkich wygłodniałych kumpli, speców od wymierzania kopów, którzy utrzymywali porządek przy rozbiórce, kiedy im pasowało, a kiedy nie, nie robili nic. Połyskiwali złomiarzką biżuterią, stalowymi naszyjnikami i zwojami miedzi na bicepsach. Na skórze wiły się tatuaże ekip. Mężczyźni i kobiety, którzy kiedyś pracowali w ciężkich ekipach, a potem jakoś zbczyli z nich w stronę plażowego półświatka, z jego walibudami, jaskiniami hazardu i opiumowymi melinami.

Nailer obserwował ich, tłumiąc lęk na widok uśmiechniętej twarzy ojca w lunecie. Rozpoznał jeszcze paru innych. Żyłastą kobietę o brutalnej twarzy, na którą wszyscy mówili Niebieskooka i która napawała go strachem chyba jeszcze bardziej niż ojciec. Wzdrygnął się na widok kolejnego, o głowę wyższego od reszty i potężnie umięśnionego. Młot, półczłowiek, którego ostatni raz widział u boku Fuksiarza. Jeszcze jeden: Stalowy Liu, zabijaka z bandy Czerwonego Pytona. Jakkolwiek by na to patrzeć, same złe wieści.

Na rękach ojca falowały smoki. Prowadził całą ekipę, szedł pierwszy, uśmiechał się, pokazując nierówne żółte zęby. W okularze lunety był tak wielki, jakby już dotarł na miejsce.

Nailer zadygotał. Nie tylko od infekcji na plecach, przez którą marzył.

- Trzeba się schować.

- Myślisz, że oni nie wiedzą, że tu jesteśmy? - zapytała Pima.

- Lepiej, żeby nie. - Spróbował się podnieść, ale stanie było zbyt wielkim wysiłkiem.

Gestem poprosił Pimę o pomoc.

- A co jest z jego tatą? - zapytała Nita.

Nailer skrzywił się, gdy Pima ciągnęła go do góry. Trudno było opisać wszystko, co uosabiał Richard Lopez. Mówić o nim, to jak mówić o huraganie, niszcycielu miast. Człowiek myśli, że go rozumie, a wtedy on się na ciebie rzuca i jest o wiele gorszy niż się pamiętało.

- Zły człowiek - mruknął.

Pima wsadziła mu głowę pod pachę, żeby go podtrzymać, i zaczęła sprowadzać go z pokładu.

- Widziałam jak zabił jednego gościa w ringu - powiedziała. - Pobił go i zabił, chociaż wszyscy dawno mówili, że już wygrał. Pobił go do krwi, zostawił z rozwaloną czaszką.

Nailer poczuł, że twarz ma jak z drewna. Spojrzał na ojca i jego ludzi. Ekipa szła

szybko. O tej porze już na pewno są naćpani.

- Jak dorwą Szczęściarę, koniec z nią - zauważyła Pima. - Twój ojciec nie będzie chciał, żeby ktoś mu stanął na drodze.

Nailer zerknął na Nitę.

- To byłoby w sam raz, gdyby ci twoi ludzie się teraz pojawili.

Nita pokręciła głową.

- Chyba jeszcze za wcześnie. - Nawet nie spojrzała na horyzont. - Co jeszcze możemy zrobić?

Nailer i Pima spojrzeli po sobie.

- Chodźmy stąd - powiedziała Pima. - Niech sobie przeszukują statek. Jest masa rzeczy do wzięcia. Może się tym zajmą i później uda nam się wykraść na plażę. Wieczorem, czy coś.

Nailer spojrzał na podobne do mrówek postacie.

- On i tak będzie mnie szukał, nawet jak wrócimy.

- Tego nie wiadomo. Jest tak nawalony, że pewnie nawet nie pamięta, że ma syna.

Nailer przypomniał sobie, jak kiedyś ojciec, wściekły i naćpany, załatwił faceta dwa razy większego od siebie. Jak błyskawica: rozbita butelka i krew na ziemi. Chłopak wypuścił powietrze ustami.

- Tak. Chodźmy stąd.

- Myślicie, że uda nam się ukryć?

- Lepiej, żeby się udało - powiedział Nailer przez zaciśnięte zęby, gdy dziewczyny pomagały mu się zsunąć po burcie. - Bo jak nas złapią... - Pokręcił głową.

- Przecież jesteście rodziną?

- Kiedy gość jedzie na kryształ, to nie ma żadnego znaczenia - odpowiedziała Pima. -

Wtedy nawet Nailer się go boi.

- Na kryształ? To jakiś narkotyk?

Nailer i Pima wymienili spojrzenia.

- Kryształ ze szkła. Nie słyszałaś o czymś takim?

Zrobiła zdziwioną minę.

- Czerwoniak? - dodała Pima.

- Krwawy kamień - powiedział Nailer. - Stalowy wiatr? Żabiruja? Błogojucha?

Nita sapnęła.

- Jucha?

Oboje wzruszyli ramionami.

- Może i tak.

Spojrzała na nich z przerażeniem.

- Tym się karmi szczury bojowe. Szturmowców. Półudzi. To dla zwierząt. - Zreflektowała się. - To znaczy...

- Zwierząt, tak? - Nailer rzucił Pimie zmęczone spojrzenie. - W sumie racja. Tu są tylko same zwierzęta, które zarabiają kasę dla wielkich szych od was.

Nita miała na tyle przyzwoitości, żeby się zawstydzić. Nailer wygramolił się z wody i spojrzał na zarośla w górze. Poczul zawroty głowy. Wyciągnął rękę do bogatej laluni.

- Pomóż mi. Sam chyba tam nie wejść.

Wspinaczka na górę była mozolnym, pełnym bólu koszmarem. W końcu jednak znów zbili się w gromadkę w zaimprovizowanym obozie. Nailer zwinął się w kłębek na ziemi, zasapany, oszołomiony. Sześćdziesiąt metrów w dół pomiędzy liśćmi prześwitywał biały kadłub klipra. Echem niosły się okrzyki zachwytu i radości zdobywającej go grupy ludzi. Śmiali się i pohukiwali. Nailer próbował się podeprzeć, żeby zobaczyć, co się tam dzieje, czuł się jednak coraz gorzej. Przychodziły kolejne fale chłodu, choć upalne słońce padało wprost na niego.

- Koc, dajcie koc - wyszeptał.

Dziewczyny nakryły go, on jednak wciąż nie mógł opanować potężnych dreszczy i wypełniającego ciała lodu. Cały się trząsał. Pot zalewał mu oczy, zęby dzwoniły, przez ciało przepływały fale gorączki.

Pod nimi, ojciec i jego banda gramolili się na wrak z drapieżną gracją małych tygrysich.

- Mamy przerąbane - mruknęła Pima.

Nailer ledwo był w stanie mówić przez dzwoniące zęby. Chciał powiedzieć Pimie, żeby sprawdziła drugą stronę wyspy, czy nikt ich stamtąd nie zaskoczy; chciał powiedzieć tej - laluni Nicie Chaudhury, żeby trzymała niżej głowę, że ci dorośli na dole może nie są za inteligentni, ale na pewno całkiem cwani i w którymś momencie się rozejrzą. W którymś momencie znudzą im się te radosne pohukiwania i zaczną pilnować łupu.

Żałował, że nie uciekli, zanim nie przyszedł przyptyw. Głupio było zakładać, że nikt więcej nie zauważy - statek był na to za wielki. Drobnymi padlinożercy zawsze mają tylko chwilę, póki nie przyjdą lwy i nie odbiorą sobie lwiej części mięsa. Dlatego teraz musieli się chować, uwięzieni na górze, podczas gdy lwy oblażyły trupa statku, zaśmiewały się i otwierały znalezione w kambuzie butelki rozmaitych trunków. Ciskali na pokład srebrne talerze, z radosnymi okrzykami tłukli o skały porcelanę, która, nawet według niego i Pimy, była może cenniejsza niż to srebro. Ale w sumie, jeśli czegoś nie dało się przetopić, na plaży,

gdzie rozbierano statki, nie było to warte metra miedzi, więc może mieli rację trzeba to zniszczyć, może trzeba podpalić cały ten cholerny statek, niech szernieje całe niebo...

Nailer zadygotał. Wariował. Musiał poleżeć spokojnie, odpocząć. Był zbyt zmęczony. Położyć się, odpocząć.

- Trzeba cię odstawić na plażę - szepnęła Pima.

Nailer pokręcił głową.

- Nie. Bo dopadną Szczęściarę.

- Wali mnie to. Niech się schowa, albo niech ją znajdą. Tobie jest potrzebne lekarstwo, i to już.

Zęby dzwoniły mu tak, że ledwo był w stanie składać słowa, wpatrzył się w nią jednak najostrożniej jak umiał, chcąc, żeby go zrozumiała.

- Jest w ekipie, nie? Ma znak krwi, jak ty i ja.

Pima odwróciła głowę. Nailer wiedział, co ona myśli. Była ekipa, sprawdzona przez lata wspólnego złomowania i dzielenia się łupem, wspólnie ponosząca ryzyko kradzieży, smarująca sobie aloesem pręgi od pasa po zlej nocy Richarda Lopeza, wspólnie walcząca o podłapanie lekkich robót, a potem trzująca się, żeby codziennie wykonywać przydział...

I była ekipa, która powstała wczoraj.

- Pima. - Chwylił ją. - Skoro myślisz, że mam febryczne oko, to lepiej żebyś wierzyła, że musimy zapewnić Szczęściarze bezpieczeństwo, nawet jeśli jej rodzina to krwawi kupcy. Jest nam potrzebna.

Pima nie odpowiedziała.

Nita przysiadła obok niego, przyjrzała mu się z obawą.

- Jemu trzeba lekarza.

- Ty mi nie mów, co jemu trzeba - warknęła Pima. - Sama, kurna, dobrze wiem. - Zerknęła spomiędzy paproci na ludzi w dole. - Nie ma mowy, żebyśmy go przemyciły na mierzeję, na pewno nas zauważą i będą chcieli się dowiedzieć, co znaleźliśmy. - Pokręciła głową. - Siedzimy w pułapce.

- Mogę do nich zejść - zaproponowała cicho Nita. - Odwrócić ich uwagę.

Nailer pokręcił gwałtownie głową. Pima zamarła, wpatrzyła się w nią. Znowu spojrziała na mężczyzn w dole i skrzywiła się.

- Gdybyś zdawała sobie sprawę, co proponujesz, to może bym ci na to pozwoliła. - Pokręciła głową. - Nie ma mowy. - Zerknęła na Nailera. - Jesteś w ekipie, tak czy owak. - Powiedziała to prawie z przekonaniem.

- No, no, no - usłyszeli znajomy głos. - Kogo ja widzę?

Spomiędzy pnączy kudzu wyjrzała spalona słońcem, wyszczerzona twarz ojca Nailera.

- Tak mi się wydawało, że coś się tu rusza... - Otworzył oczy szeroko, zaskoczony. - Nailer? - Przebiegł wzrokiem tam i z powrotem, błyskawicznie omiótł ich wszystkich. - Co wy tu kombinujecie? Przyszliście po łupy przed nami? - Spojrzał na Szczęściarę. - A ta śliczna to kto? - Zlustrował ją, szeroko otworzywszy oczy z fascynacją, potem znów się uśmiechnął. - Taka elegantka jak ty na pewno jest z tej łodzi grubych ryb. - Uśmiechnął się do Nailera. - Nie wiedziałem, że kumasz się z lalusiami, młody. - Spojrzenie wielkich niebieskich oczu zatrzymało się na jej figurze. - Ładna taka.

- Jest w ekipie - wykrztusił Nailer pomiędzy atakami dreszczy.

- A tak? - W dłoni Richarda błysnął nóż. - No to schodzimy. Wszyscy. Popatrzmy, co tam znalazła dla nas lekka ekipa. - Odwrócił się i zawołał: - Tutaj! Na górze!

Chwilę później otoczyło ich parę innych osób, w tym Niebieskooka i półczłowiek Młot. Wypłoszyli ich z obozowiska. Zleźli niezdarnie na dół, pomiędzy chwastami i paprociami, obrzucani uwagami kumpli ojca. Gwizdali na widok Pimy i Nity, śmiali się i podszczypywali je. Jeszcze bardziej się zaśmiali, gdy Pima próbowała się bronić.

Gdy zeszli i wspięli się na pokład klipra, wokół zebrała się cała ekipa dorosłych.

- Macie coś dla nas, jakiś towar? - zapytał ogromny półczłowiek. Uniósł Nitę jakby nic nie ważyła, przysuwając jej twarz do swojego tępego, psiego pyska. Żółte oczy przyjrzały się wysadzanemu kamieniami kolczykowi w nosie. - To diament - obwieścił.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Wielki paluch dotknął kamienia.

- Dasz mi go? Czy mam go ci wyrwać z twojej ślicznej buźki?

Oczy Nity rozszerzyły się. Sięgnęła i odpięła kolczyk.

- Cholera - odezwał się Richard. - Patrzcie, ile ona ma tego złota.

Półczłowiek ją przytrzymał, a on i Niebieskooka pościgali z palców dziewczyny resztę pierścionków. Nita krzyczała, ale ojciec Nailera przyłożył jej nóż do szyi, więc ani drgnęła, kiedy Niebieskooka zrywała złoto, zostawiając krwawe smugi. Wszyscy aż gwizdnęli, widząc ilość oślepiająco lśniącego metalu. Jeden taki pierścień to więcej niż roczne zarobki. Byli bogaci, i to ich upajało.

Nailer kucał, dygocąc, na pokładzie. Patrzył, jak obdzierają ją ze skarbów. Marzył mimo palącego słońca. A teraz poczuł także potworne pragnienie. Z pokładu wyparowały resztki wody morskiej i deszczówki - w głębi statku może i były jakieś zapasy słodkiej wody, ale on nie miał siły się podnieść. Zresztą, ekipa starego na pewno nie pozwoliłaby im szperać. Wszyscy zgromadzili się na pokładzie, licząc zyski i kombinując, jak by je zachować.

- Trzeba będzie odpalić działkę Fuksiarczowi - obwieścił w końcu jego ojciec. - Połowę oddamy, ale nie oberwiemy po ryju, a on będzie w stanie to wszystko puścić pociągiem.

Członkowie ekipy kiwnęli głowami. Niebieskooka obejrzała się na Nailera, Pimę i Nitę.

- A z lalunią co?

- Z naszą śliczną? - Ojciec popatrzył na Nitę. - Co, skarbie, będziesz kwestionować nasze znalezisko?

- Nie - pokręciła głową Nita. - Wszystko wasze.

Richard zaśmiał się.

- Może tylko teraz tak mówisz, a później zmienisz zdanie. - W jego dłoni błysnął nóż. Podszedł i kucnął przy niej, błyskając wielkim nożem nad jej kostkami, gotów wypatroszyć ją tak, jak to robił z rybami. Żaden problem, wypruć jej flaki, żeby wysypały się na ziemię. Po prostu sposób, żeby coś zjeść. Nic osobistego.

- Nie będę wam wchodzić w drogę - szepnęła Nita z oczyma rozszerzonymi z przerażenia.

- Pewnie. - Ojciec Nailera kiwnął głową. - Tu masz rację. Bo twoimi flakami nakarmimy rekiny i nikogo nie będzie obchodziło, czy powiesz tak, czy nie. Może w twoim domu, u grubych ryb, kogoś obchodzi, co się z tobą stanie. - Wzruszył ramionami. - Tutaj jesteś niczym.

Nailer poprzez delirium widział, że w ojcu wzbiera wola przemocy. Znał te objawy - widział je wiele razy, gdy ojciec uderzał, szybki jak kobra i walił go w głowę, albo przyciągał do siebie, żeby wbić mu pięść w brzuch.

Nóż do patroszenia błysnął w słońcu. Ojciec przyciągnął Nitę bliżej. Nailer usiłował się odezwać, powiedzieć coś, co by ją uratowało, ale nie był w stanie wydobyć słowa. Zbyt silne były dreszcze i zbyt częste.

Znikąd wypadła Pima, załśnił jej nóż.

Nailer próbował krzyknąć, ostrzec ją, ale ojciec był szybszy. Machnął ręką, odtrącił ją na bok. Przewróciła się na pokład. Nóż prześliznął się po włóknie węglowym i zniknął za burtą. Pima była większa od większości pracujących w lekkich ekipach, ale z szybkością jadącego na kryształach ojca nie miała się co mierzyć. Przez moment szamotał się z nią, w końcu obezwładnił w duszącym chwycie. Reszta ekipy podbiegła. Coś krzyczeli. Pierwszy był Młot: pociągnął ją do góry, unosząc z pokładu. Wykręcił ręce do tyłu, tak że mogła tylko bezradnie wić się i wyginać.

Na szyi Richarda lśnił naszyjnik zrobiony z rubinowych koralików.

- Cholera, młoda, dziabnęłaś mnie. - Wyszczrzył zęby i przesunął palcami po ranie.

Nailer nie mógł uwierzyć, że prawie się jej udało. Była taka szybka. Ojciec przyjrzał się z namysłem czerwonej smudze, potem pokazał ją jej. - Mało brakowało. - Zaśmiał się. - Powinnaś, skarbie, walczyć w ringu.

Pima wrywała im się z rąk. Ojciec Nailera podszedł bliżej.

- Mało brakowało, dziewczyno. - Chwyił ją za twarz zakrwawionymi palcami. - Mało, kurna, brakowało. - Przysunął jej nóż do oczu. - Moja kolej, nie?

- Zarżnij ją - szepnął ktoś z bandy.

- Wypruj flaki - ponagliła Niebieskooka. - Będzie krew na ofiarę.

Pima zaszamotała się w uchwycie Młota, ale nie usunęła się, gdy Richard dotknął ostrzem jej policzka. Chyba już się pogodziła, domyślał się Nailer. Wiedziała, że już nie żyje. Było to widać, to pogodzenie z losem.

- Tato. - Kaszlnął. - To córka Sądną. Ona cię uratowała podczas sztormu.

Ojciec zawahał się, trzymając nóż przy twarzy Pimy. Obrysował nim jej szczękę.

- Chciała mnie zabić.

Nailer spróbował jeszcze raz.

- Jesteś kwita z Sądną. Życie za życie. Równy.

Ojciec zmarszczył brwi.

- Z ciebie to zawsze taki bystrzak, co? Ciągłe chcesz mówić ojcu, co ma robić. Taki z ciebie waźniak. - Zjechał nożem pomiędzy piersiami Pimy, na jej brzuch. Obejrzał się na Nailera. - No jak? Dalej będziesz mi mówił, co mam robić? Powiesz, że nie mogę jej wypruć flaków? Że nie mogę jej zarżnąć, jak przyjdzie mi ochota?

Nailer pokręcił gwałtownie głową.

- Jak chcesz, to twoje pprawo. Pprzełała krew. - Zęby mu zadzwoniły. Z trudem zachowywał przytomność. Pima i Nita wbiły weń wzrok. - Chcesz jej kkrwi, to proszę bardzo. Masz pprawo. - Czuł się coraz gorzej, coraz bardziej oszołomiony. Wziął głęboki wdech, próbował sobie przypomnieć, co właściwie chciał powiedzieć. Wydusił z siebie słowa, starając się starannie je wyartykułować. - Matka Pimy pomogła mi cię wyciągnąć, kiedy przyszedł sztorm. Nikt więcej nie chciał mi pomóc. I nie mógł. - Wzruszył bezradnie ramionami. - Mamy dług wobec Sądną.

- Cholera, młody. - Richard przekrzywił głową. - Mnie to dalej wygląda, jakbyś mi mówił, co mam robić.

Zagrzmiał głos Młota:

- Może daj jej lekcję, nie zabijaj. Dar nauki dla młodej dziewczyny.

Nailer obejrzał się, zdziwiony, na półczłowieka i spróbował pociągnąć dalej.

- Ja tylko mówię, że jesteśmy jej matce winni dług krwi i wszyscy o tym wiedzą. Jak ludzie sobie pomyślą, że nie oddajemy długów, będzie zła karma.

- Zła karma. - Ojciec spojrział nań spode łba. - Będę się tym przejmował, myślisz?

- Wyrównanie długu krwi to żadna słabość - zadudnił Młot.

- No, patrzcie tylko. Wygląda na to, że wszyscy chcą, żeby dziewczyna przeżyła. - Skrzywił się szyderczo, uniósł nóż i zamierzył się, celując w jej brzuch.

Pima krzyknęła, lecz Richard zatrzymał ostrze, nie przelewając krwi. Wyszczrzył zęby i cofnął czubek z miejsca, gdzie lekko nacisnął skórę.

- Dobra, młoda, wygląda, że teraz ci się upiekło. - Wziął dziewczynę za rękę i popatrzył jej w oczy. - Wyrównuję rachunek przez wzgląd na twoją mamę - powiedział. - Ale jeszcze raz podniesiesz na mnie nóż, to uduszę cię własnymi flakami. Dotarło?

Pima kiwnęła powoli głową, nie mrugając, oko w oko ze swoim oprawcą.

- Dotarło.

- To świetnie. - Richard uśmiechnął się i rozwarł jej dłoń.

Pima sapnęła, gdy chwycił ją za mały palec. Trzasnęła kość. Nailer aż skulił się na ten dźwięk. Pima wrzasnęła, potem zadławiła się bólem, zaczęła jęczeć. Richard złamał jej palec serdeczny. Oddech Pimy stał się chrapliwy, urywany. On zaś uśmiechnął się, opuszczając głowę tak, że zmierzyl się wzrokiem.

- Teraz już będziesz wiedzieć, nie?

Pima kiwnęła gorączkowo głową, ale on i tak chwycił kolejny palec. Trzasnęła jeszcze jedna kość, znów krzyk.

- Już? Nauczona? - zapytał.

Pima cała się trzęsła, ale udało jej się kiwnąć głową.

Ojciec Nailera wyszczrzył żółte zęby.

- Dobrze wiedzieć, że nie zapomnisz. - Zbadał połamane palce, potem znów przysunął twarz do jej twarzy. - Łagodnie się z tobą obszedłem. Mogłem ci połamać wszystkie i nikt by mi złego słowa nie powiedział, nawet mimo tego długu krwi. - Oczy miał zimne. - Pamiętaj sobie, że nie wszystko wziąłem. Że ci darowałem.

Cofnął się i skinął na półczłowieka.

- Puść ją, Młocie.

Pima zważyła się na pokład, pojękując i ściskając rękę. Nailer powstrzymał się, żeby do niej nie podejść, nie próbować jej pocieszać. Miał ochotę zwinąć się w kłębek na gorącym

pokładzie i zamknąć oczy, ale nie mógł. Jeszcze nie skończył.

- Iii cco? Zabijesz tę lalunię? - Nie był w stanie opanować dreszczy.

Ojciec obejrzał się na skrępowaną dziewczynę.

- A ty co masz tu do gadania?

- Jest bbbbogata - jąkał się Nailer. - Jeśli ktoś jej szuka, będzie sporo warta. - Kolejna fala dreszczy. - Może ddużo. Bbbardzo. Wwwięcej niż stastatek.

Ojciec przyjrzał się jej taksująco.

- Co, będziesz warta nagrody? - zapytał.

Nita kiwnęła głową.

- Ojciec będzie mnie szukał. Zapłaci za moje bezpieczeństwo.

- Tak? A dużo?

- To był mój prywatny kliper. Jak myślisz?

- Trzeba ci przyznać, że charakter to ty masz. - Ojciec Nailera uśmiechnął się, drapieźnie, z zadowoleniem. - Właśnie kupiłaś sobie z powrotem własne flaki, lalunia. - Pokazał jej nóż. - Ale jak twój ojciec nie zapłaci tyle co trzeba, rozprujemy cię jak świnię i posłuchamy jak kwiczysz. - Odwrócił się do swojej ekipy. - No dobra, panie i panowie. Wynosimy towar. Nie ma po co się nim dzielić z Fuksiarzem. Wszystko co cenne i lekkie, won ze statku. - Odwrócił się i spojrzał na morze. - I ruszać się. Przypływ i Bóg Złomu na nikogo nie czekają. - Parsknął śmiechem.

Nailer opadł z powrotem na plecy. Na niebie prażyło słońce. A on dygotał z zimna. Ojciec przysiadł koło niego. Kiedy dotknął ramienia Nailera, ten krzyknął. Richard pokręcił głową.

- Cholera, Szczęściarz, tobie faktycznie potrzeba jakiegoś lekarstwa. - Uniósł głowę i popatrzył przez wodę na wraki. - Jak tylko wyciągniemy trochę tych znalezisk, idziemy zagadać z Fuksiarzem. Powinien mieć jakąś coś tam cylinę. A może nawet koktajl supresyjny.

- Trzrzeba szszszybko - szepnął Nailer.

Ojciec kiwnął głową.

- Wiem, synu, wiem. Ale jak się tam pokażemy, trzeba będzie wyjaśnić, skąd nagle mamy czym zapłacić za twoje leki, a potem będą pytania, skąd twój stary wytrzasnął tyle srebra i złota. - W jego dłoni błysnął jeden z pierścionków Nity. - Popatrz no na to. - Uniósł go pod światło. - Diamenty. Może rubiny. Trzeba ci powiedzieć, niezłą lalunię znalazłeś. - Wsunął pierścień do kieszeni. - Ale sprzedać nic nie możemy, póki nie mamy odpowiedniej ochrony. Inaczej zaraz ktoś przyjdzie i to wszystko zabierze. - Spojrzał poważnie na Nailera.

- Znaleźisko jest niesamowite synu, prawdziwy fuks. I teraz trzeba to mądrze rozegrać, inaczej wszystko stracimy.

- Taa - przyznał Nailer, ale tracił już zainteresowanie rozmową. Był zmęczony.

Zmarznięty i zmęczony. Ogarnęła go kolejna fala dreszczy.

Ojciec krzyknął na ludzi, żeby dali jakieś koce.

- Ja wrócę - powiedział. - Jak tylko zabezpieczymy towar, załatwię ci leki. - Poglądził Nailera po policzku; blade oczy miał rozpalone i obłąkane.

Nailer czuł, że jego własne wyglądają tak samo.

- Synu, nie dam ci umrzeć. Nic się nie bój. Zajmiemy się tobą. Jesteś rodziną i ja się tobą zajmę.

A potem poszedł, a Nailer pogrzyżył się w malignie.

Rozdział XIII

- To tak wygląda twój ojciec, co?

Nailer otworzył oczy i zobaczył klęczącą obok Nitę. Leżał na stałym lądzie, ocean szumiał gdzieś dalej. Był przykryty szorstkim kocem. I była noc. Obok trzaskał mały ogieniek. Próbował się podnieść, bark jednak zabołał, więc położył się z powrotem. Namacał bandaż, nowe, inne od tych, które dała mu Sadna w poprzednim życiu.

- Gdzie Pima?

Nita wzruszyła ramionami.

- Posłali ją po jedzenie.

- Kto?

Wskazała brodą dwa siedzące niedaleko cienie, palące papierosy i podające sobie butelkę alkoholu, pobłyskujące w mroku gangsterskimi kolczykami, kóleczkami w łukach brwiowych, kołkami w nasadzie nosa. Jeden, Moby, blady jak zjawa, żylasty i kościsty od kryształ. Drugi, potężna góra cienia i mięśni, półczłowiek Młot. Uśmiechnęli się do Nailera, kiedy się poruszył.

- Proszę, proszę, wygląda na to, że nasz Nailer będzie żył. - Moby machnął ku niemu flaszką w czymś w rodzaju toastu. - Twój ojciec mówił, że z ciebie twardy mały szczur. Mnie nie wyglądało, że z tego wyjdiesz.

- Ile czasu byłem chory?

Nita przyjrzała mu się.

- Zdrowy to chyba jeszcze nie jesteś.

- Jestem.

- No to jak dotąd trzy dni.

Nailer poszperał w pamięci, próbując znaleźć cokolwiek z ostatnich trzech dni. Sny, koszmary, ale nic konkretnego, fale ciepła, zimna, rozedrgane wizje ojca zagładającego mu w oczy...

Nita zerknęła na dwóch mężczyzn.

- Zakładali się, czy przeżyjesz.

- Tak? - Nailer skrzywił się i spróbował się podnieść. - A o co?

- Pięćdziesiąt czerwonych chinoli.

Nailer spojrzał na nią zdziwiony. Wysoka stawka. Więcej niż miesięczne zarobki w ciężkiej ekipie. Ewidentnie sporo udało się wynieść ze statku.

- A kto stawiał, że przeżyję?

- Ten chudy. Półczłowiek był pewien, że umarłeś. - Pomogła mu się podnieść. - Miał wrażenie, że już nie ma gorączki. Nita wskazała fiolkę z tabletkami, lalusiowatymi, sądząc po literach na boku. - Rozgniataliśmy je i dawaliśmy ci z wodą. Taki facet... - urwała, próbując przypomnieć sobie imię - ...Fuksiarz, przysłał nawet lekarza.

- Tak?

- Masz to brać przez dziesięć dni, cztery razy dziennie.

Nailer spojrział na nie bez entuzjazmu. Trzy dni był nieprzytomny.

- A twoi ludzie jeszcze nie dotarli? - zapytał. Było oczywiste, że nie.

Nita z nagłą nerwowością obejrzała się na pilnujących, po czym wzruszyła ramionami.

- Jeszcze nie. Ale pewnie niedługo.

- Lepiej, żeby tak było.

Rzuciła mu wredne spojrzenie. Kiedy się odwracała, dostrzegł metalowy łańcuch łączący jej kostkę z jednym z wielkich cyprysów. Zauważyła, na co patrzy Nailer.

- Wolą nie ryzykować.

Nailer kiwnął głową. Minutę później pojawiła się Pima, pilnowana przez trzecią dorosłą. Niebieskooką. Kobieta miała wycięte na ramionach i nogach blizny, w twarzy i na szyi pełno ozdób ze złomu. Długi suwak blizny na boku ukazywał, co złożyła w ofierze Żniwiarzom i Sekcie Życia. Popchnęła Pimę.

Moby podniósł wzrok.

- Ej, uważaj z tą małą. Niesie mi kolację.

Niebieskooka nie zareagowała, spojrzała natomiast na Nailera.

- O, żyje?

- A co, nie widać? - odpowiedział Moby. - Pewnie, że żyje. No, chyba że jest zombiakiem, żywym trupem. Łuuuuu. - Zaśmiał się z własnego żartu.

Pima rozdała dorosłym metalowe puszki z ryżem, czerwoną fasolą, mielonką i przyprawami. Nailer patrzył jak zahipnotyzowany na rozdawane jedzenie. Niesamowicie dobre. W życiu nie widział, żeby ktoś tak nonszalancko rozdawał taką ilość mięsa. Kiedy podawała puszki Moby'emu i Młotowi, stwierdził, że się ślini. Moby zaczął jeść, a Niebieskooka nie spuszczała go z oka.

- Powiesz Lopezowi, że jego dzieciak żyje? - zapytała.

Moby pokręcił głową, pakując do ust ręką porcję ryżu i fasoli.

- To za co ci, kurna, płaci? - zdenerwowała się Niebieskooka.

- Dopiero co się obudził - zaprotestował Moby. - Dwie minuty wśród żywych, jak nie mniej. - Szturchnął Młota. - Prawda? Mały szczur dopiero co wstał.

Młot wzruszył ramionami, nabrał garść ryżu i kawałków mięsa.

- Tym razem Moby nie kłamie - zagrzemiał. - Tak jak mówi, mały szczur dopiero co wstał. - Uśmiechnął się, pokazując ostre psie zęby. - W samą porę na kolację. - Wepchnął do pyska górę jedzenia.

Niebieskooka skrzywiła się. Zabrała Moby emu puszkę i dała Nailerowi.

- Ty idź i sam sobie coś przynieś. Dzieciak szefa je pierwszy. I powiedz szefowi, że już wstał.

Moby łypnął na nią spode łba, ale nie zaprotestował. Po prostu wstał i poszedł. Pima kucnęła obok Nailera.

- I jak tam?

Nailer zmusił się do uśmiechu, choć znowu zaczynał czuć zmęczenie.

- Jeszcze nie umarłem.

- No to masz dobry dzień.

- Pewnie. - Zajął się jedzeniem.

Pima wskazała brodą Nitę.

- Musimy pogadać. Ludzie Szczęściary jeszcze się nie pokazali. - Zniżyła głos do szeptu. - Twój ojciec zaczyna się robić nerwowy.

Nailer zerknął na pilnujących.

- Jak nerwowy?

- Coś dla niej szykuje. Może chce ją dać Niebieskookiej i Sekcie Życia. Cały czas gada, ile to by miedzi dostał za jej ładne oczy.

- Ona wie, co on kombinuje?

- No, głupia nie jest. Nawet taka lalunia by się zorientowała.

Niebieskooka przerwała im rozmowę, przysiadając obok.

- Co, gadacie sobie?

Nailer pokręcił głową.

- Przyszła zobaczyć jak się czuję.

- Dobrze. - Niebieskooka uśmiechnęła się, twardo i zimno. - To morda w kubel i kończ jedzenie.

Młot, siedzący na pieńku, pokazał zęby.

- Dobra rada - zadudnił.

Pima kiwnęła głową i odeszła bez słowa.

Nailerowi dało to do myślenia bardziej niż wszystko inne. Pima się bała. Zerknął na jej rękę, zobaczył połamane palce unieruchomione kawałkiem wyrzuconego przez fale drewnianka. Ciekawe, czy to te palce, czy coś innego, co zaszło przez trzy ostatnie dni, sprawiło, że zrobiła się taka nieufna.

Nita skończyła jeść i powiedziała w powietrze:

- Całkiem nieźle mi już idzie jedzenie rękoma.

Nailer obejrzał się na nią.

- A czym byś jadła?

- Nożem, widelcem, łyżką? - Omal się nie uśmiechnęła, lecz nagle pokręciła głową. -

Nieważne.

- Co takiego? - indagował Nailer. - Nabijasz się z nas, Szczęściaro?

Nita zrobiła ostrożną, niemal wystraszoną minę. Ucieszyło go to. Popatrzył na nią wilkiem.

- Nie patrz tak z góry, bo my nie znamy waszych lalusiowatych sztuczek. Mogliśmy ci uciąć palce. Dużo ci by wtedy przyszło z twoich widelców, łyżek i noży, nie?

- Przepraszam.

- No tak, teraz to przepraszasz, jak już palnęłaś.

- Odczep się, Nailer - odezwała się Pima. - Powiedziała, że przepraszam.

Młot wpatrzył się w Nitę martwymi żółtymi oczyma.

- Ale może za mało, co, młody? - Nachylił się ku niemu. - Mam lalunię nauczyć kultury?

Teraz Nita zrobiła naprawdę przerażoną minę.

Nailer pokręcił głową.

- Nie. Nieważne. Już dotarło.

- Do każdego kiedyś dociera - stwierdził Młot.

Nailer wzdrygnął się, słysząc te beznamiętne słowa, ten brak zainteresowania w jego głosie. Po raz pierwszy znalazł się tak blisko tego typu. Za to opowieści o nim słyszał aż nadto. O tym, skąd ma tę wielką siatkę blizn ozdabiających twarz i tors. O tym, jak brodził po mokradłach, polując na aligatory i pytony. Mówili o nim, że niczego się nie boi. Że tak go skonstruowano, żeby nie czuł strachu ani bólu. Był jedyną osobą, o której ojciec Nailera mówił z ostrożnym szacunkiem, a nie brutalną wyższością. Pólczłowiek naprawdę budził lęk, a gdy tak patrzył na dziewczynę, Nailerowi wydawało się, że wie dlaczego.

- Nieważne - powtórzył. - Już nic do niej nie mam. Młot wrzucił ramionami i wrócił do jedzenia. Siedzieli w milczeniu. Spoza kręgu światła od ogniska dobiegały tylko odgłosy

zwierząt i owadów, nie było tam nic, tylko ciemna dzicz dżungli i bagien, bijący z głębi ładu duszny żar. Po dalekim szumie morza wywnioskował, że są co najmniej milę od brzegu. Położył się na ziemi i patrzył w migocące płomienie. Najadł się, ale znów był zmęczony. Pozwolił myślom błądzić, zastanawiał się, co kombinuje ojciec, czemu Pima jest taka wystraszona, co się dzieje za lalusiowatymi oczyma Szczęściary. Odpłynął w sen.

- Niech mnie, synu. Mówią, że się zbudziłeś.

Otworzył oczy. Ojciec przysiadł przy nim, uśmiechnięty, same wytatuowane smoki i płonące od amfetaminy oczy.

- Wiedziałem, że dasz radę. Twardy jesteś, jak twój stary. Twardy jak gwóźdź. Tak jak cię nazwałem. Tak jak twój stary. - Zaśmiał się, klepnął go w ramię, nie zauważając, że Nailer aż skulił się z bólu. - Wyglądasz dużo lepiej niż parę dni temu. - Skórę miał bladą, pocił się od ogniska, jego uśmiech był szeroki i drapieżny. - Wtedy już myślałem, że będę cię musiał oddać robakom.

Nailer zmusił się do uśmiechu, próbując wyczuć rozpalony kryształem nastrój ojca.

- Chyba jeszcze nie.

- Pewnie, już przeżyłeś. - Obejrzał się na Nitę. - Nie to co ona. Bogata lalunia już dawno by nie żyła, gdybym nie uratował jej dupy. - Uśmiechnął się do niej. - Trochę nawet liczę, lala, że twój ojciec się nie pojawi.

Nailer usiadł i podwinął nogi pod siebie.

- To jej ekipa nie przyjechała?

- Jeszcze nie.

Ojciec pociągnął łyk whiskey i podał butelkę Nailerowi. Po drugiej stronie ogniska odezwała się Pima:

- Doktor mówił, żeby nie pił.

Ojciec łypnął na nią groźnie.

- Co, znowu mi mówisz, co mam robić?

Pima zawahała się.

- Nie ja. Lekarz od Fuksiarza tak mówił.

Nailer chciał jej powiedzieć, żeby siedziała cicho, ale już było za późno. Nastrój ojca się zmienił, na niebie, dotąd czystym, błyskawicznie zebrały się burzowe chmury.

- Co, myślisz, że tylko ty słyszałaś tego konowała? - zapytał. - To ja go tu ściągnąłem. Ja mu zapłaciłem i ja mu kazałem poskładać mojego chłopaka do kupy. - Podeszedł do Pimy. W jego dłoni kołysała się luźno butelka whiskey. - I ty mi mówisz, co on powiedział? - Nachylił się. - Może jeszcze raz mi powiesz? Na wszelki wypadek, może nie dosłyszałem?

Pima miała dość rozumu, żeby się zamknąć i spuścić głowę. Ojciec Nailera przyjrzał się jej.

- Bystra dziewczyna. Tak właśnie myślałem, że chcesz się zamknąć. Ci gówniarze dzisiaj, w ogóle rozumu nie mają.

Wyszczrzył się do swoich osiłków. Niebieskooka i Moby odpowiedzieli uśmiechem. Młot tylko patrzył na Pimę psimi oczyma.

- Mam jej dać nauczkę? - zagrzemiał. - Przypomnieć jej?

- A ty, młoda, jak ci się zdaje? Potrzebujesz jeszcze krótkiej lekcji od Młota? Może uczy lepiej ode mnie?

Pima pokręciła głową.

- Nie, proszę pana.

- No widzicie? - Richard uśmiechnął się. - Jaka jest grzeczna.

Nailer spróbował zmienić temat.

- A czemu lalunia jeszcze tu jest? Gdzie ci jej ludzie?

Richard skupił się z powrotem na Nailerze.

- Też bym chciał wiedzieć. Lalunia mówi, że jej szukają. Mówi, że komuś na niej zależy. Ale nikt się nie pokazuje. Żadnych statków. Nikt nie przyjechał pociągiem, rozejrzeć się po wybrzeżu. Żaden lalusz nigdzie się nie rozpytywał. - Obliznął wargi i przypatrzył się Nicie. - Trochę jakby wszystkim zwiślało, co się stanie z jedną bogatą lalą. Może nawet nie jest warta tyle, co jej nerki. Tragedia by to była, co? Taką bogatą lalunię pokroić na części zamienne, nie?

- Może trzeba by się skontaktować z tymi jej ludźmi? - zapytał Nailer. - Jakoś im przekazać, gdzie ona jest?

- Gdybyśmy tylko wiedzieli, kto to taki. Mówi, że są gdzieś z Houston. Z Uppadaya Combine, jakiejś firmy przewozowej, czy coś. Fuksiarz poprosił jakichś ludzi, żeby ich tam odszukali.

Nailer podskoczył.

- Uppadaya...? - Urwał, gdy Pima machnęła ostrzegawczo ręką. Spojrzał na nią zdziwiony. Czemu Nita podała fałszywe nazwisko? Jeśli faktycznie była z Pateli, istniała masa sposobów, żeby nawiązać kontakt z ich ludźmi, nawet tu, na plaży. - To jaki masz plan?

- Ciężko powiedzieć. Tak sobie myślałem: jest warta kupę kasy, wystarczy popatrzeć, jaka z niej lalunia, ale możemy mieć też problemy. Ci Uppadayowie mogą mieć duże znajomości, wśród grubych ryb, takich typów, co wjadą tu ze swoimi rozwalaczami łbów i narobią nam kłopotów... - Urwał i zamyślił się. - Czasem zaczynam myśleć, że jest aż zbyt

niebezpieczna i lepiej byłoby nakarmić nią świnie. Jej statek już mamy i jedno jest pewne: ona już, kurna, za dużo o nas wie. - Powiedział to jeszcze raz, ciszej: - Dużo za dużo.

- Ale coś musi być warta.

Richard wzruszył ramionami.

- Może jest warta kupę kasy, a może to jeszcze gorzej, niż gdyby nie była nic warta. - Uniósł wzrok. - Bystry z ciebie dzieciak, ale ojca powinieneś słuchać. Mam za skórą parę lat i ja ci to mówię: dla ludzi takich jak my, taka lalunia to zawsze problemy. Za nas nie dadzą metra miedzi, ale swoich pilnują. Może nam za nią zapłacą, a może potem wrócą z karabinami i wystrzelają nas jak gniazdo węży, zamiast podziękować.

- My byśmy nigdy... - zaprotestowała Nita.

- Cicho, lalunia - rzucił Richard obojętnym tonem. Zwrócił ku niej zimne oczy. - Może coś jesteś warta, a może nie. Ale jedno jest pewne, szlag mnie, kurna, trafia, jak mielesz ozorem. - Wyciągnął nóż. - Jeszcze słowo i chyba ci go urznę. - Wytrzeszczył oczy. - Twoi ludzie by cię jeszcze chcieli, jakbyś go nie miała?

Zamilkła. Kiwnął głową usatysfakcjonowany. Usiadł koło Nailera, opuścił głowę, blisko, niemal go dotykając.

Nailer czuł od niego zapach potu i whiskey, widział czerwone oczy.

- Pomysł miałeś, synu. - Richard obejrzał się na dziewczynę. - Ale im dłużej nad tym myślę, tym gorzej mi to wygląda. Dorobiliśmy się na tym statku. Wszystko teraz będzie inaczej. Jesteśmy bogaci jak cholera. Dogadałem się z Fuksiarzem. Z tego wraku zostały już tylko żebra. Załatwiłem prawdziwe ekipy złomiarские, wejdą tu i go rozbiorą. Jeszcze parę dni i jakby nigdy nie istniał. - Uśmiechnął się szeroko. - To nie to, co rozbierać te stare tankowce. Takie maleństwo to jak splunąć. - Obejrzał się na Szczęściarę. - Ale z niej nam nic dobrego nie przyjdzie. Albo grube ryby zaczną się nami interesować. Albo staniemy się dla kogoś celem. Albo ktoś przez nią zacznie się dopytywać, skąd wzięliśmy te łupy, czyje to było i kto się na tym dorobił.

- Lalusiom nikt nic nie powie.

- Nie łudź się - mruknął Richard. - Własne matki by posprzedawali, żeby mieć szansę na fuksa.

- Trzeba trochę poczekać - szepnął Nailer. - Jeszcze trochę czasu i może będziemy dużo, dużo bogatsi.

Był w stanie myśleć tylko o jednym: jak bardzo chce znaleźć się jak najdalej od ojca, jego rozbieganych oczu, nerwowego uśmiešku, szybkich zmian nastroju - twarzy człowieka jadącego grubo na kryształach.

Spojrzenie Richarda znów powędrowało ku dziewczynie.

- Gdyby nie była taka ładna, dawno bym ją wykrwawił. Za bardzo zwraca uwagę. - Pokręcił głową. - I to mi nie odpowiada.

- Może dałoby się zrobić tak, żeby jej ludzie za nią zapłacili, ale nie wiedzieli, kto ją sprzedaje - powiedział Nailer. - Trzymasz ją w tajemnicy, prawda?

Ojciec wyszczerzył zęby.

- Wie tylko moja ekipa. - Przypatrzył się Niebieskookiej, Mobyemu i Młotowi. - Ale może i to jest za dużo. Jak ludzie rzucają naokoło kasą, tajemnica długo się nie trzyma. - Spojrzał na dziewczynę. - Ją miej na oku jeszcze przez jeden dzień. Zobaczmy, co z tego wyjdzie. - Wstał, Nailer też pozbierał się z trudem, ale ojciec zepchnął go z powrotem. - Ty siedź. Odpoczywaj. Sadna zaczyna się rozpytywać, gdzie poszliście, ty i Pima. Ja udaję głupiego, wiesz? Nie chcę, żeby ktoś się dowiedział, co się święci. Żeby nie narobił nam kłopotów.

- Sadna nas szuka? - Nailer starał się nie zdradzić w głosie nadziei.

- Usłyszała plotkę, że znaleźliśmy Pimę. - Wzruszył ramionami. - Ale nie ma kasy. A bez czerwonych chinoli nikt nie będzie gadał. - Odwrócił się i kiwnął na Młota, Niebieskooką i Moby'ego. - Nie spuszczać ich z oka.

Cała trójka kiwnęła głowami, Niebieskooka uśmiechnięta, Moby pociągający z butelki, Młot beznamiętny. Richard zniknął w zaroślach, wśród nocnych skrzeków dżungli - rozplywający się w czerni biały szkielec człowieka.

Kiedy poszedł, Moby wyszczerzył zęby i pociągnął raz jeszcze whiskey.

- Tobie, młoda, kończy się czas - powiedział. - Jak twoi ludzie szybko się nie pokażą, może ja cię sobie wezmę? Milusie będzie z ciebie zwierzątko.

- Cicho bądź - zadudnił Młot.

Moby spojrzał nań groźnie, ale się zamknął. Młot obejrzał się na Niebieskooką.

- Ty pierwsza pilnujesz?

Niebieskooka kiwnęła głową. Młot popchnął Moby'ego nieco dalej, obaj umościli sobie posłania w pobliskich zaroślach. I zaraz z miejsca, gdzie legł, dobiegło chrapanie.

Ledwo było słyszeć głos Moby'ego, narzekającego cicho gdzieś dalej między paprociami. Wokół zaroilo się od komarów. Nita opędzała się od nich bezradnie. Cała reszta nie zwracała na nie uwagi.

Niebieskooka podeszła i założyła Pimie łańcuch na przegub, potem odwróciła się do Nailera.

- A ty jak? Będziesz robił problemy?

- Co takiego? - Nailer spojrział na nią niedowierzająco. - Powiesz mojemu ojcu, że założyłaś mi łańcuch? To ja znalazłem tego fuksa.

Niebieskooka zawahała się. Miała ochotę skuć i jego, jednak nie była pewna, czy jest jeńcem, czy sprzymierzeńcem. Łypnął na nią wyzywająco. Wiedział, co widzi: chudego chłopaka z wystającymi żebrami, który dopiero wyszedł z gorączki, a za jego plecami świra Richarda Lopeza. Nie opłacało się.

Zatem, oczywiście, zrezygnowała. Siadła na kamieniu, podniosła maczetę i zaczęła ją ostrzyć. Pima i Szczęściara popatrzyły na niego znacząco. Ogień trochę przygasł. Nie podobały mu się sugestie ojca. Stary był na progu decyzji i każdy drobiazg mógł go popchnąć w tę czy w inną stronę.

Nailer wyciągnął się na ziemi obok Pimy.

- Jak tam twoje palce?

Uśmiechnęła się i pokazała dłoń.

- Mogą być. Dobrze, że nie chciało mu się dać mi pięciu lekcji.

- Jeszcze bolą?

- Nie tak, jak ta kasa, co nam przepadła. - Głos miała śmiały, ale przyszło mu do głowy, że palce muszą potwornie boleć. Były nierówno poskładane. Powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem. - Może da się je jeszcze raz połamać i złożyć tak, żeby równo rosły.

- Pewnie, że tak. - Spojrział teraz na Szczęściarę. - A ty jak? Masz coś połamane?

- Cicho tam! - wrzasnął Moby z krzaków. - Próbuję zasnąć.

Nailer ściszył głos.

- Ci twoi ludzie? Pojawią się czy nie?

Szczęściara zawahała się. Powiodła wystraszonym wzrokiem od niego ku Pimie, a potem ku siedzącej nieco dalej Niebieskookiej.

- Pojawią się, pojawią. Niedługo.

Pima spojrziała na nią.

- Tak? Naprawdę? Patelowie? - Przeciągnęła nazwisko. - Naprawdę przyjadą, czy tylko w kółko kłamiesz? Pewnie i teraz na plaży jest ktoś od ciebie, jakiś krwawy kupiec z twojego klanu, o ile faktycznie jesteś z Pateli, ale ty nic się nie odzywasz. O co chodzi?

Znów ten rozbiegany, pełen strachu wzrok. Szczęściara odgarnęła z twarzy czarne włosy i spojrziała wyzywająco na Pimę.

- A co, jak nie przyjadą? - szepnęła gorączkowo. - Co wtedy zrobicie?

Jej głos nabral już odrobiny twardego akcentu Pimy i Nailera. Roześmiałyby się, gdyby ona się tak nie bała. Kłamała. Wiedział w życiu dość kłamców, żeby to poznać. Wszyscy

ciągle go okłamywali. Kłamali, ile przepracowali, ile zrobili przydziału, czy się boją, czy jedzą dobrze, czy głodują. I Szczęściara też kłamała.

- Oni nie przyjadą - stwierdził. - Nikt ciebie nie szuka. Pewnie nawet nie jesteś z Pateli.

Szczęściara obejrzała się nań przerażona. Wróciła wzrokiem do obsesyjnie ostrzącej maczetę Niebieskookiej.

Pima pociągnęła się z namysłem za kolczyki, przekrzywiła głowę.

- To tak, dziewczyno? Nie jesteś nic warta?

Nailer ze zdumieniem stwierdził, że niewiele brakuje, żeby Szczęściara się rozpląkała. Nawet Leserka nie płakała, kiedy gonili ją kopami po plaży, z przeciętymi nożem roboczymi tatuażami, a ta miękka dziewczyna prawie płakała, bo przyłapano ją na kłamstwie.

- Gdzie są ci twoi ludzie? - zapytał.

Zawahała się.

- Na północy. Ponad Zatopionymi Miastami. I ja jestem z Pateli. Ale oni nie wiedzą, gdzie mnie szukać. - Urwała. - W ogóle mnie tu nie powinno być. Parę tygodni temu wyrzuciliśmy wszystkie nadajniki GPS, żeby uciec.

- Przed kim?

Po dłuższej chwili Nita odparła:

- Przed moimi własnymi ludźmi.

Nailer i Pima wymienili zdziwione spojrzenia.

- Mój ojciec ma wrogów we własnej firmie. Kiedy dopadł nas sztorm, właśnie nas gonili. Wszędzie gdzie popłynęliśmy, już na nas czekali. Jak mnie złapią, zrobią ze mnie zakładniczkę.

- Czyli nikt nie przyjdzie cię szukać?

- Nikt, kogo chcielibyście spotkać. - Pokręciła głową. - Kiedy nasz statek się rozbił, goniły nas dwa inne, ale zawróciły przed sztormem.

- To po to wpłynęliście pod sztorm? Uciekaliście?

- Mogliśmy zrobić albo to, albo się poddać. Nie mieliśmy wyboru.

- Czyli nikt po ciebie nie przyjedzie. - Nailer nie mógł się powstrzymać, żeby tego nie powtórzyć, żeby ogarnąć ten nowy fakt. - Cały czas nami manipulowałaś.

- Nie chciałam, żebyście mi poucinali palce.

Pima powoli, z sykiem, wypuściła powietrze.

- Trzeba się było poddać tym, którzy cię ścigali. Ojciec Nailera jest gorszy od wszystkiego, co oni mogliby ci zrobić.

Szcześciara pokręciła głową.

- Nie. Wasi... wasi chociaż mają powód. A ci, co mnie ścigali... - Znów potrząsnęła głową. - Są jeszcze gorsi.

- Rozwaliłaś statek i próbowałaś się utopić, tylko po to, żeby cię nie złapali? - zapytał Nailer. - Zabiłaś całą załogę, żeby uratować wolność?

Przemknęła wzrokiem po nim.

- Oni by... - Pokręciła głową. - Ludzie Pyce'a i tak by wszystkich zabili. Nie chciałby zostawić świadków.

Pima uśmiechnęła się szeroko.

- Cholera, wychodzi na to, że w sumie lalusie i plażowe szczury są takie same. Każdy tylko patrzy, jakby tu mieć jakąś krew na rękach.

- Tak. - Nita poważnie kiwnęła głową. - Dokładnie tacy sami.

Nailer zastanowił się nad sytuacją. Skoro nikt Nity nie wykupi, nie jest niewarta. Bez mocnego poparcia albo sprzymierzeńca jest jak ochłap mięsa. Nikt nawet nie mrugnie, kiedy pójdzie pod nóż Żniwiarzy. Niebieskooka odda ich swojej sekcji i nikt nawet palcem nie kiwnie, żeby ją uratować.

Pima spojrzała Nicie w oczy.

- Takiej laluni będzie tu ciężko przeżyć. Jak ktoś cię nie weźmie pod opiekę, nie przetrwasz. A co ten ktoś miałby na tym zyskać? Niewiele.

- Mogę pracować. Umiem...

- Nic nie możesz, póki ci nie pozwolimy - przerwała ostro Pima. - Tutaj los takiej laluni nikogo nie obejdzie. Nie masz ekipy. Nie masz rodziny. Nie masz swojej ochrony, ani pieniędzy, żeby ludzie cię szanowali. Jesteś gorsza niż Leserka. A ona chociaż znała reguły. Wiedziała, jak się gra.

- To ty naprawdę nie masz żadnej ekipy? - zapytał Nailer. - Nikogo, kto by ci pomógł?

- Mam statki... - Nita zawahała się. - Nasz klan ma statki, a niektórzy z kapitanów są dalej lojalni wobec ojca. Przyplływają do Orleanu po towary z Missisipi. Gdybym się tam dostała, mogłabym was wynagrodzić...

- Dostę tej gadki o nagrodzie, Szcześciaro. - Pima potrząsnęła głową. - Koniec z tym.

- Taa. - Nailer obejrzał się na Niebieskooką, ostrzając nową maczetę. - Może tak byśmy dali sobie spokój z tymi kłamstwami? - Wskazał szramę na dłoni Nity. - Wymieniliśmy krew, a ty dalej nam kłamiesz?

Nita łypnęła nań spode łba.

- Jakbyście nie myśleli, że jestem cenna, poderżnęlibyście mi gardło.

Nailer uśmiechnął się.

- Tego nie wiadomo. I teraz cię mamy żywą, a nie jesteś już warta metra miedzi. -

Zamilkł.

Pima przyglądała się mu.

- Do Orleanu daleko jak cholera - powiedziała. - Aligatory, pantery, pytony. Kupa okazji, żeby zginąć.

Nailer zastanowił się.

- Nie trzeba piechotę.

- Morzem się nie da. Twój stary zorientowałby się, że nie ma skifu, i w sekundę siedziałby ci na plecach.

- Nie myślę o skifie.

Pima wytrzeszczyła oczy.

- Krew i rdza. Nie ma mowy. Pamiętasz Reniego? Pamiętasz, jak potem wyglądał?

Nic z niego nie zostało. Siekane mięso.

- Pijany był. My nie będziemy.

Pima pokręciła głową.

- Szaleństwo. Dopiero co wydobrzył ci bark i znowu chcesz go sobie rozwalić?

- O czym wy mówicie? - zapytała Nita.

Nailer nie odpowiedział jej wprost. Możliwość była. Niewielka, ale była.

- A ty, Szczęściaro? Dobrze biegasz? - Przyjrzał się jej. - Skórę masz miękką, ale są tam jakieś mięśnie pod spódniczką? Biegasz szybko?

- Za miękka jest - powiedziała Pima.

Nita spojrzała na niego wściekle.

- Umiem biegać. Byłam pierwsza na sto metrów u Świętego Andrzeja.

Nailer uśmiechnął się do Pimy.

- No dobra, skoro święty Andrzej mówi że umie, to chyba całkiem szybka będzie, nie? Pima wymamrotała krótką modlitwę do Mojr.

- Lalusie biegają na takich śmiesznych torach, ścigają się sami ze sobą. Nie na śmierć i życie. Tego nie umieją.

- Mówi, że umie biegać. - Nailer wzruszył ramionami. - Niech Mojrę ocenia.

Pima obejrzała się na dziewczynę.

- No to lepiej, żeby to była prawda, bo będziesz mieć tylko jedną szansę.

- Szanse skończyły mi się już dawno. Teraz jest tylko los.

- No właśnie. Witamy w klubie, Szczęściaro. - Pima wyszczerzyła zęby i pokiwała głową. - Witamy, kurna, w klubie.

Rozdział XIV

Biegiem czy nie biegiem, najpierw trzeba było wydostać się z niewoli. Naradzili się szeptem, ustalili plan i stwierdzili, że na razie czekają. Nailer musiał się nieźle namęczyć, żeby nie zasnąć. Mimo że wcześniej przez trzy dni leżał nieprzytomny, teraz z trudem utrzymywał otwarte oczy. Usypiały go szelest wiatru w drzewach i ciepło nocy. Kładł głowę, powtarzając sobie, że będzie czuwał. Zasypiał jednak, budził się i znów zasypiał.

Niebieskooka, czujna i przytomna, zmieniła się z Młotem, który po prostu usiadł i patrzył. Za każdym razem, kiedy Nailer zerkał przez półotwarte powieki, Młot tam siedział i gapił się nań żółtymi psimi oczyma, cierpliwy jak posąg. Wreszcie ustąpił miejsca Mobyemu. Chudy, łysy facet usadowił się wygodnie, półleżąc, oparł się plecami opieniek i zaczął pić. Nie trzeba było dużo czasu, żeby się upił i usnął głęboko, ufny w siłę więzów i głęboki młodzieńczy sen.

Nailer leżał, obudzony, i czekał. Całe szczęście, że go nie skrępowali. Mimo że nie należał do dorosłej ekipy, był synem swego ojca, więc cieszył się pewnym zaufaniem. Miał pewne pole manewru dzięki tej bliskości z ojcem, a także dzięki temu, że pamiętali go jako chorego w gorączce. Nie był dla nich kimś groźnym - ot, chudy dzieciak z lekkiej ekipy, który zdrowieje z choroby. To im sprzyjało.

Problem polegał na tym, że klucze do łańcuchów dziewczyn miała Niebieskooka, a jej bał się jak cholera. Wszyscy, którzy skumali się z Sektą Życia, byli straszni. Nowicjusze ciągle szukali nowych rekrutów. I ciągle pragnęli ofiar.

Gdy tylko Moby zachrapał, Nailer zaczął podkraść się do miejsca, gdzie widział, że kładła się Niebieskooka. Szedł powoli, bardzo powoli, jak każde dziecko, które wcześniej nauczyło się kraść, które dawno wiedziało, że jedyna szansa przeżycia, to poruszanie się cicho i niepostrzeżenie.

Ścisnął w spoconych palcach swój złomiarski nóż. Dłonie miał śliskie ze strachu. Nie było mowy, żeby ją obszukać i znaleźć klucze, nie budząc jej. Nóż wydawał mu się mały i bezużyteczny, jak zabawka. Musi to zrobić, ale nie musi mu się to podobać. Przecież nie czuje się winny. Nie czuł się winny. Niebieskooka robiła gorsze rzeczy i jeszcze gorsze zrobi w przyszłości. Widział, jak torturuje ludzi, którzy nie wyrabiają przydziału albo zalegają ze splatą pożyczek. Widział, jak ucięła dłoń facetowi, który okradał Fuksiarza, a potem patrzyła zimnymi, błękitnymi oczyma, jak się wykrwawia. Kto wie, ile plażowych szczurów naszprycowała narkotykami i zawlokła gdzieś w zakamarki swojej sekty? Była twarda,

groźna, i Nailer nie wątpił, że gdyby ojciec poprosił, zabiłaby i jego, i Pimę, i Szczęściarę, a później spała tak samo dobrze jak przedtem.

Nie czuł się winny.

A mimo to, kiedy podkradał się do niej, serce waliło mu w piersi, a krew dudniła w uszach jak nadbrzeżne bębny. Ojciec załatwiłby się z tym szybko i skutecznie. Richard Lopez dogłębnie rozumiał, co to znaczy zabić albo zostać zabitym, znał te wyliczenia o sumie zerowej, mówiące, że lepiej żyć niż nie żyć, i nie zawahałby się wykorzystać słabości śpiącego przeciwnika.

„Szybko i mocno”, powiedział sobie. „Raz po gardle i załatwione”.

Parę lat temu ojciec kazał mu zabić kozę, żeby nauczyć go posługiwać się nożem, żeby nauczył się jak ostrze tnąć mięśnie i więznie między ścięgna. Pamiętał, jak nachylił się nad nią, biorąc jej dłoń w swoją. Kozka leżała na boku, nogi miała związane, boki falowały jej jak miechy, ostatni oddech gwizdał w nozdrzach. Ojciec poprowadził rękę Nailera, przykładając ostrze do tętnicy kozy.

„Mocno”, powiedział.

Nailer zrobił, co mu kazano.

Rozgarnął paprocie. Niebieskooka leżała przed nim, cicho oddychając. We śnie twarz miała gładką, nieskażoną ogniem brutalności, który płonął w niej na jawie. Usta miała rozchylone. Leżała na brzuchu, z podkulonymi rękoma, skulona, bo noc była stosunkowo chłodna. Nailer odmówił modlitwę do Mojr. Jej gardło nie było tak odsłonięte, jak liczył. Musiał uderzyć szybko. Musiała zginąć natychmiast.

Podkradł się bliżej i zebrał odwagę. Wyciągnął nóż i nachylił się, wstrzymując oddech.

Otworzyła oczy.

Spanikowany Nailer dźgnął ją nożem w szyję, ona jednak poruszała się zbyt szybko. Odtoczyła się, zerwała na nogi. Uniosła maczetę. Nie odezwała się. Nie krzyknęła, nie wrzasnęła ze złości. Jej cień się rozmył. Nailer odskoczył, gdy ostrze przeleciało mu ze świstem przed twarzą. Jeszcze raz się na niego rzuciła. Uniósł nóż, ona jednak nie zasłoniła się maczetą, lecz po prostu podcięła mu nogę. Zwalił się na ziemię. Niebieskooka wylądowała na nim, wyciskając mu powietrze z płuc. Wybiła mu z ręki nóż, palce aż zdrętwiały i zapiekły.

Leżał, dysząc, obezwładniony jej ciężarem. Niebieskooka przycisnęła mu maczetę do gardła.

- Ty dumny dzieciaku - mruknęła.

Nailer oddychał chrapliwie. Cały trząsał się ze strachu. Niebieskooka uśmiechnęła się i uniosła maczetę. Delikatnie dotknęła czubkiem jego prawego oka.

- Jak dorastałam, faceci ciągle się w nocy do mnie podkradali. - Ostrze przesunęło się i musnęło lewe oko. - Taki mały wszarz jak ty nie miał szans. - Wyszczrzyła zęby i przesunęła maczetę z powrotem do prawego oka. - Wybieraj - powiedziała.

Nailer był zbyt przerażony, żeby zrozumieć o co jej chodzi.

- Ccco?

- Wybieraj - powtórzyła. - Prawe czy lewe?

- Mój tato...

- Lopez wziąłby jedno i drugie. - Uśmiechnęła się. - I ja też, jeśli nie wybierzesz. - Ostrze znów musnęło gałki oczne. - Prawe czy lewe?

Nailer zagryzł wargi.

- Lewe.

Niebieskooka wyszczrzyła zęby.

- No to będzie prawe.

Zamachnęła się i pchnęła maczetą w oko.

Jakiś cień zawirował i zderzył się z nią. Maczeta rozminęła się z głową, otarłszy się tylko boleśnie o policzek, ciężar Niebieskookiej zelżał. Przetoczyła się w uścisku niewidocznej osoby. W ciemności rozległy się krzyki. Szczekała stal, było słyhać wrzaski, jęki i stęknienia bijących się ludzi. Wszędzie było ich pełno.

Niebieskooka i jej przeciwnik tarzali się, błyskały kończyny splątane we wściekłych zapasach. Nailer dojrzał w świetle księżyca, kto go uratował: matka Pimy mocowała się z Niebieskooką, usiłującą dosięgnąć maczety. Walnęła ją pięścią w twarz; chrupnęła kość. Niebieskooka cofnęła się i wyrwała z jej uchwytu. Przeturlała się i wstała z maczetą.

- Daruj sobie, Niebieskooka - powiedziała Sadna. - Ta walka ciebie nie dotyczy.

Niebieskooka pokręciła głową.

- Należy mu się. Myślał, że może przelać moją krew. Nie mogę tego darować.

I rzuciła się naprzód, markując wysoki cios maczetą, a naprawdę tnąc nisko. Sadna przeskoczyła omszałą kłodę i zachwiała się. Niebieskooka skoczyła za nią, czekając, aż się odłoni. Ostrze zawirowało. Z rąk Sądny, którymi próbowała się osłonić, trysnęła krew. Krzyknęła, ale się nie cofnęła, uskoczyła tylko spod kolejnego cięcia Niebieskookiej.

Ta zaatakowała jeszcze raz, kontrolnie.

- Uciekaj, Sadna - powiedziała. - Uciekaj. - Krew ciekła jej z nosa od ciosu Sądny, ale nie przejmowała się tym. Kiedy się uśmiechała, zęby miała czarne od krwi.

Nailer zaczął szukać noża. Wszędzie dookoła ludzie stękali i walczyli, splątani - dużo ludzi, zapewne cała ciężka ekipa Sądny. Macał w trawie, wypatrując błysku ostrza.

Sadna schowała się za drzewem jak za tarczą. Niebieskooka okrążyła ją, potem stanęła i uśmiechnęła się.

- A co ja będę cię ganiać - mruknęła. - Chcesz chłopaka żywego czy nie? - Odwróciła się i rzuciła do Nailera.

Odsunął się, ale to wystarczyło, żeby Sadna wychynęła zza drzewa. Niebieskooka przerwała fintę i rzuciła się ku niej, błyskając stalą.

- Nie! - wrzasnął Nailer.

Wydawało się, że czas zwolnił. Maczeta Niebieskookiej sunęła ku gardłu Sądny. Nailer patrzył, przerażony, spodziewając się tryskającej fontanny krwi. Lecz Sądny już tam nie było. Kucnęła i przetoczyła się po ziemi, podcinając Niebieskookiej nogi i przewracając ją.

Znów się potoczyły, splecione ze sobą, wir kończyn i błysk maczety. Nailer zobaczył w trawie nóż, rzucił się w tamtą stronę. Chwycił go w chwili, gdy Niebieskooka przygniotła Sadnę do ziemi, napierając maczetą na jej gardło. Sadna też trzymała maczetę, oburącz, starając się ją powstrzymać. Sapała chrapliwie pod naporem klingi. Niebieskooka napała mocniej.

Nailer zaczął się do niej podkradać. Nóż ślizgał mu się w garści. Oczy Sądny rozszerzyły się, gdy podchodził. Niebieskooka, ostrzeżona, już zaczynała się odwracać.

Skoczył jej na plecy i wbił nóż w szyję. Na rękę trysnęła gorąca krew. Niebieskooka wrzasnęła, kiedy ostrze rozpruwało jej węzlaste mięśnie karku. Tak jak kozę, pomyślał głupio Nailer.

Niebieskooka jednak nie umarła. Przeciwnie, zerwała się, unosząc go na plecach. Usiłował wyciągnąć nóż, żeby dźgnąć ją jeszcze raz, ale ostrze uwięzło. Niebieskooka chciała go dosięgnąć, złapać i ściągnąć z pleców - w końcu pochyliła się raptownie i zrzuciła go z siebie. Trzymał się jej rozpaczliwie, ale walnęła go w głowę trzonkiem maczety. Zobaczył wszystkie gwiazdy i spadł na ziemię.

Niebieskooka stała nad nim, przyciskając dłoń do krwawiącej rany, w której ciągle tkwił nóż. Machnęła jeszcze klingą, niezdarnie; ostrze świsnęło. Powiodła za nim wzrokiem, szatańsko rozpalonym, zdecydowana zabrać go ze sobą do tego życia pośmiertnego, jakie obiecywała jej wiara. Na ustach zabułgotały przekleństwa, a razem z nimi gęsta krew. Jeszcze raz rzuciła się na Nailera.

Usunął się. Aby tylko nie trafić na drzewo ani się nie potknąć. Czemu ona nie

umiera?

Czemu po prostu nie padnie? Ogarnął go zabobonny strach. Może faktycznie jest upiorem, zombiakiem, którego nie da się zabić? Może Sekta Życia coś z nią zrobiła, że stała się nieśmiertelna?

Niebieskooka cięła jeszcze raz, ale robiąc wypad w przód, żeby poprawić, potknęła się i upadła jak długa. Mimo to, wyciągnęła po niego rękę. Nailer stał jak osłupiały. Dotknęła jego stopy, chwyciła za kostkę. W świetle księżyca jej krew, rozlewająca się szeroką kałużą, wydawała się czarna. Wyszarpnął nogę z jej palców. Niebieskooka uniosła wzrok ku niemu. Poruszyła ustami, obiecując śmierć, ale nie wydobyła z siebie żadnych słów.

Sadna odciągnęła go od umierającej.

- No chodź. Idziemy.

Cały był we krwi Niebieskookiej. Powiodła za nim chciwym wzrokiem. Palce jej zadrgały.

Nailer wzdrygnął się.

- Czemu ona nie umiera?

Sadna zerknęła na drgające ciało kobiety.

- Już w zasadzie nie żyje. - Przesunęła po nim dłońmi. - Cały jesteś?

Kiwnął słabo głową. Nie był w stanie oderwać wzroku od Niebieskookiej.

- Czemu ona nie umiera? - szepnął jeszcze raz.

Sadna zacisnęła wargi.

- Niektórzy mają silniejszą wolę życia. Albo nie trafiasz ich tak jak trzeba i zbyt powoli się wykrwawiają. A czasem po prostu nie padają tak, jak byś chciał. - Znow się na nią obejrzała. - Widzisz? Już po niej. Daj sobie spokój.

- Jeszcze nie.

Sadna odwróciła głowę i spojrzała w pociemniałe oczy.

- Pewnie, że tak. Już jej nie ma. A ty jesteś. I dobrze, że się tu znalazłeś, jak byłeś potrzebny. Dobrze się sprawiłeś.

Nailer kiwnął głową. Cały się trząsł od adrenaliny. Uwolniono Pimę i Szczęściarę: podbiegły do siedzących na ziemi Sądny i Nailera.

- Cholera - powiedziała Pima. - Jesteś szybki jak twój ojciec. Nawet z tym chorym ramieniem.

Nailer spojrzał na nią. Drgnął. Zabijał już wcześniej. Kury. Tamtą kozę. Ale to było zupełnie co innego. Zwymiotował. Pima i Szczęściara cofnęły się, spojrzały po sobie.

- Co mu jest? - zapytała Pima.

Sadna pokiwała głową.

- Zabijanie nie jest za darmo. Za każdym razem, kiedy to robisz, coś z ciebie zabiera. Ty zabierasz komuś życie, a ten ktoś tobie kawałeczek duszy. Zawsze coś za coś.

- Nic dziwnego, że z jego ojca taki diabeł.

Sadna rzuciła córce ostre spojrzenie. Pima zamilkła. Wokół kręcili się inni ludzie z ekipy Sądnego, robili porządek po ataku. Okazało się, że Richard rozstawił więcej strażników, niż podejrzewali. Dalej, na perymetrze, w ogóle ich nie widzieli. Zdał sobie sprawę, że mieli więcej szczęścia niż myśleli, gdy przyszła Sadna z ekipą. Sami w życiu by się stąd nie wydostali.

Nagle spomiędzy cieni wyłonił się psi pysk Młota.

- Uwaga! - wrzasnął Nailer.

Sadna podskoczyła, po czym rozluźniła się na widok półczłowieka. Wróciła do Nailera i poklepała go po ramieniu.

- To swój. To on nam powiedział, gdzie mamy was szukać. My już niejedno przeszliśmy, nie, Młot?

Młot podszedł i z twarzą bez wyrazu wpatrzył się w trupa Niebieskookiej. Dłuższą chwilę się nie odzywał. W końcu zwrócił psie oczy na Nailera.

- Dobry cios - powiedział. - Szybki jesteś jak twój ojciec.

- Nie jestem jak mój ojciec.

- Nie taki wyćwiczony. - Młot wzruszył ramionami. - Ale potencjał masz. - Wskazał czarną kałużę wokół Niebieskookiej i uśmiechnął się, ukazując zęby jak igły. - Krew pokazuje. Masz niezły potencjał.

Nailer wzdrygnął się na myśl, że ma się upodabniać do ojca.

- Nie jestem jak on - powtórzył.

Uśmiech Młota zniknął.

- Tak jej znowu nie żałuj - zadudnił. - To ludzka natura, mordować się nawzajem. Ciesz się, że pochodzisz z tak udanej linii zabójców.

- Dajże mu spokój - odezwała się Pima.

- A gdzie Szczęściara? - zapytał Nailer.

- Bogata lala? - Sadna pokazała ręką. - Zeszła na plażę. Są jej ludzie, szukają jej. Godzinę temu przyplłynęła ich cała gromada, cały kliper. - Zerknęła na Młota. - Richard próbował się z nimi spotkać, dobić targu.

- Są jej ludzie? - Zdumiony Nailer obejrzał się na Pimę. - Powiedziała, że nikt nie wie, gdzie jest... - Nie dokończył, zastanawiając się, czy znowu go okłamała.

Nita wpadła z powrotem na polanę.

- To oni!

- Twoi ludzie? - zapytał sceptycznie.

Pokręciła głową, zdyszana.

- Nie, ci, co mnie ścigali. Ludzie Pyce'a. I mają półludzi.

Sadna przypatrzyła się jej.

- Ci na plaży... to twoi wrogowie?

Nita z trudem chwytiała oddech.

- Chcą mnie na... na zakładniczkę przeciwko ojcu.

- No cóż, to wiedzą, że tu jesteś - powiedziała Sadna. - Richard od razu obwieścił, że cię ma, jak tylko zeszedli na brzeg.

Szczęściara zrobiła spanikowaną minę.

- Nie mogę pozwolić, żeby mnie złapali. Muszę się schować.

Sadna i Młot spojrzeli po sobie.

- Jak pójdziesz w dżungłę...

Młot pokręcił głową.

- Lopez będzie wiedział, gdzie jej szukać. A jak jej dostarczysz jedzenie? Kto się za nią wstawi, jak on ją złapie? Lepiej, żeby uciekała.

- Planowaliśmy złapać pociąg ze złomem do Orleanu - wtrącił się Nailer. - Mówi, że tam ma ludzi, którzy ją ochronią.

Sadna zmarszczyła czoło.

- Na załadunek się nie dostaniecie. Nikt tam nie wejdzie, żeby Fuksiarz nie wiedział.

A Fuksiarz jest teraz dobrze dogadany z Richardem.

- Możemy złapać pociąg na zewnątrz, jak już będzie jechał.

- To niebezpieczne.

- Ale bezpieczniejsze niż czekać, aż mój stary dogada się z lalusiami.

Młot się namyślił.

- Da się zrobić. Jeśli są szybcy.

- Ona mówi, że jest.

- Jak nie jest, może zginąć.

- Jeśli zostanie, nic lepszego jej nie spotka.

- A ty, Nailer? Idziesz na takie ryzyko?

Już miał odpowiedzieć, ale się zastanowił. To prawda? Naprawdę chce związać swój los z tą dziewczyną? Pokręcił głową, zirytowany. A jednak fakt: już i tak znalazł się w

konflikcie z ojcem. Nie ma co liczyć na pogodzenie, choćby nie wiadomo jak tego chciał.

Richard Lopez nigdy nie puści płazem obelgi, jaką stanowiło wymordowanie mu całej ekipy.

- Tu też nie jestem bezpieczny. On będzie mnie ścigał ze wszystkich sił. Nie może sobie pozwolić, żeby tak stracić twarz. Za wielu ludzi by się z niego śmiało.

Sadna pokręciła głową.

- Ja nie mogę. Nie mogę zostawić ekipy. Musisz sam.

- Ze mną i z Pimą...

Pima też pokręciła głową.

- Nie. Ja też nie jadę.

- Nie jedziesz?

- Nie zostawię mamy.

- Ale przecież gadaliśmy, że chcemy się stąd wydostać. - Nailer usiłował nie okazać w głosie desperacji. Z jakiegoś powodu założył, że są ekipą i jadą razem.

- Ty gadałeś. Nie ja.

Nailer wytrzeszczył na nią oczy. Nagle wszystko ułożyło się w całość. Pima miała rodzinę. Miała się czego trzymać. Czegoś solidnego. Oczywiście, że nie zaryzykuje ucieczki. Powinien był to widzieć.

- Ale i tak możemy złapać ten pociąg, za dwa dni będziemy w Orleanie. To nie powinno być takie trudne.

Pima uniosła rękę, pokazując usztywnione palce.

- Myślisz? Reni miał dwie ręce do skoku, a i tak zrobiło z niego mielonkę.

Sadna obejrzała się w stronę plaży.

- Dogadamy jakiś rozejm z twoim tatą. Ochronię cię.

- Skoro tak myślisz, to chyba naprawdę go nie znasz. - Nailer pokręcił głową. - Zresztą, ja nie chcę. Chcę stąd wyjechać. Szczęściara mówi, że mnie gdzieś wkręci, jak jej pomogę.

Sadna zerknęła na nią.

- I ty jej wierzysz?

- Ja mówię prawdę... - zaczęła z naciskiem Nita.

Sadna uciszyła ją machnięciem ręki.

- Naprawdę? - Spojrzała na Nailera. - Pewien jesteś, że to się opłaci?

- Pewności to nikt nigdy nie ma - zadudnił Młot.

- Mój ojciec zapłaci - powiedziała Nita. - Da nagrodę...

- Cicho! - warknęła Pima. Odwróciła się do Nailera. - On decyduje. To on ma cię wziąć. To on ponosi ryzyko. - Chwyciła go i odciągnęła na bok. Ściszyła głos. - Pewien jesteś? - Obejrzała się na Nitę. - Ta dziewczyna jest cwana. Za każdym razem, kiedyś coś nam mówi, okazuje się, że to tylko połowa prawdy.

- Ja jej wierzę.

- Nie wierz. Lalusie myślą inaczej niż my. Jakoś cię podejdzie. Pewny jesteś, że to przemyślałeś?

- Nie ma żadnego ryzyka. Dla mnie już nic tu nie ma. Jak zostanę, nie ma mowy, żebym nie spotkał ojca. - Wzruszył ramionami, uwolnił się z jej uchwytu. - On nigdy mi tego nie zapomni. Mówcie co chcecie, ale on nie zapomni. - Spojrzał na Nitę i odezwał się głośno do całej grupy: - Idziemy. Biorę ją.

Wszystkich spłoszyło jakieś nagłe zamieszanie w dole. Pima wspięła się na kamień, wyjrzała spomiędzy liści.

- Chodź tu na górę, Szczęściara - powiedziała.

Nita stanęła obok niej, Nailer też dołączył. Na ciemnej wodzie kotwiczył blady statek, oświetlony niczym w dzień, jaskrawe diodowe plamki omiały wodę, wydobywając z mroku kształty wiosłujących do brzegu łodzi.

- To po mnie - powiedziała Nita.

- Oni też zapłacą nagrodę - rzuciła do Nailera matka Pimy.

- Mamo. - Pima pokręciła głową.

- Jesteśmy ekipą - powiedział z uporem Nailer. - I ja jej nie sprzedam.

Matka Pimy przyjrzała mu się uważnie.

- Uciekniesz, ale Richard Lopez będzie cię ścigał do końca świata. Nigdy nie będziesz mógł wrócić. - Spojrzała w dół. - Jeszcze możesz się dogadać. Zawrzeć jakiś układ, sprzedać dziewczynę tym ludziom na dole i Richard w końcu zapomni. Ty tak nie uważasz, ale za pieniądze łatwo się zapomina. A Moby, Niebieskooka i reszta bandy to nic w porównaniu z kasą, o której tu mowa.

Nita patrzyła przerażona. Jeśli ją sprzeda, będzie bogaty, to jest pewne. Będzie mógł kupić sobie rozejm z ojcem.

Szczęście i spryt. Trzeba mieć jedno i drugie.

Sprytny ruch - oddać Nitę tym ludziom, żeby wytargować pokój, którego inaczej nie wyprosi. Ale na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze. Sprytny ruch - zejść tam na dół, oddać dziewczynę i utargować grubą nagrodę. Walka między nimi to nie jego problem. Spojrzał na Pimę. Wzruszyła ramionami.

- Już ci mówiłam, co ja myślę.

- Krew i rdza - mruknął. - Po prostu nie można jej im oddać. To tak, jakby oddać Pimę mojemu staremu.

- Ale dużo bezpieczniejsze dla ciebie - zauważył Młot.

Nailer pokręcił z uporem głową.

- Nie. Zabieram ją do Orleanu. Wiem, jak się wskakuje do pociągu.

- To nie jest lekka ekipa, która jest do tyłu z przydziałem - powiedział Młot. - Tu nie masz drugiej szansy. Raz robisz błąd i nie żyjesz.

- Skakałeś kiedy do pociągu? - zapytała Sadna.

- Reni mi mówił, jak to się robi.

- A potem go przejechało.

- Wszyscy giniemy - zadudnił Młot. - Tylko rodzaj śmierci można sobie wybrać.

- Jadę - powiedział Nailer. Spojrzał na Nitę. - Jedziemy. Coś w sposobie, w jaki wypowiedział te słowa, sprawiło, że tym razem się nie sprzeciwili. Nikt nie zaprotestował. Przyjęli to, kiwnęli głowami, a Nailer nagle poczuł, że podjął złą decyzję. Uświadomił sobie, że trochę chciał, żeby go od tego odwiekli. Znaleźli jakiś sposób, by go przekonać, żeby nie uciekał.

- To lepiej już lećcie - zadudnił Młot. - Zaraz przyjdzie Richard, żeby sprzedawać dziewczynę.

- Powodzenia - rzuciła matka Pimy. Pogrzebała w kieszeni i wcisnęła Nailerowi garść pstrokatych, lnianych chińskich banknotów. - Biegnij szybko. I nie wracaj.

Nailer wziął pieniądze, zdziwiony sumą. Nagle poczuł się samotny.

- Dzięki.

Pima wróciła do obozu z małym zawiniątkiem, które należało do Niebieskookiej. Podała je Nailerowi.

- Twoja zdobycz.

Nailer wziął je, czując, jak w środku chlupie woda. Zerknął na Nitę.

- Gotowa?

Nita kiwnęła gorliwie głową.

- Chodźmy stąd.

- Otóż to. - Wskazał w głąb dżungli. - Tory są tam. Gdy ruszyli przecinką, Młot zawołał za nimi:

- Czekaście!

Nailer i Nita odwrócili się. Młot zmierzył ich żółtymi oczyma mordercy.

- Ja chyba też pójdę.

Nailer wzdrygnął się ze strachu.

- Damy radę - odparł dokładnie w tym samym momencie, w którym matka Pimy uśmiechnęła się promiennie i powiedziała:

- Dziękuję ci.

Młot uśmiechnął się nieznacznie, widząc wahanie Nailera. - Nie odrzucaj pochopnie pomocy, chłopcze.

Nailer miał tuzin ripost, ale wszystkie wynikały z jego nieufności co do motywów półczłowieka. Przerazała go ta istota, mimo że matka Pimy mu ufała. On - nie. Bał się dopuścić, żeby ktoś tak bliski jego ojcu i Fuksiarzowi pojechał z nimi.

- A co tak nagle? - zapytała podejrzliwie Nita. - Co ty kombinujesz?

Młot zerknął na Sadnę, potem wskazał brodą plażę.

- Kapitanowie tych statków mają swoich półludzi. Będą zadawać pytania, skąd ja się tu wziąłem. Nikomu nic dobrego z tego nie przyjdzie.

- Damy radę sami - odparł Nailer.

- O, na pewno - stwierdził Młot. - Ale może przyda wam się moja mądrość. - Błysnął na moment ostrymi zębami.

- Cieszcie się, że chce pomóc - powiedziała Sadna. Odwróciła się do Młota i ścisnęła obiema dłońmi jego wielkie łapsko. - Jestem twoją dłużniczką.

- Nie ma za co. - Młot uśmiechnął się, znów pokazując ostre zęby. - Zabijać tu czy tam, co za różnica.

Rozdział XV

Kiedy nadjechał pociąg, zatrzęsła się ziemia. Siedzieli schowani w paprociach. Lokomotywa nadjechała z rykiem i tylko mignęła. Nailer przełknął ślinę, widząc pędzącą maszynę. Wiatr siekł go po twarzy i szarpał liśćmi drzew i paproci. Wydawało mu się, że pociąg wciąga go pod rozpędzone, ogromne, sięgające mu do piersi koła. Zapraszały, żeby się pod nie rzucić, dać posiekać na kawałki i zostać, we krwi, na torach. Poczuł narastający lęk: dotarło do niego, że czymś innym jest fantazjowanie sobie na luzie o skakaniu do pociągu, a zupełnie czymś innym patrzenie na turkoczące wagony towarowe.

Wystarczyło w każdym razie, żeby zaczął się zastanawiać nad innymi opcjami. Nad szansą kradzieży skifu, pożeglowaniem wzdłuż wybrzeża, albo przejściem przez dżunglę i bagna... Tyle że ich zapasy by na to nie pozwoliły. A gdyby popłynęli wodą, ten cumujący w zatoce kliper z łatwością by ich dogonił. Nie, nie było innej opcji. Trzeba było biec, i to już.

Wagony pędziły, aż się zamazywały. Z daleka wyglądały na o wiele wolniejsze. Teraz, z bliska, wydawały się potwornie szybkie. Czy on przyśpieszał? Kiedy Reni wskakiwał do pociągu, zawsze wydawało się, że jedzie wolniej, że jest łatwiej. Nailer wiedział, że zależnie od tego, jak agresywny jest maszynista, pociąg może jechać nawet tak szybko, żeby w ogóle nie dało się do niego wskoczyć. Tak właśnie zginął w końcu Reni: źle ocenił szybkość przy skoku. Był także pijany i głupi, ale przede wszystkim masa udanych skoków uśpiła jego czujność.

Nailer, Nita i Młot wyszli pomiędzy pnączy i wdrapali się na nasyp, pod tory. Smagał ich pęd powietrza. Łomot jadących wagonów był głośny jak wycie niszczyciela miast. Nailer obejrzał się na towarzyszy. Nita wytrzeszczała oczy ze strachu. Młot patrzył beznamiętnie, a może i z pogardą. Dla półczłowieka to jak splunąć. Nailer stwierdził, że żałuje, że Młot nie jest aż tak wielki, by móc po prostu wziąć ich na ręce i skoczyć razem z nimi.

Dosyć tych mrzonek. Pośpiesz się i skacz.

Kończył im się czas. Zaraz będzie koniec pociągu. Trzeba się postarać. Całkiem jakby znowu być w tej komorze z ropą i wiedzieć, że jedyny ratunek to zanurkować, i to głęboko. Wtedy jednak wiedział, że nie ma innego wyjścia. Tym razem cały czas go szukał. „Leć”, powiedział sobie. Ale stopy pozostały wbite w ziemię.

Reni ciągle wskakiwał do pociągów. I przechwalał się tym. Nailer, z bijącym sercem, spróbował sobie przypomnieć wszystko, co od niego usłyszał. Wziął Nitę za ramię i krzyknął

jej do ucha:

- Biegiesz obok wagonu, pozwalasz, żeby cię dogonił, łapiasz drabinkę i nie puszczasz choćby nie wiem co! - Wskazał na koła. - Jak spadniesz, lecisz pod koła, więc nie puszczaj się, choćby nie wiem jak bolało! Nie puszczaj się! - Zrobił przerwę. - I od razu podciągaj nogi do góry.

Jeszcze raz kiwnęła głową. Wziął głęboki wdech, zbierając się na odwagę.

Nagle Nita ruszyła biegiem.

Nailer gapił się zdumiony, gdy tak biegła obok pociągu. Wydawała się żałośnie mała na de rozpedzonych kół i sunących nad nimi drabinek na burtach wagonów. Obok niej śmignęła jedna. Kolejna. Nawet na nie nie patrzyła. Po prostu pędziła obok, czarne włosy spięte w kucyk podskakiwały za nią.

Minęła ją jedna drabinka, dwie, trzy. Przy czwartej skoczyła. Dłonie chwyciły się poprzeczek, pociągnęło ją naprzód. Oderwane od ziemi nogi poszybowały w powietrze. Stopy opadły i znów poleciały, odbiwszy się od ziemi. Wyglądała jak wleczona za wagonem szmaciana lalka. Zaraz ją wciągnie pod koła. Nailer czekał, myśląc, że zaraz zobaczy, jak pociąg ją masakruje, ona jednak podwinęła nogi i nagle znalazła się na górze, wspinała się po burcie wagonu. Zahaczyła się ramieniem o drabinkę i obejrzała. Już się oddalała, unoszona przez pędzący pociąg.

- Pociąg się kończy - zauważył Młot.

Nailer kiwnął głową. Znowu wziął głęboki wdech i zaczął biec. Prawie od razu zrozumiał, dlaczego Nita się nie oglądała. Grunt obok torów był nierówny, choć z daleka wydawał się gładki. Tam, gdzie wskakiwał Reni, zawsze było równiej niż tutaj. Żeby nie upaść, trzeba było patrzeć przed siebie.

Łoskot wagonów za plecami ogłuszał. Przejeżdżały, rozmazywały się. Cały czas wyobrażał sobie, że się przewraca i pada pod koła, miażdżony przez pociąg. Biegł najszybciej, jak mógł, na tym nierównym terenie, a mimo to, drabinki ciągle go wyprzedzały.

Jak, kurna, ona to zrobiła? Jak ona...? Obejrzał się za siebie, chcąc widzieć wyprzedzające go wagony. Pęd i huk aż oszalałami. Potknął się i omal nie wpadł pod koła. Pozbierał się i zmusił do patrzenia prosto przed siebie. Przyśpieszył. Zaczął wyliczać rytm mijających go drabinek. „Raz, dwa”. Potem „trzy” na mijający go środek wagonu i znów do dwóch. Pomodlił się do Perełkowego Ganesi i do Mojr. „Raz, dwa, przerwa. Raz, dwa, trzy. Raz, dwa...”.

Mignęła pierwsza drabinka. Rzucił się do następnej. Odbiła mu rękę i odepchnęła go, okręciła. Nogi mu się zaplątały. Upadł, potoczył się po żwirze, między chwasty, zatrzymał.

Wagony miały go z hukiem, gdy leżał, poobijany i oszołomiony. Krew ciekła z podrapanych kolan i odrętwiałych dłoni. Bark był jedną plamą bólu.

Mignął Młot, zręcznie uczepony drabinki. Odjeżdżając, półczłowiek popatrzył na Nailera, żółtymi, obojętnymi na jego klęskę oczyma.

Pozbierał się z ziemi. Nity już prawie nie było widać. Zaczął biec. Koniec pociągu już się zbliżał. Nogę miał posiniaczoną od upadku i, biegnąc, utykał. Ramię bolało, jakby jeszcze raz je zranił. Utykając, nie był w stanie się odpowiednio rozpędzić. Migały drabinki. Wczuł się. w ich rytm. Obejrzał się. Koniec pociągu był tuż-tuż.

Teraz albo nigdy.

Przyśpieszył rozpaczliwie i rzucił się do ostatniej drabinki. Zamiast łapać za szczebel, chwycił oburącz pionową belkę. Ramiona eksplodowały bólem, gdy wagon go pociągnął. Stopy obijały się o kamienie - jaskrawe, bolesne, błyski - ale po chwili podciągnął je i zwinął się, zwisając nisko z drabinki.

Ziemia rozmazała mu się pod stopami. Wiatr targał ubranie, dusił go pędem i gorącem. Zaczął szukać lepszego uchwytu, wymacał szczebel i z trudem podciągnął się wyżej, dalej od pędzących kamieni w dół. Jeszcze jeden i już był na górze, wspinał się, szarpany wiatrem, pomiędzy pędzącymi w tył szmaragdowymi drzewami dżungli. Ramiona mu dygotały, całe ciało kipiało adrenaliną. Nogi się uginały. Ale wspinał się i tak, coraz wyżej, aż wystawił głowę ponad dach wagonu i był w stanie spojrzeć wzdłuż pociągu.

Stopy miał poobijane i poobcierane, z kolana ciekła krew, dłonie miał obtarte, ale był bezpieczny i żywy. Z przodu, z daleka, patrzyli na niego Nita i Młot. Nita zamachała. Odmachnął jej ze zmęczeniem, potem wczepił się ręką w drabinkę i pozwolił ciału się trząść. Później będzie trzeba przejść po pociągu i dołączyć do nich, na razie jednak pragnął tylko odpocząć, nacieszyć się tym, że po raz pierwszy od wielu dni, uczepony pędzącego wagonu, czuje się absurdalnie bezpieczny. Obejrzał się do tyłu. Gęsta dżungla połykała dwie szyny toru kolejowego. Każda minuta jazdy pociągiem uwoziła go dalej od przeszłości.

Musiał się uśmiechnąć. Wszystko go bolało, ale żył, a ojciec był daleko i wszystko, co go jeszcze czekało, było lepsze od tego, co zostało w tyle. Po raz pierwszy w życiu ojciec mu nie zagrażał.

Myśl o bezpieczeństwie skojarzyła mu się z Pimą i jej matką. Zostały tam, będą dalej pracować w ekipach i będą musiały zmierzyć się z zemstą, jaka przyjdzie ojcu do głowy. Martwił się tym. W gorączce ucieczki nie był w stanie się przejąć tymi konsekwencjami - tak desperacko pragnął uciec, że nie myślał o niczym innym, teraz jednak myśli uporczywie wracały do Sądny i Pimy, jakby były wzbudzającymi poczucie winy duchami czy demonami.

Obejrawszy się za siebie, wolną ręką dotknął czoła w intencji Mojr i pomodlił się, żeby nic się im nie stało. Żeby udało im się obronić przed Richardem, żeby Richard uwierzył, że Młot zdradził go dla nagrody, i że to nie Pima z matką wykradły mu z dłoni największego fuksa świata. Pomodlił się za ludzi, których zostawił, i znów odwrócił się twarzą naprzód, wystawiając ją do wiatru. Otworzył usta, napawał się upałem, pędem i zapachami dżungli.

Między drzewami mignął jasny i błękitny ocean. Pociąg znów zjeżdżał w stronę brzegu. W oddali dostrzegł zacumowany kliper o lśniących w słońcu żaglach, jak biała mewa, która przysiadła na lustrzanej tafli morza. Uśmiechnął się do tego widoku i na myśl o wszystkich tych lalusiach, którzy będą ich szukać w dżungli i nigdy nie przyjdzie im do głowy, że zwierzyna ich przechytrzyła.

Statek i ocean zniknęły, ponownie przesłonięte rozmazaną szmaragdową gęstwiną drzew i pnączy. Nailer odwrócił się i spojrzał wzdłuż pociągu, patrząc tam, gdzie miały niebawem pojawić się wieżowce zatopionego Orleanu.

Rozdział XVI

Sprytna ucieczka miała jeden feler: nie została zaplanowana.

Śpieszyli się tak, że wzięli niewiele zapasów, a jazda pomiędzy wagonami oznaczała, że nie da się zdobyć żadnego jedzenia. Nailer po paru godzinach umierał z głodu, tęsknie wspominając wczorajszą kolację.

Wydawałoby się, że kiedy siedzi się nieruchomo, prawie nie trzeba jeść. W końcu to nie praca w lekkiej ekipie. Jego ciało było jednak tak wycieńczone brakiem pożywienia przez cały okres gorączki, że teraz żołądek przyrastał mu do kręgosłupa. Nie dało się jednak nic z tym zrobić, zaciskał więc zęby, słuchał burczenia w brzuchu i obiecywał sobie, że jak tylko dotrą do zatopionego miasta, zdobędzie coś i zrobi sobie ucztę.

Pociąg, oprócz drabinek do wchodzenia na dachy wagonów, miał maleńkie podesty dla obsługi pomiędzy wagonami, ale były to zaledwie stalowe płyty półmetrowej szerokości, pozwalające na stanie i pracę, lecz potwornie niewygodne przy jeździe przez długie godziny. Na samym początku Młot przeszedł się wzdłuż pociągu, wypatrując otwartych furt, nie udało mu się jednak włamać do żadnej z pozamykanych ładowni, musieli więc kulić się pomiędzy wagonami, pomiędzy pędzącą w dole rozmazaną ziemią a siekącym ze wszystkich stron wiatrem. Strasznie tam było, ale i tak lepiej niż na gorących, pozbawionych osłony przed słońcem dachach.

Sen nad samymi kołami był prawie niemożliwy. Powciskali się między drabinki, poprzysiadali niebezpiecznie nad pędzącą ziemią i drzemali, kiwając się na zmianę, a sen ten przerywały nagle szarpnięcia przyspieszającego lub hamującego pociągu. Każde hamowanie i przyspieszenie objawiało się serią szarpnięć, grożących zrzuceniem pasażerów z wąskiej grzędy. Po tym, jak Nailer i Nita omal nie zlecieli w lukę między wagonami, jechali z ramionami wplecionymi w szczeble drabinek. Innym razem, gdy pociąg raptownie zwolnił, Młot omal ich nie zmiądzzył, zwalając się na nich całym ciałem i przygniatając do blachy. Nailerowi aż zadzwoniło w głowie.

Wszystkie te niewygody były jednak niczym wobec braku wody. Parę butelek, które mieli ze sobą, szybko wypili i już drugiego dnia wyschli w upale na wióry. Nie mieli nic do roboty, tylko patrzeć na pędzący krajobraz i liczyć, że pociąg niebawem dojedzie do celu. Czasem obok torów przepływały ogromne jeziora. Rozważali wtedy, czy nie skoczyć z pociągu do chłodnej, gościnnej wody, Młot jednak kręcił głową i mówił, że przy takiej szybkości w życiu nie złapią kolejnego pociągu, więc, jeśli nie chcą wędrować na piechotę

przez wiele dni, muszą to jakoś przecierpieć.

Nailerowi nie spodobało się to, choć wcale nie miał ochoty raz jeszcze skakać do pociągu i wiedział, że wielki stwór ma rację. Zabijali więc czas rozmową, patrząc na mijane krajobrazy.

- A ci ludzie, co cię ścigają, to kto? - zapytał Nite. - Czemu jesteś taka ważna?

- To Nathaniel Pyce. Wuj, wzenił się w rodzinę dla interesów. - Zawahała się i dodała:

- On i jego ludzie chcą mnie, żeby mieć przełożenie na ojca.

Nailer zmarszczył brwi, nie rozumiejąc. Nita dostrzegła to.

- Ojciec dowiedział się o pewnym jego biznesie. Pyce nadużywał zasobów firmy. Jak będzie mnie miał, przekona ojca, żeby nie robił mu kłopotów. Najlepszy sposób, żeby wyrzucić na niego presję.

- Presję?

- Pyce chce, żeby ojciec zgodził się na coś, co jest wbrew niemu. Jak mnie schwyta, ojciec nie będzie miał wyjścia. Pyce zarobi miliardy, i to nie dolarów. Chińskich czerwonych. Miliardy. - Świdrowała go spojrzeniem czarnych oczu. - To więcej, niż wasze stocznie rozbiórkowe zarobią przez całe swoje życie. To dość, żeby zbudować tysiąc kliprów.

- A twój ojciec jest przeciwny?

- Chodzi o poszukiwanie i eksploatację piasków bitumicznych. Można z nich pozyskiwać paliwo, namiastkę ropy. Ich cena bardzo wzrosła, z uwagi na limity produkcji dwutlenku węgla. Pyce rafinował takie piaski na naszych północnych ziemiach i potajemnie wywoził je naszymi kliprami, przez biegun do Chin.

- Mnie to wygląda na wielkiego fuksa - stwierdził Nailer. - Coś jak wpaść do zbiornika z ropą i już mieć na nią ugadanego kupca. Twój ojciec nie powinien po prostu wziąć działki i na wszystko temu Pyce'owi pozwolić?

Nita spojrzała nań wstrząśnięta. Rozdziawiła usta. Zamknęła je z powrotem i znów otworzyła. Zamknęła, wyraźnie zdeorientowana.

- To czarnorynkowe paliwo - zagrzemiał Młot. - Konwencja zabrania, a może i prawo też. Jedyne, która może być bardziej zyskowna, to szmuglowanie półludzi, tylko że to jest oczywiście legalne. Ale to nie wszystko. Prawda, Szczęściaro?

Nita niechętnie kiwnęła głową.

- Pyce unika podatku węglowego, bo pracuje na terenach spornych, na Arktyce. Potem eksportuje do Chin, gdzie łatwo wszystko sprzedać bez śladu. Ryzykowne i nielegalne, i mój ojciec się o tym dowiedział. Miał wyrzucić Pyce'a z rodziny, ale Pyce

pierwszy zrobił ruch.

- Miliardy w czerwonych chinolach - powiedział Nailer. - To naprawdę tyle warte?

Kiwnęła głową.

- To twój ojciec jest stuknięty. Powinien zrobić ten interes.

Nita popatrzyła na niego z oburzeniem.

- Co, za mało jeszcze mamy zatopionych miast? Ludzi ginących od suszy? Moja firma to czysta firma. To, że istnieje jakiś rynek, nie znaczy, że musimy się na niego rzucić.

Nailer się zaśmiał.

- Co, ty mi mówisz, że wasi krwawi kupcy mają czyste sumienie? Że produkowanie jakiegoś tam paliwa to co innego niż kupowanie naszej krwi i rdzy z tych wraków?

- Pewnie, że tak!

- Wszystko sprowadza się do pieniędzy. I jesteś warta o wiele więcej niż myślałem. - Popatrzył na nią z namysłem. - Całe szczęście, że wcześniej mi nie powiedziałaś, zanim z ojcem spaliliśmy twój statek. - Pokręcił głową. - Wtedy może jednak pozwoliłbym mu cię sprzedać. Wujaszek Pyce zapłaciłby kupę kasy.

Nita uśmiechnęła się niepewnie.

- Poważnie mówisz?

Nailer nie do końca był pewien, co czuje.

- To kupa pieniędzy. Wydaje się wam, że jesteście tacy moralni, tylko dlatego, że nie potrzebujecie ich tak bardzo, jak zwykli ludzie. - Stłumił desperację nad decyzją, która już zapadła i nie dawało się jej cofnąć.

„Chcesz stać się taki jak Leserka?” - zapytał sam siebie. „Zrobić wszystko, żeby tylko trochę więcej zarobić?”.

Leserka była idiotką i zdrajczynią, Nailer jednak nie mógł się powstrzymać od myśli, że Mojry podały mu na tacy największego fuksa na świecie, a on go odrzucił.

- Skoro jesteś taka drogocenna, jak to się stało, że znalazłaś się w tym sztormie?

- Ojciec kazał mnie wywieźć na południe, żebym była daleko od jakichś ewentualnych rozruchów. Nikt nie miał wiedzieć, gdzie jestem. - Zamyśliła się. - Nie wiedzieliśmy, że za nami płyną. Nie podejrzewaliśmy... - poprawiła się. - Kapitan Arensman powiedział, że trzeba uciekać. Wiedział. Nie wiem skąd. Może był jednym z nich, tylko zmienił stronę? Może Mojry coś mu podpowiedziały? - Pokręciła głową. - Nie mam pojęcia. Już nigdy się nie dowiem. Nie wierzyłam mu, więc zwlekałam. Cała załoga zginęła, bo nie wierzyłam, że coś nam grozi. - Twarz jej stężała. - Ledwo wypłynęliśmy z portu, od razu nas dopadli, ścigali nas dzień i noc. Kiedy przyszedł sztorm, nie mieliśmy wyboru. Albo płynąć,

albo się poddać. Kapitan Arensman kazał mi zdecydować.

- Nie mogliście się dogadać? - zapytał Nailer.

- Nie z Pyce'em. Ten człowiek nie negocjuje, kiedy wie, że już wygrał. Dlatego kazałam Arensmanowi płynąć pod sztorm. Nie wiem, czemu się zgodził. Fale i tak już były wielkie. - Zrobiła gest dłońmi. - Przelewały się przez pokład, aż nie dawało się po nim chodzić, nie było żadnego konkretnego wiatru, tylko ten sztorm, wyjący ze wszystkich stron i rozdzierający nas na kawałki. Byłam pewna, że zginę, ale gdybym poddała się Pyce'owi, czekałoby mnie to samo. - Wzruszyła ramionami. - Dlatego wpłynęliśmy pod sztorm, w te wielkie fale, trzasnęły nam żagle, straciliśmy maszty, woda wlała się przez okna. - Zrobiła chrapliwy wdech. - Ale ludzie Pyce'a zawrócili.

- Zaryzykowałaś wszystko - zadudnił Młot.

- Jestem jak bierka w szachach. Pionek - powiedziała. - Można mnie poświęcić, ale nie oddaje się za darmo. Oddać pionka, to byłby koniec gry. Muszę uciec, albo umrzeć, bo jak mnie przejmą, będą mieli ojca w garści i zmuszą go do strasznych rzeczy.

- Skoro twój ojciec poświęciłby się dla ciebie - zauważył Młot - to może on wie lepiej.

- Nic byś z tego nie zrozumiał.

- Ale zrozumiałem, że poświęciłaś w sztormie całą załogę.

Nita łypnęła na niego, potem odwróciła wzrok.

- Gdyby była inna możliwość, to bym ją wybrała.

- Lojalnych ludzi macie.

- Nie to, co ty - rzuciła, nieoczekiwanie jadownicie.

Młot zamrugał.

- Wolałabyś, żebym był dobrym psiogłowym? Może żebym był lojalny wobec ojca Nailera, co? - Zamrugał jeszcze raz. - Żebym był grzecznym zwierzęciem, tak jak ci na tych waszych kliprach? - Uśmiechnął się, odsłaniając ostre zęby. - Richard Lopez myślał, że za twoją czystą krew, czyste oczy i mocne serce dostanie od Żniwiarzy znakomitą cenę. Wolałabyś, żebym był wobec tego lojalny?

Nita rzuciła mu groźne spojrzenie, ale knykcie zaciśniętych pięści miała białe.

- Nie próbuj mnie straszyć.

- Nie musiałbym się specjalnie napinać, żeby przestraszyć rozpuszczonego, bogatego bachora.

Nailer przerwał im:

- Dosyć, jedno i drugie. - Dotknął ramienia Młota. - Cieszę się, że z nami pojechałeś.

Jesteśmy ci wdzięczni.

- To nie dla waszej wdzięczności - odparł Młot. - To dla Sądney. - Zerknął na Nitę. - Ta kobieta jest warta dziesięć razy tyle, co twój bogaty ojciec. Tysiąc razy tyle, co ty, obojętne, co tam sobie głupio myślą twoi wrogowie.

- Ty mi o wartości nie mów - powiedziała Nita. - Mój ojciec dowodzi całymi flotami.

- Bogaci wszystko mierzą wagą swoich pieniędzy. - Młot nachylił się ku niej. - Sadna kiedyś zaryzykowała swoje życie i reszty swojej ekipy, żeby uratować mnie z pożaru, jak się zapaliła ropa. Nie musiała tam wracać i nie musiała pomagać innym podnosić żelaznej belki, a sam nie dałem rady jej podnieść. Reszta jej odradzała. Bo ja tam lekkomyślnie polazłem. No i poza tym, byłem tylko półczłowiekiem. - Młot przyjrzał się Nicie z namysłem. - Twój ojciec dowodzi całymi flotami. I na pewno ma tam tysiące półludzi. Ale zaryzykowałby życie, żeby uratować jednego?

Nita spojrzała nań spode łba, ale nie odpowiedziała. Cisza napięła się między nimi. W końcu wszyscy spróbowali usnąć - na ile się dało na rzucającym i skrzypiącym pociągu.

Wielkie, zatopione miasto, Nowy Orlean, nie pojawiło się całe od razu, lecz partiami: zawalone szopy poprzerastane cyprysami i figowcami. Kruszące się, pozapadane w osuwiska mury z betonu i cegły. Zarośnięte kudzu skupiska starych, porzuconych budynków, czające się w cieniu bagiennych drzew.

Pociąg wzniósł się w powietrze, wjechał na estakadę nad bagnem. Mijali chłodne, zielone stawy pełne glonów i lilii wodnych, błyskające bielą czaple, roje much i komarów. Ciąg wiaduktów kolejowych był wzmocniony i odporny na sztormy, niszczyciele miast, zwalające się na wybrzeże z niesamowitą regularnością - a jednocześnie stanowił jedyne świadectwo, że zarośnięte dżunglą mokradła udawało się nadal zamieszkiwać jakimś ludziami.

Przejechali ponad omszałymi, zawalonymi budowlami wymarłego miasta. Cały zalany wodą świat optymizmu, zniszczony cierpliwą pracą zmieniającej się przyrody. Nailer zastanawiał się, jacy ludzie mieszkali w tych walących się budynkach. I dokąd poszli. Budowle były ogromne, większe od wszystkiego, co widział w swojej karierze złomiarza. Co porządniejsze były zrobione ze szkła oraz betonu, a i tak umarły tak samo jak te gorsze - które po prostu zapadły się, pozostawiając góry zbutwiałych belek i desek, powyginanych, zapleśniałych i obwisłych.

- To jest to? - zapytał. - To jest Orlean?

Nita pokręciła głową.

- To tylko miasteczka wokół miasta. Przedmieścia fabryczne. Jest ich masa i ciągną

się kilometrami. Z czasów, kiedy wszyscy mieli samochody.

- Wszyscy? - Nailer zastanowił się nad tą teorią. Była nieprawdopodobna. Jak to możliwe, żeby tylu ludzi było tak bogatych? Taki sam nonsens, jakby wszyscy mieli klipry. - Jak to możliwe? Przecież nie ma dróg.

- Są. - Pokazała. - Popatrz tam.

I rzeczywiście: uważnie wpatrując się w dżungłę, był w stanie dostrzec niegdysiejsze szerokie bulwary. Drzewa przerosły im środkowy pas i poprzebijały asfalt. Teraz przypominały raczej płaskie, zadławione przez mchy i paprocie ścieżki. Trzeba było sobie po prostu wyobrazić środkowy pas pozbawiony drzew.

- A skąd brali paliwo? - zapytał.

- Zewsząd. - Nita się zaśmiała. - Z drugiego końca świata. Z dna morza. - Objęła gestem zatopione ruiny i skrawek oceanu. - Tutaj, w zatoce, też się wierciło. Porozkopywali wszystkie te wyspy. Dlatego niszczyciele miast są takie groźne. Kiedyś była taka ochronna bariera z wysp, ale zostały rozkopane dla ropy.

- Taa? - Nailer podważył jej słowa. - A skąd ty wiesz?

Nita znów się zaśmiała.

- Gdybyś chodził do szkoły, też byś wiedział. Orleańskie niszczyciele miast są słynne na cały świat. Każdy głupi o nich wie... To znaczy...

Nailer miał ochotę walnąć ją w tę zadowoloną buźkę.

Młot zaśmiał się basowo, rozbawiony.

Czasem Nita wydawała się w porządku. Innym razem była tylko lalunią. Zarozumiałą, bogatą i miękką. Właśnie w takich chwilach Nailer myślał, że na plaży Bright Sands mogłaby się tego i owego nauczyć, że nawet Leserka, z całą swoją pazernością i zdradliwością, była lepsza niż tak bogata lalunia, która nawet przemieszkawszy z nimi jakiś czas, wciąż była ładna, jakby te wszystkie trudy, brudy i bóle życia jakimś sposobem nie mogły jej dotknąć.

- Przepraszam - powiedziała Nita Nailer zbył ją jednak wzruszeniem ramion. Jasne było, co o nim myślała.

Jechali w milczeniu. Wśród dżungli mignęła jakaś wioska, wykarczowana między drzewami, skryta w cieniu polana, mała rybacka osada pośród bagien, pełna takich samych chylących się bud, jak te stawiane przez pobratymców Nailera, ze świniami w zagrodach i warzywniakami. Jemu skojarzyła się z domem. Ciekawe, co widziała Nita.

W końcu dżungla się rozproszyła, ukazując szeroką równinę, gdzie drzewa stały się niższe i z wysokości pociągu daleko sięgało się wzrokiem. Nawet z tej odległości miasto było ogromne: szeregi strzelających w niebo igieł.

- Orlean Dwa - powiedział Młot.

Rozdział XVII

Nailer wyciągał szyję, żeby ponad wierzchołkami drzew dostrzec zrujnowaną metropolię.

- Niezły tam musi być złom - powiedział.

Nita pokręciła głową.

- Trzeba by wyburzać wieżowce. Musiałbyś mieć różne materiały wybuchowe. Nie opłaca się.

- Zależy, ile da się wyciągnąć miedzi i żelaza - powiedział Nailer. - Wpuścić najpierw do budynku lekką ekipę, niech się rozejrzy, co jest do wzięcia.

- Musiałbyś pracować na środku jeziora.

- No i co? Jak wy, lalusie, zostawiliście po sobie tyle czegoś, to to musi być sporo warte. - Denerwowało go, że ciągle się zachowuje, jakby zjadła wszystkie rozumy. Wpatrzył się w wieżowce. - Chociaż, założę się, że wszystko, co dobre, dawno jest wyniesione. Za cenne było, żeby tak sobie leżało.

- Ale i tak - Młot wskazał ogromną ilość pozarastanych roślinnością budynków - masa złomu, jakby tylko się zorganizować.

Nita znów się sprzeciwiła:

- Musielibyście walczyć z miejscowymi o prawa do łupów. O każdy cal. Gdyby nie rozejmy i nie milicja portowa, byłyby spory nawet o strefę przeładunkową. - Skrzywiła się. - Z tymi ludźmi nie da się dogadać. To dzikusy.

- Dzikusy jak Nailer? - zadrwił Młot. I znów jego żółte oczy zaiskrzyły humorem, gdy Nita zaczerwieniła się i odwróciła twarz, odgarniając za ucho czarne włosy i udając, że podziwiała przesuwający się horyzont.

Wszystko jedno, co myślała o tutejszych znaleziskach, wszędzie walało się pełno niczyjzego metalu - a to, jeśli Nailer dobrze rozumiał, był dopiero Orlean II. Był jeszcze pierwszy Nowy Orlean, a potem Metropolia Missisipi, zwana MissMet, którą pierwotnie planowano nazwać Orleanem III, lecz w końcu nawet najzagorzalsi zwolennicy zatopionego miasta ustąpili przed ewidentnym pechem, jakiego przynosiła nazwa „Orlean”.

Niektórzy konstruktorzy twierdzili, że udałoby się wybudować odporne na huragany wieżowce nad zatoką Pontchartrain¹, kupcy i handlowcy mieli jednak dość ujścia rzeki i

¹ Obecnie jest to jezioro leżące na północ od Nowego Orleanu (przyp. tłum.).

sztormów - w zatopionym mieście zostawili więc nabrzeża, pływające doki i slumsy, sami zaś przenieśli swoje majątki, domy i dzieci na trochę bezpieczniejszą wysokość nad poziomem morza.

MissMet leżała o wiele wyżej i dalej w górę rzeki, a przeciwko cyklonom i huraganom była uzbrojona jak żadne inne miasto. Zaprojektowano ją od początku tak, by uniknąć wszystkich pułapek wcześniejszego optymizmu. Było to miasto lalusiów: Nailer słyszał, że są tam chodniki ze złota, a błyszczące mury, strażnicy i ostre druty chronią je przed plebsem.

Kiedyś, dawno temu, Nowy Orlean oznaczał wiele rzeczy: jazz, Kreoli, miasto tętniące życiem, Mardi Gras, imprezy, zapomnienie; oznaczał pochłaniającą wszystko bujną zieloną roślinność. Teraz znaczył tylko jedno. Przegraną.

Minęli kolejne wymarłe, porośnięte dżunglą ruiny, niesamowite bogactwo w złomie i innych materiałach, pozostawionych, by zgniły i skryły się wśród drzew i bagien.

- Czemu oni się wynieśli? - zapytał Nailer.

- Czasami ludzie się uczą - odparł Młot.

Nailer wywnioskował z tego, że przeważnie jednak nie. Ruiny podwójnego miasta wyraźnie świadczyły, że do ludzi z Epoki Przyśpieszenia bardzo powoli docierało, że sytuacja się zmienia.

Pociąg skręcił ku sterczącym w niebo wieżom. Za iglicami Orleanu II zamajaczył wałący się masyw stadionu, oznaczający początek starego miasta, centrum zatopionej krainy.

- Głupi - mruknął Nailer. Młot nachylił się do niego, żeby usłyszeć go wśród wiatru, a Nailer krzyknął mu do ucha: - Głupi byli jak cholera.

Młot wzruszył ramionami.

- Nikt nie spodziewał się huraganów szóstej kategorii. Nie było niszczycieli miast. Po prostu zmienił się klimat. Pogoda. A oni tego nie przewidzieli.

Nailer zastanowił się nad tym. Jak to możliwe, żeby nikt nie rozumiał, że jest na celowniku comiesięcznych huraganów toczących się Szlakiem Missisipi i polujących na wszystko, co nie miało dość rozumu, żeby się przymocować, odpłynąć albo wkopać pod ziemię?

Pociąg przeleciał po estakadzie, skręcając w sam środek węzła handlowego, przyśpieszając nad słonawą wodą, świecąca się od wycieków ropy, pełną śmiecia, śmierdząca chemikaliami. Przemknęli wzdłuż pływających doków i baz przeładunkowych. Żurawie ładowały na klipry potężne kontenery, a na płaskodenne rzeczne łodzie z przysadzistymi żaglami przeładowywano zamorskie luksusy.

Przejechali wzdłuż złomowisk i baz recyklingowych, gdzie lśniły od potu grzbiety mężczyzn i kobiet ładujących na taczki skupowany złom i przewożących go na wagi do wyceny. Pociąg zaczął zwalniać. Zboczył na nowe tory, zniżające się w ku pustkowiu bocznic i slumsowych bud, potem znów skręcił. Koła zazgrzytały o stal, wagony zadygotały, gdy hamował. Idąca w tył fala zatrzęsała po kolei wszystkimi wagonami.

Młot dotknął ich ramion.

- Wsiadamy. Niedługo zajedziemy na stację i wszyscy będą się pytać, skąd się wzięliśmy i czy mamy prawo.

Mimo że pociąg jechał wolno, wyskakując, wszyscy poprzewracali się i poturlali. Nailer wstał, otarł pył z oczu i rozejrzał się. Właściwie niezbyt się to różniło od stoczni rozbiórkowej. Złom i śmieci, sadza, tłusty brud i chylące się budy, z których ludzie patrzają na nich pustymi oczyma.

Nita też rozejrzała się wokół. Nailer widział, że nie jest zachwycona; cieszył się, że mają ze sobą Młota, kogoś, kto ich obroni, gdy będą lawirować między ciasno poustawianymi szopami. W cieniu rozpierało się paru mężczyzn, z tatuażami i kolczykami obwieszającymi przynależność do nieznanych klanów. Przyglądali się trójce intruzów na swoim terenie. Nailerowi zjeżyły się włosy na karku. Ukrył nóż w dłoni, zastanawiając się, czy będzie rzeźnia. Czuł, jak patrzają i kalkulują. Byli jak jego ojciec. Znudzeni, zapewne naćpani kryształami i niebezpieczni. Poczł zapach herbaty i cukru. Gotującej się kawy. Wyobraził sobie garnki czerwonej fasoli i brudnego ryżu. Zaburczało mu w brzuchu. Owionął go słodki smrodek gnijących bananów. Przed nimi jakieś dziecko sikało na ścianę, patrząc na nich poważnymi oczyma.

Wreszcie wydostali się na główniejszą ulicę. Była pełna handlarzy złomem i śmieciami, ludzi sprzedających narzędzia, arkusze blachy, zwoje drutu. Obok przetoczył się z grzechotem rowerowy wózek, pełen złomu. Cyna, pomyślał Nailer i zaczął się zastanawiać, czy rowerzysta ją kupił, czy chce sprzedać, i dokąd ona pojedzie.

- A teraz dokąd?

Nita zmarszczyła czoło.

- Do portu. Trzeba sprawdzić, czy jest jakiś statek mojego ojca.

- A jeśli jest? - zapytał Młot.

- To muszę się rozpytać o nazwiska kapitanów. Znam paru, którym jeszcze mogę ufać.

- Jesteś pewna?

Zawahała się.

- Paru musiało zostać.
- Klipry powinny być tam. - Młot wskazał ręką.

Kiwnęła, żeby szli za nią. Nailer obejrzał się na Młota, ten jednak nie przejął się jej nagłą władczością.

Powlekli się aleją. Mocno pachniało morzem, zgnilizną i stłoczoną ludzką ciźbą. O wiele mocniej, niż w stocznicach rozbiórkowych. A miasto było ogromne. Szli i szli, a mimo to, ulice, szopy i złomowiska ciągnęły się w nieskończoność. Ludzie przejeżdżali w rikszach i na rowerach. Przez zniszczone ulice prześliznął się nawet samochód na ropę, z wyjącem i zgrzytającym silnikiem. W końcu jednak skwarne slumsy ustąpiły chłodniejszym, zadrzewionym bulwarom, z dużymi domami obrośniętymi szopami. Ludzie wchodzili do nich i wychodzili. Na domach wisiały szyldy, które Nita czytała Nailerowi, kiedy je mijali: MEYER TRADING, SPEDYCJA WODNA ORLEAN, YEE AND TAYLOR, PRZYPRAWY, DEEP BLUE SHIPPING CORPORATION, LTD.

Ulica raptownie opadła i zanurkowała w wodę. Cumowały tu wodne taksówki, ludzie czekali w wiosłowych skifach z małymi żagielkami ze szmat, czekając na dowolnego pasażera, który chce wypłynąć w głąb Orleanu.

- Koniec - powiedział Nailer.

- Nie. - Nita pokręciła głową. - Ja znam to miejsce. Już niedaleko. Musimy przejść przez Orlean na pływające nabrzeża. Trzeba wziąć wodną taksówkę.

- Pewnie są drogie.

- Matka Pimy nie dała ci pieniędzy? - zapytała Nita. - Na pewno wystarczy aż nadto.

Nailer zawahał się, potem wyciągnął zwitek czerwonych banknotów.

- Lepiej oszczędzać - powiedział Młot. - Później będziecie głodni.

Nailer wpatrzył się w paskudną wodę.

- Mnie to już się chce pić.

Nita się nachmurzyła.

- To jak się dostaniemy do tych kliprów?

- Na piechotę - odparł Nailer.

Ludzie wchodzili w wodę i brodzili; wyglądało na to, że sięga tylko do pasa. Poruszali się powoli przez zieloną, oleistą breję.

Spojrzała na wodę z obrzydzeniem.

- Nie da rady. Jest za głęboko.

- Kupcie wodę do picia - powiedział Młot. - Ci robotnicy jakoś się muszą przedostawać na nabrzeża. Biedota nas poprowadzi.

Nita zgodziła się niechętnie. Kupili brązową wodę u handlarza, pokazującego żółte, popsute zęby w szerokim uśmiechu i przysięgającego, że woda jest odsolona i dobrze przegotowana. Gdy zapłacili, chętnie pokazał im drogę. zaproponował nawet, że ich tam zawiezie, ale za dużo chciał. Poszli więc pieszo, naokoło, lawirując między zatopionymi, butwiejącymi ulicami, przez pływające pomosty. Smród ryb i ropy napływał falami, aż Nailerowi wilgotniały oczy. Kojarzył mu się ze złomiarską plażą.

W końcu dotarli na brzeg. Na spokojnej wodzie ciągnął się sznur boi.

Nita wpatrzyła się w nią z odrazą.

- Trzeba było wziąć łódkę.

Nailer wyszczerzył zęby.

- Co, boisz się? - zapytał.

Rzuciła mu pełne złości spojrzenie.

- Nie. - Wróciła wzrokiem do wody. - Ale jest brudna. Trujące chemikalia. - Pociągnęła nosem. - W ogóle nie wiadomo, co tam jest.

- No tak, ale od tego umrzesz jutro, a nie dzisiaj. - Wszedł w breję. Pokrywała ją cienka, opalizująca warstewka ropy. - Lepsza niż przy wrakach. Przy tamtej, to w ogóle nic. A mimo to, jeszcze nie umarłem. - Znów wyszczerzył zęby. Lubił się z nią drażnić. - No chodźmy. Zobaczmy, czy czeka na ciebie kliper.

Nita zacięła usta, ale poszła. Nailer miał ochotę się z niej śmiać. Była inteligentna, ale tak sztywna, że aż dziw brał. Patrzył, jak weszła głębiej w wodę, ciesząc się, że lalunia choć raz unurza się w brudzie jak normalny człowiek. Gdy tylko weszła, Młot zszedł za nią; od jego potężnej sylwetki zafalowały liście lilii i tęczowa woda. Ruszyli naprzód, powoli. Woda sięgała im teraz do piersi.

Przed nimi ktoś zakotwiczył plastikowe boje, wyznaczając ścieżkę dla nieposiadających łodzi pieszych. Jedna była pomarańczowa, druga biała. Mijając je, Nailer zauważył na jednej wyblakły rysunek jabłka, z literami pod spodem. Na drugiej był wytłoczony starożytny samochód. Ścieżka z porzuconych opakowań doprowadziła ich do miejsca, gdzie zniknęły ostatnie fundamenty budynków, gdzie kończyły się ruiny - i ciągnęła się dalej.

Brodzili ostrożnie, trzymając się strumienia ludzi, mozolnie idącego i płynącego z chłupotem w stronę odległych pomostów. W którymś momencie Nita straciła grunt pod nogami i zapadła się w wodę. Młot złapał ją, wyciągnął i postawił z powrotem na bezpiecznej ścieżce, z której nikt nie schodził.

Odgarnęła z twarzy długie, mokre pasma włosów i wpatrzyła się w dalekie statki i

nabrzeża.

- Czemu nie dadzą im łodzi?

- Tym ludziom? - Młot rozejrzał się po brodzących razem z nimi. - Szkoda łodzi.

- Ale ktoś powinien tu zrobić pomosty. To by nawet tak dużo nie kosztowało.

- Wydawać pieniądze na biednych to jak wrzucać je do ognia. Strawią i nawet nie podziękują - odparł Młot.

- Nawet pewnie by się oszczędziło, gdyby ludzie mieli łatwiejszy dostęp.

- Jakoś woda ich nie powstrzymuje.

Faktycznie: przed nimi poruszał się nieprzerwany szereg ludzi; niektórzy mieli zdobyczne plastikowe worki, w które popakowali dobytek, żeby uchronić go przed zamoczeniem, jednak większość w ogóle nie przejmowała się tym, że musi pływać w brunatnej wodzie i zielonych glonach. Nita ruszyła dalej. Nailer pomyślał, że jest zdeterminowana, by nie okazać, jaką odrazę czuje wobec własnej sytuacji.

Za każdym razem, gdy Młot się odzywał, siekł ją słowami jak biczem. Nailer nie wiedział dlaczego, ale odpowiadało mu, że czuje się zażenowana. Wyczuwał, że Nita traktuje go trochę jak zwierzę, przydatne zwierzę, w rodzaju psa, ale w żadnym razie nie człowieka. Zresztą, sam nie był pewien, czy ona też jest człowiekiem. Ci lalusie to zupełnie co innego. Pochodzą skądinąd, żyją całkiem inaczej, rozwalają całe klipry, żeby uratować jedną dziewczynę.

- Młot, a jak to jest, że ty w ogóle z nami jesteś? - zapytała nagle Nita. - W ogóle nie powinieneś być w stanie tak zostawić swojego pana.

Młot zerknął na nią.

- Ja robię, co chcę.

- Ale jesteś półczłowiekiem.

- Pół człowieka. - Spojrzał na nią uważniej. - A mimo to, dwa razy większy od ciebie, Szczęściaro.

- O czym wy gadacie? - zapytał Nailer.

Nita łypnęła na niego.

- Powinien mieć pana. Ich się zaprzysięga. Moja rodzina sprowadza ich z Nipponu, już wytresowanych. I zawsze mają pana.

Wzrok Młota skupił się na niej. Żółte, psie, drapieżne oczy, lustrujące stworzenie, które mógłby zniszczyć w sekundę, gdyby tylko zechciał.

- Nie mam żadnego pana.

- To niemożliwe - powiedziała Nita.

- Znani jesteśmy z takiej fantastycznej lojalności - powiedział Młot. - Pani Szczęściara jest chyba rozczarowana odkryciem, że nie wszystkim z nas odpowiada niewolnictwo.

- To się nie ma prawa zdarzyć - upierała się Nita. - Jesteście tresowani...

Młot wzruszył potężnymi ramionami.

- Ze mną się pomylili. - Uśmiechnął się nieznacznie, kiwnął głową, rozbawiony jakąś myślą. - Okazałem się bystrzejszy, niż się spodziewali.

- Ach tak?

Spojrzenie żółtych oczu znów wbiło się w nią taksująco.

- Dość bystry, żeby wiedzieć, że mogę wybierać komu łożę, a kogo zdradzam. Nie o każdym z moich... pobratymców da się to powiedzieć.

Nailer nigdy dotąd nie zastanawiał się, skąd Młot wziął się wśród złomiarzy. Po prostu był, tak jak uchodźcy, którzy przyplłynęli łodziami. Klan Spinozów, McCalleyów i Lalów - wszyscy po prostu przyszli do pracy i tak samo Młot. Pracowali i tyle.

Ale to prawda, co mówiła Szczęściara. Półludzi używało się w ochronie, do zabijania, na wojnie. Przynajmniej tak Nailer słyszał. Widziało się ich wokół bankowców Lawsona i Carlsona. Albo wokół krwawych kupców, kiedy przychodzili skontrolować rozbiórkę. Ale zawsze w towarzystwie innych. Lalusiów. Ludzi, których było stać, by kupić stworzenia o genach zmiksowanych w koktajl z człowieka, tygrysa i psa. Ludzkie komórki jajowe, służące do zapoczątkowania ich rozwoju, zawsze były w cenie, i to dobrej. Sekta Życia w ogóle utrzymywała się z jajników swoich wyznawczyń, a Żniwarze też zawsze chętnie kupowali.

- To gdzie jest twój pan? - zapytała Nita. - Podobno macie umierać razem z nim. Przynajmniej ci nasi tak mówią. Że jak my zginiemy, to oni też, że zginą za nas.

- Niektórzy z nas są niesamowicie lojalni - zauważył Młot.

- Ale twoje geny...

- Gdyby geny dyktowały przeznaczenie, to Nailer powinien sprzedać cię twoim wrogom, a kasę wydać na czerwoniaki i whiskey Black Ling.

- Nie o to mi chodziło.

- Nie? Ale pochodzisz z Pateli, więc jesteś jak wy wszyscy inteligentna i kulturalna, tak? A Nailer, oczywiście, jest potomkiem idealnego zabójcy i wszyscy wiemy, co o nim myśleć.

- Nie. W ogóle nie o to mi chodziło.

- To nie bądź taka pewna, co mój gatunek może, a co nie. - Wbił w nią świdrujący wzrok. - Jesteśmy silniejsi, szybsi i... myśl sobie co chcesz, także inteligentniejsi od naszych

panów. Czy taka lalunia jak ty nie powinna się bać, spotykając kogoś takiego jak ja, na wolności?

Nita cofnęła się.

- My dobrze traktujemy wasz gatunek. Moja rodzina...

- Daruj sobie. Mój gatunek będzie ci służył. Tak czy owak. - Odwrócił się i ruszył dalej.

Nita zamilkła. Nailer parł dalej przez wodę, zastanawiając się nad tym osobliwym konfliktem między nimi.

- Młot? - zapytał. - Też byłeś tak tresowany? Też ci wmuszali jakiegoś pana?

- Dawno temu próbowali.

- Kto?

Młot wzruszył ramionami.

- Dawno nie żyją. To już nieważne. - Wskazał brodą zbliżające się nabrzeża. -
Poznajesz któryś z tych kliprów?

Nita zerknęła na statki przy odległych pływających nabrzeżach.

- Nie z tej odległości.

Przybliżyli się, człapiąc powoli przez wodę. Chłodna, dawała przyjemne wytchnienie po tropikalnym upale, Nailer zmęczył się jednak długim brodzeniem. Szło im się bardzo wolno.

Wreszcie dotarli do pływających nabrzeży, gdzie mogli w końcu wyjść z wody. Szczęściara wyjęła z obrzydzeniem ubranie, Nailer natomiast rozkoszował się wietrzykiem na mokrej skórze. Daleko, na horyzoncie, żeglowały klipry. Z tego miejsca wydawało się, że cały świat rozciąga się przed nim. Klipry i frachtowce na kotwicowiskach. Błękitne kadłuby z Anglii, czerwona flaga Północnych Chin. Na starych wrakach, z wymalowanymi oznakami przynależności państwowej i armatorskiej, nauczył się na pamięć wielu z tych flag. A ta masa statków tutaj była istnym ogólnoswiatowym rejestrem okrętowym.

Pomiędzy ogromnymi statkami poruszał się mały patrolowiec, napędzany biodieslem i plujący spalinami, wożący pilotów na statki, które potrzebowały pomocy w podejściu do nabrzeża. Wokół panowała krzątanina. Lalusiów sprowadzano ze statków i pakowano do wodnych taksówek, żeby ich przewieźć w górę rzeki albo do linii kolejowej. Dwóch półludzi pilnowało jachtu jakiegoś lalusia - gdy przechodził Młot, popatrzyli nań z jawną groźbą w oczach oraz gardłowymi pomrukami na powitanie. Wszędzie wokół roili się kulisi - czarni, różowi, brązowi, jasnowłosi, rudzi, bruneci, wysocy i niscy, wszyscy opatrzeni roboczymi tatuażami i znakami przypisania. Przeladowywali ładunki na płaskodenne barki. Z głębi

zatopionego miasta wypływały kolejne barki, powoli, leniwie sunąc ku wielkim statkom.

- A mogliśmy się po prostu zabrać z ładunkiem - mruknął Nailer, wskazując broda pełną ku kliprom kontenery z pociągu.

Niektóre barki były przerobione ze starych, zniszczonych żaglowców, inne były większe, potężniejsze. Mogły spalać węgiel ale i korzystać z wiatru. Potężne płetwiaste skrzydła żagli ciągnęły się w poprzek pokładów: każdy powiew pomagał popchnąć ociężałą łajbę, wyładowaną po brzegi złomem niklowym, miedzianym, żelaznym i stalowym. i8p mokrej skórze. Daleko, na horyzoncie, żeglowały klipry. Z tego miejsca wydawało się, że cały świat rozciąga się przed nim. Klipry i frachtowce na kotwicowiskach. Błękitne kadłuby z Anglii, czerwona flaga Północnych Chin. Na starych wrakach, z wymalowanymi oznakami przynależności państwowej i armatorskiej, nauczył się na pamięć wielu z tych flag. A ta masa statków tutaj była istnym ogólnoswiatowym rejestrem okrętowym.

Pomiędzy ogromnymi statkami poruszał się mały patrolowiec, napędzany biodieslem i plujący spalinami, wożący pilotów na statki, które potrzebowały pomocy w podejściu do nabrzeża. Wokół panowała krzątanina. Lalusiów sprowadzano ze statków i pakowano do wodnych taksówek, żeby ich przewieźć w górę rzeki albo do linii kolejowej. Dwóch półludzi pilnowało jachtu jakiegoś lalusia - gdy przechodził Młot, popatrzyli nań z jawną groźbą w oczach oraz gardłowymi pomrukami na powitanie. Wszędzie wokół roili się kulisi - czarni, różowi, brązowi, jasnowłosi, rudzi, bruneci, wysocy i niscy, wszyscy opatrzeni roboczymi tatuażami i znakami przypisania. Przeladowywali ładunki na płaskodenne barki. Z głębi zatopionego miasta wypływały kolejne barki, powoli, leniwie sunąc ku wielkim statkom.

- A mogliśmy się po prostu zabrać z ładunkiem - mruknął Nailer, wskazując broda pełną ku kliprom kontenery z pociągu.

Niektóre barki były przerobione ze starych, zniszczonych żaglowców, inne były większe, potężniejsze. Mogły spalać węgiel ale i korzystać z wiatru. Potężne płetwiaste skrzydła żagli ciągnęły się w poprzek pokładów: każdy powiew pomagał popchnąć ociężałą łajbę, wyładowaną po brzegi złomem niklowym, miedzianym, żelaznym i stalowym.

Harmider aż oszałamiał, ruch był tu gęściejszy niż w stoczni rozbiórkowej na plaży Bright Sands. Nita wyciągnęła szyję, spojrzała ponad tłumem ludzi.

- O, tamte statki. - Wskazała ręką.

Przed nimi cumował szereg kliprów. Szkuner, frachtowiec-katamaran i jacht stały po drugiej stronie pomostu, przy oddzielnym nabrzeżu. Były przepiękne, najszybsze na całym morzu, uzbrojone w działko raketowe, wyrzutnie lekkich pocisków przeciwko piratom, zbrojne, groźne, szybkie, w niczym nieprzypominające rdzewiejących wraków, które znał i

rozglądał na części Nailer. Porównanie kliprów z tymi truchłami ze starego świata było jak spojrzenie w oślepiające słońce po wyjściu ze skorodowanej ładowni.

Gdy się przybliżyli, Nita przyjrzała się statkom i stwierdziła:

- Nie moje. - Przygarbiła się, ewidentnie rozczarowana.

I Nailer poczuł to rozczarowanie, choć postarał się go nie okazać. Realistycznie patrząc, nieprawdopodobne było, żeby od razu znaleźli sojusznicy statek. W rzeczonym porcie panował jednak ogromny ruch: cały czas przybijały jakieś statki. Nawet teraz, gdy patrzyli, jeden z kliprów rozwijał żagle, potężne, falujące płachty tkaniny opuszczane ekspresowo przez system bloczków. Wydęły się na wietrze, statek odbił od nabrzeża i wyśliznął się z portu.

- Wrócimy jutro - powiedział Nailer.

Szczęściara kiwnęła głową, ale wciąż rozglądała się po statkach, jakby liczyła, że któryś z nich czarodziejsko zamieni się w inny. W końcu zrezygnowała i poszli przez płycizny i pomosty, wracając do Orleanu już o zmierzchu.

Wieczorem kupili sobie po sznurze na patyku od handlarza na łodzi i przyglądali się ruchowi na wodnej ulicy. Przeplływały popychane tyczkami małe łódeczki, wiozące żywność, robotników i marynarzy na przepustce. Gdzieś z oddali dolatywał żalobny dźwięk blaszanych instrumentów dętych, niosący się po wodzie pogrzebowy tren. W czarnej wodzie bawiło się kilkoro dzieci. Nailer wywnioskował z ich obecności, że jest to najbezpieczniejsze tutaj miejsce. Co gorsi pijacy i kryształowe ćpuny widocznie siedzieli gdzie indziej.

Mrok wypełniały odgłosy świerszczy i cykad. Wokół roiło się od kąśliwych komarów. Było ich o wiele więcej niż na plaży. Tam wiatr od morza większość zwiewał, tu - w nieruchomym, bagiennym powietrzu - nadlatywały całymi rojami i rzucały się na nich. Udręczeni Nailer i Nita oganiali się klaśnięciami od krwiopijców, a Młot patrzył na to z rozbawieniem. Nailer zastanawiał się, czy jego skóra jest wyjątkowo gruba, czy też coś innego w nim sprawia, że boją się go nawet komary.

- Ile pieniędzy dała ci Sadna? - zapytał Młot.

- Parę czerwonych i żółtego.

- Tylko tyle? - zapytała Nita i ugryzła się w język.

- To dwa tygodnie w ciężkiej ekipie - powiedział Nailer. - Co, w jeden wieczór puszczasz tyle na zakupach?

Nita pokręciła głową, ale się nie odezwała. Odezwał się za to Młot:

- Jak chcecie jeść, jutro będziecie musieli popracować.

- A gdzie? - zapytał Nailer.

Młot rzucił mu żółtookie spojrzenie.

- Głupi nie jesteś, pomyśl sam.

Nailer się zastanowił.

- Na nabrzeżach. Coś zarobimy i będziemy mogli wypatrywać jej ludzi.

Młot burknął coś i odwrócił się. Nailer uznał to za potwierdzenie.

Rozdział XVIII

Znalezienie pracy nie było trudne. Ale znalezienie pracy płatnej tak dobrze jak rozbiórka statków okazało się niemożliwe. Tylko Młot nie miał problemu z pracą - najął się za tragarza przy cennych towarach przeładowywanych na statki rzeczne i pociągi. Nailerowi i Nicie pozostawały najgorsze możliwości - zajęcie gońca, przenoszenie rozmaitej drobnicy, żebranina. Facet w jednym zaułku proponował, że kupi od nich krew, ale ręce i igły miał brudne, a oczy sugerowały, że interesuje go coś więcej niż tylko same żyły. Uciekli i poczuli ulgę, że ich nie goni.

Minął tydzień, potem dwa. Wpadli w nędzarską rutynę - patrzyli, jak statek za statkiem przy pływa, a potem odpływa, robiąc miejsce dla kolejnego rozczarowania szybującego na białych skrzydłach.

Nailer spodziewał się, że obrzydzenie Nity wobec orleańskich slumsów nigdy nie minie, ona jednak przystosowała się szybko, pilnie słuchając wszystkiego, co mówią Młot i Nailer. Pracowała ciężko, robiła co do niej należało i nie skarżyła się na jedzenie ani na spanie. Nadal była lalunią, nadal miewała różne dziwne lalusiowate zachowania, ale była też zdeterminowana, żeby dać sobie radę. Nailer nie mógł nie uszanować tej determinacji.

Któregoś dnia, z samego rana, gdy oboje, unurzani we krwi po łokcie, patroszyli czarne węgorze dla jadłodajni, wyjął, co mu chodzi po głowie.

- Wiesz co, Szczęściara, jesteś w porządku.

Nita odfiletowała następnego węgorza i cisnęła go do stojącego między nimi wiadra.

- Tak? - Nie do końca docierało do niej, co Nailer mówi.

- Tak. Dobrze pracujesz - dodał, wyciągając z innego wiadra kolejnego węgorza i podając jej. - Jakbyśmy byli na złomiarzkiej plaży, poręczyłbym za ciebie do lekkiej ekipy.

Nita chwyciła rybę i znieruchomiała zdziwiona. Rzucający się węgorz owinął się jej wokół nadgarstka.

- No wiesz, dalej jesteś lalunią, ale rozumiesz, gdybyś potrzebowała pracy, to wstawiłbym się za tobą.

Uśmiechnęła się, promiennie jak błękitny ocean. Nailera ścisnęło w piersi. Niech to cholera, chyba zwariował. Ta dziewczyna zaczynała mu się podobać. Odwrócił się, wyłowił następnego węgorza, dla siebie, i rozciął go.

- Właściwie to chciałem tylko powiedzieć, że dobrze ci idzie. - Nie patrzył na Nitę. Czuł, że twarz ciemnieje mu od rumieńca.

- Dziękuję, Nailer - odpowiedziała. Głos miała łagodny.

- Jasne. Nie ma sprawy. Załatwmy się z tymi węgorzami i lećmy do portu. Lepiej nie przegapić pierwszych okazji do lepszego zajęcia.

* * *

Nita podała Nailerowi i Młotowi szereg nazw do nauczenia się na pamięć: dla Nailera wypisała je też na piasku, żeby mógł zapamiętać kształty liter. Opisała banderę swojej firmy, żeby mogli wypatrywać takich statków i we trójkę nie przeoczyli żadnych potencjalnych kandydatów.

Żadna z tych wskazówek nie przydała im się na nic.

Nailer właśnie biegł, niosąc do Ladee Baru list od pierwszego oficera Babiego lata, smukłego trimaranu o stałych, skrzydłowych żaglach, z imponującym działkiem Buckella na pokładzie dziobowym, gdy wszystko trafił szlag.

List był w zapieczętowanej kopercie, zalakowanej i opatrzonej odciskiem kciuka; Nailer miał do niego jeszcze kwitek potwierdzający dostarczenie, jeśli kapitan zechce odbić na nim swój kciuk. Gdy biegł pomostem do wodnego przejścia, już myślał, jakie to będzie męczące, leżeć aż do samego Orleanu z jedną ręką nad wodą. Bo jak list się zamoczy, może nie dostać od kapitana żadnego napiwku...

Wtem jak duch pojawił się Richard Lopez.

Nailer zamarł. Błada, naga czaszka ojca kołysała się ponad tłumem kulisów: był jak złowroga zjawa o ramionach wytatuowanych w czerwone smoki zwijające się w spirale na szyi. Bładoniebieskie oczy lustrowały wszystko, co mijał, rejestrowały w pamięci cały port. Umysł Nailera rozwrzeszczał się, żeby uciekał, ale ten nagły widok wypełnił go przerażeniem i sparaliżował.

Było z nim dwóch półludzi. Ogromne sylwetki przepychały się przez tłum, górując nad wszystkimi. Płaskie psie pyski o nakrapianej skórze popatrywały z niechęcią po ludziach, nosy węszyły za tropem, żółte oczy rozglądały się drapieźnie. Spędziwszy parę tygodni w towarzystwie Młota, Nailer zapomniał, jak przerażający potrafią być półludzie - teraz jednak, gdy te potężne bestie przeciskały się między ludźmi, lęk powrócił.

Rusz się rusz się rusz się RUSZ!

Kucnął, kryjąc się wśród tłumy, i rzucił ku krawędzi pomostu. Zsunął się do wody, zapominając o liście do kapitana w Ladee Barze. Zanurzył się w fale i schował pod pływającym pomostem. Kiedy odchyłał głowę do tyłu i wtykał nos w wąską szczelinę między wodą i dolnymi deskami, miał akurat tyle miejsca, żeby zaczerpnąć powietrza.

Pomost nad nim skrzypiał i dudnił od kroków. Woda i tłusta maź chlupotały mu

wokół policzków i zuchwy, gdy zerkał pomiędzy deskami. Przechodzili ludzie. Siedział cicho, czekając, aż po raz kolejny mignie mu ojciec.

Co ten człowiek tu robi? Skąd wiedział, że ma go tu szukać?

Cała trójka pojawiła mu się przed oczyma. Byli dobrze ubrani. Ojciec miał nowe ciuchy, żadnej plamki, żadnej dziury. Zupełnie nie plażowe. Lalusiowate. Półludzie byli uzbrojeni w pistolety w naramiennych kaburach i zwinięte przy pasie bicze. Zatrzymali się prawie dokładnie nad nim i przyglądali niosącym ciężary kulisom.

Nailera zalała tłusta woda. Kilwater przepływającej łodzi. Fale pchnęły go na deski tuż pod butami ojca. Podrapał sobie twarz i wstrzymał oddech, zanurzył się, a potem wypłynął z powrotem, starając się nie wydać najmniejszego szmeru. W ustach miał drzazgi, do nosa nalało mu się wody. Siłą powstrzymał się od płucia i kaszlu. Jeśli tylko się zdradzi, już nie żyje. Wetknął głowę pod wodę i wydmuchał nos, potem wynurzył się, zmuszając się do zachowania ciszy. Zrobił ostrożny, rozdygotany wdech.

Trzech łowców nadal nad nim stało i obserwowało przeładunek. Nailer zastanawiał się, czy po prostu domyślili się, że pojedzie do Orleanu, czy też wydobyli tę informację z Pimy lub Sądnym jakimiś torturami. Wyparł z głowy tę myśl. Nic już się nie dało z tym zrobić. Trzeba najpierw rozwiązać własny problem.

Półludzie przyglądali się dokerom z chłodną obojętnością, zupełnie jak Młot - mogliby być rodzeństwem. Obserwowali ludzi, a Nailer obserwował ich - zapierając się dłońmi o deski przy każdej kolejnej fali, co groziła mu uderzeniem o nie. Cały czas liczył, że coś powiedzą, ale skrzypienie pomostu i chlupot wody tłumiły wszystkie inne odgłosy. Modlił się, by Szczęściara uważała na siebie. To samo Młot. Jemu tylko istny łut szczęścia pozwolił w ostatniej chwili rozpoznać ojca i się schować. Zadrżał na samą myśl, jak mało brakowało.

Richard i półludzie poszli dalej, cały czas przypatrując się ludziom. Na pewno szukają Szczęściary. Nailer ruszył za nimi, wijąc się pod pomostem bezgłośnie jak węgorz. Szli szybko i dwa razy omal nie zgubił ich w ciżbie dokerów i marynarzy na pływających nabrzeżach. Przyśpieszył. Płynął tak szybko, że omal się nie zdradził, gdy ojciec zszedł z pomostu na łódkę. Jego twarz błysnęła poniżej desek. Nailer schował się w wodzie i dyskretnie usunął, wynurzając się w bezpiecznym cieniu.

Ojciec mówił:

-...i zobaczyć, czy jakaś inna ekipa coś znalazła. Jak tak, to dać znać na statek.

Półludzie kiwnęli głowami, ale nic nie odpowiedzieli. Podnieśli żagiel skifu i odbili od pomostu. Nailer obserwował, jak odpływają, i zachodził w głowę, czy kiedykolwiek uda

mu się uwolnić od ojca. Obojętne, jak daleko uciekł, jak bardzo starał się ukryć, ten człowiek zawsze go dopadał. Zaczął płynąć pod pomostem, kierując się w stronę boi. Nie wiedział, gdzie jest Młot, ale Nita pewnie zmywała naczynia w smażalni ryb nad wodą. Jeśli ojciec ją przyuważy, to koniec wszystkiego. A Młot... Młot będzie musiał sam sobie poradzić.

Kiedy dotarł do Nity, była podekscytowana. Wyjęła rękę z mętnej, brązowej wody, w której zmywała naczynia, i wskazała statek w porcie. Nowy, który dopiero przybył.

- Ten! Nieustraszony. Jeden z tych kliprów, na które czekałam.

Nailer nerwowo zerknął na statek.

- Nie wydaje mi się. Mój ojciec tu jest. Ma ze sobą mięśniaków, półludzi. Chyba jest dogadany z tym twoim lalusiowatym wujem, Pyce'em. - Odciągnął ją od kuchni. - Musimy się gdzieś zaszyć. Zniknąć na jakiś czas. - Przepatrzył tłum w poszukiwaniu ojca. Nie było go widać, ale to nie oznaczało, że go tam nie ma, ani że nie wysłał na poszukiwania innych. Ojciec był podstępny. Lubił pojawiać się znienacka.

- Nie! - Nita strząsnęła jego dłoń z ramienia. - Muszę się dostać na ten statek. To mój bilet do domu. Trzeba się tylko tam dostać.

- To niekoniecznie jest właściwy statek. Mój stary też mówił o statku. To aż za dobry zbieg okoliczności, że twój statek i mój ojciec pojawiają się w tym samym czasie. - Pociągnął ją za ramię. - Musimy się gdzieś zaszyć. Ojciec gadał tak, jakby miał sporo ludzi. Jeżeli się nie schowamy, na pewno nas zauważą.

- To mam pozwolić Nieustraszonemu odpłynąć, ot tak? - zapytała.

- Chyba mnie nie słuchasz, co? W mieście jest mój ojciec, z półludźmi. Wszyscy elegancko ubrani, jak lalucie. I mówił coś o statku. - Wskazał brodą. - Pewnie tym.

- Nieustraszony? W życiu. Pani kapitan nazywa się Sung Kim Kai. Ojciec zalicza ją do najlepszych swoich ludzi. Bezwzględnie lojalna.

- Może już nie. Nie wiesz co się działo, odkąd uciekłaś. Może kto inny dowodzi.

- Nie. To niemożliwe.

- Nie bądź głupia - warknął Nailer. - Wiesz, że mam rację. Mój ojciec i Nieustraszony pojawiają się tego samego dnia? To jedyny sensowny wniosek.

- Wtedy to nie Nieustraszony mnie ścigał - powiedziała z uporem. - To była Gwiazda polarna. Do kapitan Sung mam zaufanie.

Nailer zawahał się.

- Sprawdźmy - powiedział w końcu. - Ale nie tak, że po prostu pójdziemy i wygarną nas jak krewetki z garnka. To zbyt duży przypadek, żeby mój ojciec i twój statek pojawili się jednocześnie. To musi być pułapka. - Pociągnął ją. - A teraz musimy zniknąć. Wszystko to na

nic, jeśli będziemy sobie łaźać na widoku i nas złapią. Wieczorem wyjdę, rozejrzę się.

- A co, jak oni do tego czasu odpłyną? - naciskała. - Co wtedy?

- Wtedy odpłyną! Lepiej się nie dać zgarnąć niż lecieć gdzieś na łeb na szyję, bo jest nadzieja. Może ty chcesz się dać złapać, ja na pewno nie. Dobrze wiem, co mi zrobi ojciec, jak mnie złapie. Nie będę ryzykował. Będą jeszcze inne statki, ale jak z tym spieprzymy, drugiej szansy nie będzie.

- Nailer, są gorsze rzeczy niż nadzieja.

- Pewnie. Złapanie przez starego jest u mnie na pierwszym miejscu. A u ciebie?

Nita rzuciła mu pełne złości spojrzenie, ale było widać, że słowa Nailera do niej dotarły. Uleciała z niej rozgorączkowana ekscytacja.

- No dobra - powiedziała. - To chodźmy stąd.

Zaniosła balię z poobtłukiwanymi naczyniami do smażalni i po minucie wróciła.

- Nie zapłacą mi, jak sobie pójdę przed kolacją.

- To nieważne. - Nailer ledwo był w stanie opanować strach i frustrację. - Musimy zniknąć.

Pobiegli pomostem, potem wśliznęli się do słonej wody i brodzili w niej, aż dotarli do jednej ze starych rezydencji, i8 jakich było tu pełno. Parter był kompletnie zalany, a dom się zapadał, ale na wyższych piętrach roiło się od dzikich lokatorów. Młot przekonał rządzącą tą ruderą bandę, by pozwoliła im pomieszkać w jednym z pokoi na górze. Wybrał go, bo z jednego okna był widok na pomosty i na statki. Miejsce było całkiem, całkiem, a pod ochroną Młota nikt ich nie ruszał. Szczęściara zaś była tak zadowolona, że ma gdzie położyć głowę, że prawie nie narzekała na węże, karaluchy i gniazda gołębi, które mieli za współlokatorów.

Razem weszli po skrzypiących schodach, przestępując połamane i zbutwiałe stopnie. Lawirując pomiędzy dziurami i szczelinami w podłodze, dotarli do pokoju. Z boku stało porzewiałe łóżko ze sprężynami, bez materaca. Nic więcej nie mieli.

Nita podeszła do okna i wpatrzyła się w statek. Przypominała mu dzieciaki czatujące wokół garkuchni Chena na wyrzucane kości. Wygłodniałe. Zdesperowane i pragnące czegoś, czego mogą w ogóle nie dostać.

- Jeśli wieczorem statek będzie jeszcze stał, podejźmy tam - powiedział Nailer. - Może podpytamy kogoś. Zobaczymy, czy da się przekazać wiadomość twojej wspaniałej pani kapitan i czy ona w ogóle tam jest. Potem pomyślimy, co dalej. Ale najpierw wszystko sprawdzimy. Nie skacze się do wody, póki się nie sprawdzi, czy w norze nie ma pytona, i na pewno nie poleziesz na ten statek, nie mając jakiegoś wyjścia na wszelki wypadek.

Nita kiwnęła niechętnie głową. Patrzyli, jak nad pomostami zapada ciemność.

Robotnicy schodzili się do domów, uliczne jadłodajnie otwierały się na kolację. Z barów dobiegała muzyka, zydeco i blues z delty. Fruwały roje komarów.

Nailer przepatrywał tłumy, zadowolony, że stoi w cieniu. Miał nieodparte przecucie, że ojciec gdzieś tam jest i go obserwuje - że wie dokładnie, gdzie go znaleźć, i już go okrąża, żeby zabić. Zwalczył ten strach.

- Młot się spóźnia - powiedziała Nita.

- No tak.

- Myślisz, że dopadł go twój ojciec?

Nailer pokręcił głową, zdenerwowany, próbując rozejrzeć się po tłumie.

- Nie wiem. Idę się rozejrzeć.

- Ja też.

- Nie. Ty zostajesz.

- Jeszcze czego. Nie jestem bardziej rozpoznawalna niż ty. - Zasłoniła twarz brudnymi włosami. Parę dni na bagnach i w orleańskiej wodzie nie przysłużyło się jedwabistym lokom.

- Albo i mniej.

Nailer musiał przyznać, że coś w tym jest. Już nie bardzo przypominała lalunię, którą znaleźli z Pimą we wraku statku. Była ładną dziewczyną, może najładniejszą, jaką w życiu widział, ale już zdecydowanie inną niż wtedy. Teraz nie wyróżniała się z tłumy.

- No dobra, niech będzie. Wszystko jedno.

Wykradli się z willi i weszli do wody, powoli zbliżając się do tłumów. Znaleźli sobie miejsce na podmokłej ziemi tuż przy głównym pomoście i przyczaili się tam razem, przyglądając się przechodniom, wypatrując Młota albo ojca Nailera i półludzi.

Nailer wzdrygnął się na samą myśl o ojcu mającym na każde skinienie takich osiłków. Młot był wystarczająco przerażający nawet bez wydającego mu rozkazy człowieka w rodzaju Richarda Lopeza. Zaklął, poczuł, że jest w potrzasku. Nie podobało mu się żadne z wyjść: ani sprawdzanie lojalności pani kapitan Sung z Nieustraszonego, ani siedzenie tutaj, na widoku i zastanawianie się, dlaczego nie ma Młota.

Nita przypatrywała mu się.

- Żałujesz czasem, że po prostu nie zdjąłeś mi złota z palców, jak miałeś okazję?

Nailer zawahał się, potem pokręcił głową.

- Nie. - Wyszczrzył zęby. - Przynajmniej nie ostatnio.

- Teraz też nie? Kiedy ojciec cię szuka?

Znów pokręcił głową.

- Nie ma co się nad tym zastanawiać. Przepadło. - Zobaczył jej urażoną minę i pośpiesznie się wytłumaczył. - Nie o to mi chodziło. Nie mówię, że jesteś jakąś pomyłką, z którą muszę teraz żyć. To znaczy, trochę tak. - I znowu to zranione spojrzenie. Rany, plątał się i plątał, sam nie wiedział, co właściwie chce powiedzieć. - Lubię cię. Nie sprzedałbym cię ojcu, tak jak nie sprzedałbym Pimy. Jesteśmy ekipą, prawda? - Pokazał jej wnętrze dłoni, bliznę po przysiędze krwi. - Ja za ciebie.

- Ty za mnie. - Nita uśmiechnęła się słabo. - I poręczyłbyś za mnie do lekkiej ekipy. Jeden komplement za drugim. - Spojrzenie jej ciemnych oczu, utkwione w nim, poważne, przenikliwe. - Dziękuję ci, Nailer. Za wszystko. Wiem, że gdybyś mnie nie uratował... Pimy to nie obchodziło. Widziała lalunię i tyle. - Dotknęła jego policzka. - Dziękuję.

Miała w oczach coś, czego dotąd nie widział. Poczł łaskotanie nieokreślonego pragnienia. Zrozumiał, że w tej chwili, gdyby tylko się odważył...

Nachylił się ku niej. Dotknęli się ustami. Przez moment wychodziła mu naprzeciw, przyciskała wargi do jego ust. Potem cofnęła się, zaczerwieniła, odwróciła wzrok. Serce waliło mu szaleńczo. W uszach słyszał szum krwi, dygotał z podniecenia. Chciał coś powiedzieć, coś błyskotliwego, coś, co sprawiłoby, że znów by nań spojrzęła, że znów poczułby tę więź sprzed chwili... Niestety, nie potrafił.

Nita pokazała coś palcem.

- Młot idzie - rzuciła. - Może on coś będzie wiedzieć o tym statku.

Nailer odwrócił się i zobaczył w tłumie zmierzającego w ich stronę Młota. Poczł naraz sprzeczne fale emocji - ulgę oraz żal, że mu przerwano. A potem zauważył coś jeszcze: w głębi ludzkiej ciżby, dwóch półludzi biegnących, żeby go przechwycić.

- To oni - powiedział. - Ci, co byli z ojcem.

Nita syknęła.

- Widzą go.

- Trzeba go ostrzec. - Nailer chciał wstać, ale Nita go przytrzymała.

- Nie możesz mu pomóc - szepnęła gorączkowo.

Chciał coś krzyknąć, lecz ona zatkała mu usta dłonią.

- Nie! - szepnęła. - Nie rób tego! Bo wszystkich nas złapią! Nailer spojrzęł w jej zawzięte, poważne oczy i powoli kiwnęł głową. Gdy tylko zabrała rękę, wstał i rzucił jej miażdżące spojrzenie.

- Ty to bezduszna jesteś. Jak chcesz, to się schowaj. On jest w naszej ekipie.

Zanim znów zdołała go zatrzymać, puścił się biegiem i wyskoczył spomiędzy zarośli na pomost. Młot zobaczył, że pędzi ku niemu i macha.

- Uważaj! - krzyknął Nailer.

Młot odwrócił się i zobaczył zbiegających ku niemu prześladowców. W nocnym powietrzu poniosło się echem warknięcie, jedno, drugie i nagle wszyscy półludzie przyspieszyli. Biegli szybko, tak szybko, że nie nadążało za nimi oko. Szybciej, niż mógłby się poruszać jakikolwiek człowiek. W rękach psiogłowych pojawiły się maczety. Z warkotem rzucili się na Młota. Jeden poleciał w tył, odrzucony jego siłą, drugi jednak zdążył się zamachnąć. W powietrze lśniącym w świetle latarń trysnęła łukiem krew. Nailer rozejrzył się za jakąś bronią, czymś, czym mógłby rzucić, kijem, wszystko jedno...

Nita chwyciła go i odciągnęła.

- Nailer! Nie pomożesz mi! Uciekajmy, zanim nas zobaczą!

Obejrzał się w desperacji, wrywając z jej uścisku.

- Ale...

Tłum zakłębił się w miejscu, gdzie bili się półludzie. Było słychać ich warczenie i trzask desek. Ciżba zasłaniała widok, ale nagle cały zbutwiały front budynku przełamał się i zawalił. W powietrze wzbił się pył. Ludzie uciekli z wrzaskiem spod ruiny. Nita szarpnęła go za rękę.

- No chodź! Takiej walki nie przeżyjesz! Są za silni i za szybcy. Nie widziałeś, jak walczą półludzie. Nic mi nie pomożesz!

Nailer patrzył w miejsce, gdzie Młot zniknął w pyłe i gruzie. Znowu było słychać warczenie, a potem skowyt, wysoki i zwierzęcy.

Nienawidząc sam siebie, odwrócił się i pobiegł. Pochylił się, kryjąc się w tłumie.

Znowu skulili się nad brzegiem wody, patrząc na światła na morzu, wypatrując kolejnych pachołków Pyce'a. Ludzie przechodzili, nie zwracając uwagi na dwoje uliczników na brzegu - tylu ich było, pojawiali się i znikali jak śmieci po przyptywie.

- Przykro mi - powiedziała Nita. - Ja też nie chciałam go zostawić.

Nailer rzucił jej miazdzące spojrzenie.

- On nam pomagał.

- Ale są bitwy, których się nie da wygrać. - Odwróciła wzrok. - Półludzie nie walczą tak jak ludzie. To raczej huragan. Zabiliby nas, złapali, albo po prostu utrudnialibyśmy walkę Młotowi.

- A tak zabili jego.

Milczała, usta miała zaciśnięte, patrzyła w mrok na odbicia pochodni i diodowych lamp na wodzie. Było słychać poskrzypywanie wiosł w dulkach i dalekie bzyczenie motorówki pilota.

W końcu się odezwała:

- Musimy się dostać na Nieustraszonego.

Nailer nie chciał się zgodzić, ale sam też nie widział innego wyjścia. Bez ochrony Młota byli w tym mieście jak płotki, które zaraz ktoś zje. Bez jego siły nie zatrzymają nawet tego pokoju w ruderze. A jednak fakt, że statek przyplłynął jednocześnie z pojawieniem się ojca i półludzi, mocno go niepokoił. Za dobrze to do siebie pasowało. Przybił statek, a ojciec ukazał się na pomoście jak widmo - i tylko ślepy traf sprawił, że udało mu się go uniknąć.

A teraz Nieustraszony tam stał i wabił, jak przynęta na żyłce.

Wrogowie Szczęściary na pewno szukają teraz jeszcze intensywniej - wiedzą, że są na tropie. Po znalezieniu przez nich Młota przyjdzie tu jeszcze więcej ludzi, całe fale prześladowców. Bo ojciec na pewno się zorientuje. Nie będą w stanie przeżyć na zatopionych ulicach Orleanu. Nie będą mogli pracować na widoku, bo zaraz ktoś zwróci na nich uwagę.

- Idziemy na ten statek, a kapitan Sung pomoże nam dotrzeć do mojego ojca - powiedziała Nita.

Nailer wzruszył ramionami.

- Twój też.

Zapatrzył się na odległe nabrzeża i nocny rozgardiasz Orleanu. Miasto umarłe, a zarazem wciąż półżywe, jak ożywiony trup-zombiak, potrzebne, bo ludzie muszą mieć towary, a wielka Missisipi cały czas spławia tutaj wielkie barki pełne żywności i wszelkich towarów wyprodukowanych w miastach na północy. Tyle tych miast jest tam w górze rzeki, tyle miejsc, gdzie można się ukryć. Ile się zechce. A oni są jak kawałki drewna. Mogliby popłynąć...

- Moglibyśmy popłynąć w górę rzeki - podsunął.

- Najpierw muszę sprawdzić Nieustraszonego. - Nita dźgnęła palcem daleką sylwetkę statku. - I idę tam, chcesz czy nie.

Nailer przepatrzył tłum i westchnął.

- Niech ci będzie. Ale to ja pójdę. - Uniósł dłoń, powstrzymując protest. - Jeśli tam jest ta twoja pani kapitan, znajdę ją. A jak ją znajdę, przyjdziemy po ciebie.

- Ale oni cię nie znają.

- Wszyscy chcą tylko ciebie. Ja nikogo nie obchodzę, chyba że jako trop prowadzący do ciebie. Jest szansa, że chociaż trochę się tam rozejrzę. Ciebie rozpoznałoby w sekundę, bo to twoi ludzie, nie moi.

- A twój ojciec?

Nailer westchnął z irytacją.

- Jeżeli boisz się, że on jest na tym statku, to po co tam w ogóle iść? Skoro mnie nie słuchasz i nie chcesz trzymać się od niego z daleka, to ja pójdę się rozejrzeć. Podpłynę niepostrzeżenie i jak będę sam, będzie mi dużo łatwiej. - Skrzywił się. - Nie pokazuj się. Przyjdę po ciebie do domu.

Nie czekając na odpowiedź, pobiegł po deskach i wszedł do czarnej wody. Ruszył ku płynącemu nabrzeżom, płynąc powoli, z dala od głównej wytyczonej w wodzie drogi. Dzięki temu zbliżył się do nich niepostrzeżenie.

Chłodna woda chlupotała wokół niego, ciemność była niemal całkowita. Płynął dalej, kierując się ku pięknemu statkowi. Kiedyś marzył o takich statkach, o tym, że stoi na ich pokładzie, że na nich płynie, a teraz za chwilę będzie się do jednego takiego podkraślał.

Gdy się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że naprawdę zawsze zachwycały go tylko statki o kadłubach z włókna węglowego, z wielkimi żaglami i płatami nośnymi, tnące bezkresne oceany jak nóż, albo przepływające przez biegun. Ciekawe, jak zimno jest na tej północy. Widział zdjęcia pokrytych lodem statków płynących przez polarną noc na drugą stronę świata. To były ogromne odległości, a one pokonywały je tak szybko i płynnie, bez oporu.

Dotarcie do statku zajęło mu piętnaście minut; pod koniec bolały go ręce. Wśliznął się pod podskakujący na wodzie pomost i słuchał. Rozmowy: kobiety i mężczyźni żartowali coś o przepustkach na ląd. Ktoś inny narzekał na ceny zaopatrzenia i miejscowych kanciarzy. Nailer nasłuchiwał, kołysząc się na falach.

Przy trapie stało na warcie dwóch półludzi, kolejnych dwóch pilnowało statku na dziobie i rufie. Zadrżał. Słyszał, że oni widzą w ciemności, zresztą Młotowi też słabe oświetlenie nigdy nie sprawiało kłopotu. Nagle sparaliżował go strach, że zauważą go w tym mroku. Zobaczą go. Oddadzą ojcu i to będzie koniec. Ojciec wypruje mu flaki.

Wsunął się głębiej pod deski, nasłuchując tupania stóp. Paru marynarzy wspomniało coś o kapitanie, ale bez nazwiska, tylko że „kapitan” chce już odbijać. Że „kapitan” ma terminy.

Nailer czekał, licząc, że padnie nazwisko owej świętej kapitan Sung. Podrzucały go fale. Zaczynał marznąć z braku ruchu. Nawet ciepła zwrotnikowa woda wysysała z niego ciepło. Nagle pomost zakołysał się na kotwicach. Zadudniły kroki. Rozległ się jęk motorówki - ktoś zużywał biodiesla, żeby podpłynąć do statku. W ciemności zamajaczyły twarze. Mężczyźni i kobiety z bliznami, o groźnych spojrzeniach. Ktoś wybiegł im na spotkanie.

- Panie kapitanie.

Bez odpowiedzi, druga osoba tylko wysiadła z łodzi. Obejrzała się.

- Trzeba odbijać.

- Tak jest.

Nailer słuchał z bijącym sercem. To nie była kapitan Sung. To był mężczyzna, nie kobieta. I nie miał w sobie nic z Chińczyka. Szczęściara się myliła. Coś się tu zmieniło. Nailer przełknął rozczarowanie. Trzeba będzie znaleźć jakieś inne wyjście.

Kapitan stał prawie dokładnie nad nim. Splunął w wodę opół metra od niego.

- W porcie pełno ludzi Pyce'a - powiedział.

- Ale żadnego statku nie widziałem.

Kapitan znowu splunął.

- Pewnie zakotwiczyli gdzieś dalej i podpłynęli szalupami.

- A co oni tu w ogóle robią?

- Pewnie nic dobrego.

Nailer zamknął oczy. Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem, pomyślał. Kapitan i oficer wchodzili po trapie.

- Z odpływem odchodzimy - powiedział kapitan. - Ma nas tu nie być, zanim przyjdą się z nami rozmówić.

- A reszta załogi?

- Poślij po nich. Ale szybko. Przed świtem ma nas tu nie być.

Oficer zasalutował i odwrócił się ku szalupie. Nailer wziął głęboki wdech. Ryzykowne to było, ale nie miał wyboru. Wypłynął spod pomostu i zawołał:

- Panie kapitanie!

Kapitan i oficer podskoczyli. Wyciągnęli pistolety.

- Kto tam jest?

- Nie strzelajcie! - zawołał Nailer. - Tu jestem.

- Co, do cholery, robisz w tej wodzie?

Nailer podpłynął bliżej do trapu i uśmiechnął się.

- Ukrywam się.

- Wyłaż no. - Kapitan nadal był nieufny. - Niech ci się przyjrzymy.

Nailer wygramolił się z wody, modląc się, żeby to nie był błąd. Zdyszany, kucnął, na pokładzie.

- Portowy szczur - powiedział pierwszy oficer z niesmakiem.

- Laluś. - Nailer skrzywił się do niego i odwrócił do kapitana. - Mam dla pana wiadomość.

Kapitan nie zbliżył się i nie opuścił pistoletu.

- To gadaj.

Nailer zerknął na oficera.

- Tylko dla pana.

Kapitan zmarszczył czoło.

- Jak masz coś do powiedzenia, to mów. - Obejrzał się i zawołał: - Węzeł! Czepiak! Wrzucić tego szczura z powrotem do wody.

Podbiegło dwóch półludzi. Niesamowite, jacy byli szybcy. Dopadli go i chwycili za ręce, zanim zdążył choćby pomyśleć o ucieczce.

- Czekajcie! - jęknął Nailer. Zaszamotał się w żelaznym uścisku półludzi. - Mam dla pana wiadomość! Od Nity Chaudhury!

Nagle sapnięcie. Kapitan i oficer spojrzeli po sobie.

- Co takiego? - zapytał oficer. - Co powiedziałeś? - Podbiegł do przytrzymywanego Nailera. - Co powiedziałeś?

Nailer zawahał się. Można mu wierzyć? Komukolwiek z nich? Zbyt wiele tu było niewiadomych. Ale musiał zaryzykować. Albo się uda, albo właśnie wszedł w pułapkę.

- Nita Chaudhury. Ona tu jest.

Kapitan podszedł bliżej, spojrział ostro.

- Nie kłam, chłopcze. - Chwycił Nailera za twarz. - Kto cię przysłał? Kto ci kazał przyjść z tymi kłamstwami?

- Nikt!

- Gówno prawda. - Kiwnął na jednego z półludzi. - Węzeł, wychłuszcz go do krwi. Niech odpowiada. Chcę wiedzieć, kto go przysłał.

- Nita mnie przysłała! - wrzasnął Nailer. - Ona sama, ty sukinsynu! Mówiłem jej, że trzeba uciekać, ale powiedziała, że panu można zaufać!

Kapitan się zawahał.

- Panna Nita nie żyje od ponad miesiąca. Utonęła. Klan obchodzi żałobę.

- Nie. - Nailer pokręcił głową. - Jest tutaj. Ukrywa się. Wróciła do Orleanu. Próbuje wrócić do domu, ale szuka jej Pyce. Myślała, że panu może zaufać.

Oficer prychnął.

- Jezus Maria. Popatrzcie no, co los przywłókł.

Kapitan wbił wzrok w Nailera.

- Wciążasz mnie w pułapkę? - zapytał. - O to chodzi? Rzucasz przynętę, tak jak oni zrobili z Kim?

- Nie znam żadnej Kim.

Kapitan chwycił go, przyciągnął do siebie.

- Zanim skończę tak jak ona, uduszę cię własnymi flakami. - Odwrócił się. - Wychłostać go. Dowiedzieć się, kto go wysłał. Jak dziewczyna faktycznie tu jest, zaraz idziemy szukać.

Oficer kiwnął głową i odwrócił się. Wtedy kapitan podniósł pistolet i strzelił mu w plecy. Wystrzał poniósł się echem w ciemności, rozbrzmiał głucho nad wodą. Oficer zwałił się na deski. Z lufy pistoletu uniósł się powoli rozwiewający się dym.

Nailer wytrzeszczył oczy na widok trupa. Kapitan odwrócił się z powrotem do półludzi.

- Puścić chłopaka.

Nailer z trudem odzyskał głos.

- Czemu pan to zrobił?

- Pilnował mnie - powiedział po prostu kapitan. A do półludzi dodał: - Obciążyć go i do wody. Potem idźcie z chłopakiem. Z przyływem odbijamy.

- A reszta załogi?

Kapitan się skrzywił.

- Znaleźć mi Wu, Trimble'a, Kota i miczman Reynolds. - Zapatrzył się na wodę. - Ale dyskretnie, do cholery. Nikogo więcej, rozumiecie? - Odwrócił się i spojrzał na Nailera. - Obyś mi nie kłamał. Nie mam ochoty być do końca życia piratem. Lepiej, żebyś mówił prawdę.

- Ja nie kłamię.

Półludzie Węzeł i Czepiak poprowadzili go do szalupy. Wyglądali groźnie i byli potężni. Łódka powoli odbiła od nabrzeża, kierując się w głąb ulic Orleanu.

- Dokąd my płyniemy? - zapytał Nailer. - Ona jest blisko brzegu. Nie trzeba tak daleko wpływać w miasto.

- Najpierw nasi ludzie, potem ona - powiedział Węzeł.

Czepiak kiwnął głową.

- Jej potrzebna ochrona. Lepiej się z nią nie pokazywać, póki nie będziemy gotowi, żeby uciekać.

- Uciekać? Przed kim?

- Przed resztą naszej lojalnej załogi.

Rozdział XIX

Węzeł i Czepiak byli szybcy i skuteczni, szli od baru do walibudy, i znowu do baru, rozglądali się dyskretnie i zabierali kolegów. Przeszukując Orlean, prawie się nie odzywali do Nailera. Reszta załogi była normalnymi ludźmi, nie połowicznymi. Wu: wysoki, jasnowłosy, bez paru palców. Trimble: potężnie umięśniony, z przedramionami jak szynki i wytatuowaną na bicepsie syreną. Kot, o zielonych oczach i spokojnym spojrzeniu. Reynolds, z długim czarnym warkoczem spadającym na plecy, niska, mocno zbudowana, z pistoletem za pasem.

Ją znaleźli pierwszą i od razu objęła dowodzenie. W każdym lokalu rzucała tylko „Nita” i pijani marynarze trzeźwieli, porzucali dziwki i wychodzili, aż wokół nich zebrał się poruszający się szybko krąg mięśni i obnażonej stali, tnący i wypełniający zatopione miasto rozbawiony tłum marynarzy i kupców.

Niesamowite, jak sprawnie się poruszali. Cała grupa zmobilizowała się na sam dźwięk imienia Szczęściary. Niewiarygodne, jak była dla nich cenna. Do niedawna Nailer miał ją po prostu za bogatą dziewczynę, która kupowała sobie potrzebną ochronę - tu jednak chodziło o coś innego, ten uzbrojony, skoncentrowany tłumek karmił się czymś innym. Całkowita lojalność. Silniejsza niż w ekipach na złomiarskiej plaży.

Reynolds pokazała im kolejne lokale.

- A Kalikiego i Michene'a ktoś widział?

Pokręcili głowami. Reynolds się uśmiechnęła.

- Świetnie. Uważajcie na każdego, kogo kojarzycie z innych statków firmy. Wiemy, że fagasy Pyce'a są wszędzie i też polują. - Odwróciła się do Nailera. - Gdzie ona jest?

Nailer wskazał zatopioną rezydencję nad samą wodą. - Tam. Na górze. W jednym z pokojów. Gdzie drzewa wyrastają z dachu.

Kiwnęła na Węzła i Czepiaka.

- Idźcie po nią. - Machnęła na Wu. - Ty sprowadź szalupę.

- Lepiej, żebym ja też poszedł - powiedział Nailer. - Widzieliśmy już tu innych półludzi i byli od Pyce'a. Pomyśli, że też jesteście od Pyce'a.

Reynolds zawahała się.

Kot wzruszył ramionami.

- Kapitan Candless mu wierzy, nie?

- To idź - odparła.

Nailer pobiegł za Wężem i Czepiakiem.

- Na gorze jest - wykrztusił zdyszany. Ruszył przed nimi, pokazując drogę.

Weszli z chłupotem do walącego się domu. Gdy wchodzili na górę, zaskrzypiały przegniłe schody. Było tu dziwnie cicho. Nikogo. Nikogo z pozostałych mieszkańców, ani złomiarzy, ani dokerów. Powinno być pełno chrapiących, śpiących kulisów, wyczerpanych i nieprzytomnych po całym dniu pracy. A była tylko cisza. Ich pokój był pusty, nie licząc zardzewiałego łóżka ze sprężynami.

Nailer zszedł po schodach na zalany parter, kręcąc głową. Półludzie za nim.

- Nic nie rozumiem. Miała...

W wodzie poruszył się jakiś cień, powierzchnia zafalowała. Węzeł i Czepiak warknęli.

- Szczęściara? - zawołał cicho Nailer. - Nita?

Cień zmienił się w potężną, muskularną sylwetkę, siedzącą ciężko pod zbutwiałą ścianą, do pasa w wodzie. Oddychał ciężko w ciemności. Otworzyło się jedno groźne żółte oko, zabłysło w ciemności jak latarnia.

- Twój ojciec ją teraz ma - zadudnił cień.

- Młot! - Nailer podbiegł ku niemu.

Pysk półczłowieka był cały we krwi, lepka maź spływała też po piersi, poranionej ciosami maczety. Policzek miał rozdarty pazurami, jedno oko całkiem zamknięte od opuchlizny, ale był to Młot we własnej osobie.

* * *

- I ty o nią nie walczyłeś? - Kapitan Candless patrzył na Młota niedowierzającym wzrokiem. - Chociaż twój pan życzył sobie, by ją chronić?

Byli teraz na Nieustraszonym, gromadka podupadłych na duchu marynarzy stała wokół Nailera i Młota, a Młot opowiadał, co się stało.

- Chłopak nie jest moim panem - zadudnił Młot. Dotknął krwi cały czas sączącej się z rany ponad na wpół zamkniętym okiem.

Kapitan popatrzył nań spode łba i podszedł do relingu. Świt rozjaśniał niebo bladą szarością, oświetlając pływające pomosty i dalekie, spowite mgłą budynki zatopionego Orleanu.

- Mówili, że zabierają ją na statek? Pewien jesteś?

- Tak. - Młot popatrzył na Nailera. - Ojciec ubolewał, że nie było cię razem z nią. Chciał nawet, żeby statek poczekał na niego, bo musi cię poszukać. Ten człowiek ma wobec ciebie plany.

- A ty sobie siedziałeś i słuchałeś, kiedy to wszystko się działo? - zapytała miczman Reynolds.

Młot zamrugął raz, powoli.

- Richard Lopez miał bardzo wielu półludzi. Dobrze uzbrojonych. Ja nie zwykłem rzucać się do walki, której nie da się wygrać.

Węzeł i Czepiak skrzywili pyski na odpowiedź Młota i zaburzeli gardłowo, pogardliwie.

Młot nawet nie drgnął, popatrzył tylko na nich.

- Ta dziewczyna jest waszą panią, nie moją. Wam się podoba ginąć za swoich właścicieli, to wasza sprawa.

Na te słowa Nailer drgnął. Kryło się w nich wyzwanie, a ci dwaj półludzie je wyczuli. Warknęli głośniejsze. Postąpili krok naprzód.

Kapitan zatrzymał ich machnięciem ręki.

- Węzeł! Czepiak! Pod pokład. Ja się tym zajmę.

Warkot się urwał. Nadał łypali groźnie, odwrócili się jednak i zesłi którąś ze schodni, znikając pod pokładem. Kapitan zwrócił się z powrotem do Młota.

- Powiedzieli, jak się ten statek nazywa?

Młot pokręcił wielką głową.

Miczman Reynolds ścisnęła w namyśle wargę palcami.

- Jest tu parę statków. Siedem Sióstr wozi pasażerów na trasie północ-południe. Raja na czarterach. Matka Ganga wiezie złom do Cancun. - Wzruszyła ramionami. - Więcej nie ma, póki nie będzie po żniwach i po Missisipi nie zaczną spławiać zboża.

- Czyli Raja - stwierdził kapitan. - To będzie Raja. Pan Marm aż nadto szybko stanął po stronie Pyce'a, kiedy odsunięto od władzy ojca Nity. To musi być Raja.

Nailer zmarszczył brwi. Coś mu w tej liście statków nie pasowało.

- Są na tej liście jeszcze jakieś statki?

- Żaden, który miałby półludzi w załodze.

Zagryzł wargę, usiłując sobie przypomnieć.

- Był taki statek, inny, to znaczy, inaczej się nazywał, który wpędził Szczęściarę w sztorm. Duży. Do pływania na północ... Północny rejs, czy coś?

Reynolds i kapitan wytrzeszczyli nań oczy.

Nailer zmarszczył czoło we frustracji.

- Północny ekspres? Polarny rejs? Biegun Północny? - spróbował. - Polarnik?

- Gwiazda polarna?. - podsunął z nagłym zainteresowaniem kapitan.

Nailer kiwnął niepewnie głową.

- Chyba.

Reynolds i kapitan spojrzeli po sobie.

- Paskudna nazwa - mruknęła ona.

Kapitan spojrział ostro na Nailera.

- Pewien jesteś? Gwiazda polarna?

Nailer pokręcił głową.

- Pamiętam tylko, że statek do opływania biegun.

Candless skrzywił się.

- Obyś nie miał racji.

- A co, to coś zmienia?

Candless pokiwał głową.

- Dla ciebie nic. - Zerknął na Reynolds. - Nawet jeśli to jest Polarna, nie powinni się jeszcze zorientować, że jesteśmy wrogami. Nikt z was się niczym na łodzi nie zdradził.

- Poza panem - stwierdziła sucho Reynolds.

- Nasz świętej pamięci pierwszy oficer raczej im nie doniesie. - Kapitan znowu się zamyślił. - Możemy wygrać. Odrobina podstęp, ich zaufanie i może się udać. Trochę podstęp, palec Mojry...

...i ofiara z krwi - mruknął ktoś.

Kapitan wyszczerzył zęby.

- Jest na Rai albo Polarnej ktoś pewny?

Wszyscy pokręcili głowami.

- Przetasowywali załogi - powiedziała Reynolds. - Zdaje się, że Leo i Fritz wylądowali na Rai.

- A ty im ufasz?

Reynolds uśmiechnęła się, odsłaniając czarne od betelu zęby.

- Prawie tak, jak panu.

- Ktoś jeszcze?

- Li Yan?

Kot pokręcił głową.

- Nie. Jeśli tam była, to już po niej.

Nailer patrzył, nie rozumiejąc. Kapitan zerknął na niego.

- Oj, chłopaku, w paskudną wojnę się wpakowałeś. W klanie armatorów mamy drobny spór o przywództwo.

- Gawron - powiedział nagle Trimble. - Gawron zostałby lojalny.

- A on jest na Gwieździe polarnej.

- Tak.

- I to by było tyle, prawda? - Gdy nie odezwał się nikt więcej, kapitan kiwnął głową. - No cóż. Plan jest taki: polujemy na zdradzieckich fagasów Pyce'a, zdobywamy ich statek, uwalniamy pannę Nitę i ratujemy firmę z łap uzurpatora. - Skinął na załogę. - Wypływamy. Reynolds, awansuję cię, skoro biednemu Henry emu się utonęło.

Reynolds uśmiechnęła się.

- I tak wszystko za niego robiłam.

- Gdybym nie wiedział, to bym się go nie pozbył. Załoga rozbiegła się do pracy, zaczęła oddawać cumy i podnosić kotwice.

Młot pozbierał się i wstał.

- Zaczekajcie - powiedział. - Ja z wami nie płynę.

Nailer odwrócił się zdziwiony.

- Idziesz?

- Nie pragnę śmierci na morzu. - Pólczłowiek na moment odsłonił zęby w drapieżnym uśmiechu. - Nailer, jeśli masz choć trochę rozumu, pójdziesz ze mną. Dasz sobie spokój.

Kapitan popatrzył na niego z zaciekawieniem.

- To kto jest twoim panem? - zapytał. - Nie ten chłopak, nie panna Nita. To kto?

Młot spojrział nań niewzruszony.

- Nikt.

Kapitan zaśmiał się niedowierzająco.

- Niemożliwe.

- A myśl sobie, co chcesz. - Pólczłowiek odwrócił się i pokuśtykał na nabrzeże.

Nailer pobiegł za nim.

- Czekaj! Czemu nie popłyniesz z nami?

Młot się zatrzymał. Rozejrzał się po załodze, potem wbił spojrzenie jednego rozgorączkowanego oka w Nailera.

- Obiecałem Sądnie, że będę cię chronić. Ale przed twoją własną głupotą cię nie ochronię. Skoro chcesz ryzykować życie na morzu, mnie to już nie obchodzi. Masz nową ekipę, jak się zdaje. Mój dług wobec Sądny jest spłacony.

- Ale co ze Szczęściarą?

Młot spojrział na Nailera.

- To zaledwie jedna osoba. Ci tutaj myślą sobie, że jest nieskończenie cenna. Ale to

tylko jedna osoba, która zginie, jeśli nie dzisiaj, to kiedy indziej. - Wskazał głową krzątanicę na statku. - Albo idziesz ze mną, albo ryzykujesz życie z tymi tutaj. Twój wybór. Tylko wiedz, że to są fanatycy.

Zginą za swoją pannę Nitę. Jeśli popłyniesz z nimi, bądź gotów zrobić to samo.

Nailer zawahał się. Z Młotem byłby bezpieczny. Mogliby pojechać gdziekolwiek.

W jego myśli wtargnęła twarz Nity, zadowolona z siebie mina, gdy szydziła z niego, że nie je nożem, widelcem i łyżką. I dla kontrastu jej gorączkowe ponaglenia o lekarstwo dla jego barku, kiedy był dla niej jeszcze tylko zwykłym złomiarzem. I wreszcie, ten wyraz jej oczu, kiedy chowali się pod pomostem. Dłoń na jego policzku.

- Płynę - odparł stanowczo.

Młot przypatrzył mu się.

- Więc tak. Jak mastiff: jak złapiesz coś w zęby, to już nie puszczasz. Dokładnie jak twój ojciec. - Nailer już miał się odciąć, lecz Młot uciszył go machnięciem ręki. - Nie kłóć się z oczywistościami. Lopez też nigdy nie pozwalał, żeby ktoś mu stanął na drodze. - Pokazał na moment zęby. - Tylko pomyśl, czy czasem nie masz w tych zębach czegoś większego od siebie. Widziałem kiedyś, jak psy okrążyły wielkiego warana z Komodo i wszystkie zginęły, bo nie miały dość rozumu, żeby się wycofać. Twój ojciec to więcej niż taki waran. Jak cię złapie, zarżnie cię na miejscu. A ten statek handlowy to żaden okręt wojenny, wbrew temu, co sobie głupio myśli jego kapitan.

Nailer już miał odpowiedzieć, odważnie i zuchwale, ale coś w oczach Młota go powstrzymało.

- Rozumiem. Będę uważał.

Młot kiwnął szorstko głową i odwrócił się, by odejść, ale się zatrzymał. Przysiadł, pochylił głowę ku niemu. Przyjrzał mu się ocalałym okiem, oddech cuchnął mu krwią.

- Posłuchaj mnie, chłopcze. Mnie naukowcy stworzyli z genów psów, tygrysów, ludzi i hien, ale ludzie zawsze myślą, że jestem tylko ich psem. - Przeskoczył wzrokiem ku kapitanowi, błysnął ostrymi zębami w krótkim uśmiechu. - Jak przyjdzie do walki, nie wypieraj się swojej krwawej natury. Nie jesteś Richardem Lopezem, nie bardziej niż ja jestem posłusznym psem. Krew to nie przeznaczenie, obojętne, co sobie myślą inni. - Wstał i odwrócił się. - Powodzenia, chłopcze. I udanych łowów.

Kapitan patrzył, jak półczłowiek kuśtyka po trapie.

- Dziwne z niego stworzenie.

Nailer nie odpowiedział. Podnosili kotwice. Trap złożył się i schował we wgłębieniu na burcie klipra. Młot już prawie zniknął mu z oczu. Nailer poczuł się nagle samotny. Miał

ochotę za nim zawołać. Albo i pobiec... Spojrzał na uwijających się marynarzy, zajętych zadaniami, których on w ogóle nie rozumiał. Byli ekipą, załogą, znali się nawzajem i znali swoją pracę. Poczul się potwornie nie na miejscu.

Blade żagle rozwinęły się i załopotwały na wietrze. Bom przeleciał nad pokładem, wszyscy pochylili się, żeby nim nie oberwać. Żagle wypełniły się powietrzem, pociągnięty nimi statek przechylił się lekko na bok. Odplywali, napędzani coraz silniejszym porannym wiatrem.

Kapitan kiwnął na Nailera.

- Chodź, chłopcze, do kabiny. Muszę ci się przyjrzeć.

Nailer chciał zostać na pokładzie, patrzeć na krzątanicę załogi, może wypatrzyć jeszcze Młota na nabrzeżu. Pozwolił jednak kapitanowi sprowadzić się po wąskich stopniach do ciasnego wnętrza statku.

Kapitan otworzył drzwi swojej kabiny. Większość miejsca wypełniała wąska koja. Okienko wychodziło na rufę. W blasku świtu było widać rozchodzący się za nimi biały kilwater, kreślący literę V na nadal szarej wodzie. Kapitan skinął na Nailera, żeby rozłożył siedzenie. Sam opuścił drugie, niemal całkowicie wypełniając pomieszczenie.

- Przestrzeń jest tu na wagę złota - powiedział. - Statek jest dla ładunku. Za wygodnie nie mamy.

Nailer kiwnął głową, choć nie rozumiał, o czym kapitan mówi. Statek był przepiękny. Wszystko czyste, wszędzie porządek. Nikt chyba nie spał w pomieszczeniu z więcej niż trzema innymi osobami. Hamaki miały wszystkie sznurki całe. Nic się nie walało. Nie takie luksusy, jak na statku, z którego wyratowali Szczęściarę, ale naprawdę niewiele gorzej.

- Powiedz mi, Nailer, skąd ty naprawdę pochodzisz?

- Z Bright Sands Beach.

- Nie znam.

- Na wybrzeżu, na wschód, może ze sto mil stąd - powiedział Nailer.

- Ale tam nic nie ma... - Kapitan zmarszczył brwi. - Ty jesteś złomiarzem? Ze stoczni rozbiórkowej? - Gdy Nailer skinął głową, tamten się skrzywił. - Mogłem zgadnąć, po twoich żebrach i tatuażach. - Przyjrzał się poznaczonej skórze Nailera. - Paskudna robota.

- Ale dobrze płacą.

- Ile masz lat? Czternaście? Piętnaście? Jesteś taki zagłodzony, że trudno poznać.

Nailer wzruszył ramionami.

- Pima miała chyba szesnaście. A była ode mnie starsza... - Wzruszył ramionami.

- Czyli nie wiesz?

Kolejne wzruszenie ramion.

- To nieważne. Albo jesteś wystarczająco mały, żeby nadać się do lekkiej ekipy, albo wystarczająco duży do ciężkiej, a i tak, jak jesteś za głupi, zbyt leniwy, albo niepewny, to nie idziesz ani tu, ani tu, bo nikt za ciebie nie poręczy. Więc tak: nie wiem ile mam lat. Ale dostałem się do lekkiej ekipy i codziennie wyrabiałem przydział. Bo tam u mnie to się liczy. A nie jakiś durny wiek.

- Nie denerwuj się. Po prostu jestem ciekaw. - Wydawało się, że kapitan pociągnie temat, on jednak przeskoczył na Richarda Lopeza. - Półczłowiek mówił, że ściga cię twój ojciec?

- Tak. - Nailer opowiedział o plaży, o swoim ojcu, o tym, jak to jest na wrakach. Opisał, jak sobie ojciec radzi z ludźmi, którzy wejdą mu w drogę.

- Czemu ty po prostu nie skorzystałeś z okazji? - zapytał kapitan. - Łatwiej by ci było. A na pewno lepiej byś zarobił. Pyce nie ma problemu z kupowaniem sobie lojalności. Gdybyś po prostu sprzedał pannę Nitę, byłbyś bogaty i bezpieczny.

Nailer wzruszył ramionami.

Twarz kapitana stężała.

- Masz mi odpowiedzieć. Idziesz wbrew własnej krwi. Może sobie coś przemyślałeś. Może jeszcze chcesz się dogadać z własnym ojcem.

Nailer zaśmiał się.

- Ojciec nie da nikomu szansy, żeby coś sobie przemyślał. Gada, jak to rodzina powinna się trzymać razem, ale naprawdę chodzi o to, że mam mu dawać kasę, żeby mógł ciągnąć kryształ i żebym pilnował, kiedy on zaćpa, żeby wszystko było w domu w porządku, a on mnie będzie lał, kiedy zechce. - Skrzywił się. - Szczęściara to bliższa rodzina niż on.

Gdy tylko to powiedział, zdał sobie sprawę, że to prawda. Mimo że tak krótko ją znał, miał do niej zaufanie. Takich ludzi mógł policzyć na palcach jednej ręki, a na pierwszych miejscach tej listy były Pima i Sadna. I właśnie Szczęściara, o dziwo. Była rodziną. Poczul obywatelską tęsknotę.

- Więc po prostu pragniesz zemsty - powiedział kapitan.

- Nie. Ja po prostu... - Nailer pokręcił głową. - Nie chodzi o mojego ojca. Chodzi o Szczęściarę. Jest w porządku, tak? Jest warta stu osób z niektórych moich dawnych ekip. Tysiąc takich jak mój ojciec. - Załamał mu się głos. Wziął głęboki wdech, spróbował wziąć się w garść. Z powrotem podniósł wzrok na kapitana. - Z moim ojcem nie zostawiłbym nawet zdechłego psa, a co dopiero Szczęściary. Muszę ją odbić.

Kapitan przyjrzał mu się z namysłem. Zapadło długie milczenie.

- Ty nieszczęsny biedaku - mruknął w końcu.

- Ja? - zdziwił się Nailer. - A czemu?

Kapitan uśmiechnął się skrępowany.

- Wiesz, że panna Nita należy do jednego z najpotężniejszych klanów spedycyjnych na północy?

- No i?

- Nic. Nieważne. - Westchnął. - Panna Nita na pewno ucieszy się na wieść, że budzi taką lojalność u złomiarza.

Nailer poczuł, jak twarz płonie mu ze wstydu. Według kapitana zachowywał się jak wygłodniały kundel, goniący za łydkami Szczęściary, liczący na jakiś ochłap. Chciał coś powiedzieć, jakoś sprawić, żeby zmienił zdanie. Żeby brał go poważnie. Kapitan widział złomiarza, wytatuowanego w robocze znaki, z bliznami od ciężkiej pracy. Dzieciaka ze sterczącymi żebrami. I tyle. Płazowego śmiecia.

Łypnął na niego groźnie.

- Szczęściara kiedyś patrzyła na mnie tak samo jak pan. A teraz już nie. Dlatego z panem popłynąłem. Nie ma innego powodu. Rozumie pan?

Kapitan miał dość kultury, żeby okazać zakłopotanie. Odwrócił wzrok i zmienił temat.

- Szczęściara. Słuchaj, a to przezwisko? Skąd się wzięło?

- Bo Mojry za nią stoją. Przeszedł nad nią niszczyciel miast, wszyscy inni na jej statku zginęli. To szczęście, jakiego nikt nie ma.

- A tam u was ceni się szczęście.

- U nas. Tak, u złomiarzy lubi się szczęście. Na wrakach nie bardzo jest się na czym oprzeć.

- Umiejętności? Ciężka praca?

Nailer zaśmiał się.

- Przydają się. Ale tylko o tyle o ile. Niech pan spojrzy na siebie. Ma pan lalusiowaty statek i żyje pan jak lalusz.

- Ciężko pracowałem, żeby do tego dojść.

- Ale i tak urodził się pan jako lalusz - stwierdził Nailer. - Matka Pimy pracuje tysiąc razy ciężiej od pana i nigdy nie będzie żyć tak dobrze, jak pan na tym swoim statku. - Wzruszył ramionami. - Jak to nie jest urodzenie się w czepku, to ja nie wiem.

Kapitan już miał zamiar odpowiedzieć, ale tylko kiwnął głową.

- Dla ciebie to chyba nawet nasz pech jest szczęściem.

- Chyba że chodzi o śmierć - odparł Nailer. - Ale raczej nic innego.

- No cóż, na razie nie planuję umierać.

- Nikt nie planuje.

Kapitan uśmiechnął się szeroko.

- Patrzcie państwo, prawdziwą wyrocznię tu sobie sprowadziłem. - Wstał. - Trzeba cię będzie kiedyś poprosić, żebyś powrócił mi z kości. Na razie mogę przepowiedzieć chociaż tyle, że zamierzam cię zatrzymać na pokładzie. - Zlustrował Nailera od stóp do głów.

- Trzeba cię będzie domyć, znaleźć jakieś ubranie, dać porządny posiłek. - Gestem wskazał mu drzwi i wąski korytarzyk za nimi. - A potem dopilnuję, żebyś nauczył się obchodzić z pistoletem.

- O? - Nailer starał się ukryć zainteresowanie.

- Ten twój półczłowiek, ten Młot, w jednym miał rację. Jeśli mamy odebrać pannę Nitę, bez walki się nie obędzie. Ludzie Pyce'a tak łatwo jej nie oddadzą.

- Myśli pan, że dacie im radę?

- Oczywiście. Pyce nas kiedyś wziął z zaskoczenia, ale drugi raz go nie zlekceważymy. - Klepnął Nailera po ramieniu. - Trochę szczęścia i panna Nita w okamgnieniu będzie bezpieczna w domu.

Statek wypływał na otwarte morze. Gdy wyszedł z osłony zatoki, pod kadłubem zakłębiły się fale. Nailer zachwiał się w korytarzu, próbując utrzymać równowagę. Kapitan przyglądał się mu.

- Szybko się nauczysz, nie przejmuj się. A poza tym, kiedy staniemy na płatach, to będzie prawie jak na stałym lądzie.

Nailer nie był przekonany. Pokład uciekł mu spod stóp i posłał go na ścianę. Kapitan popatrzył rozbawiony, po czym przeszedł korytarzem, niewzruszony kołysaniem statku.

Nailer zatoczył się za nim.

- Panie kapitanie?

Kapitan odwrócił się.

- Ten wasz Pyce może i jest zły, ale mojego ojca też niech pan nie lekceważy. Co prawda wygląda jak ja, chudy i cały pocięty, ale to chodząca śmierć. Spuści pan go z oka na sekundę, to zabije pana jak karalucha.

Kapitan kiwnął głową.

- Ja bym się tak nie przejmował. Skoro ludzie Pyce'a jeszcze mnie nie zabili, to twojemu ojcu też się nie uda. - Odwrócił się i wyprowadził Nailera na pokład.

Gdy wyszli na świt, poczuł na twarzy uderzenie wiatru. Jaśniało, złota fala

rozchodziła się po oceanie. Nieustraszony nurkował w migotliwe fale, prując ku głębszej wodzie.

Na polowanie.

Rozdział XX

Biała piana przelała się nad dziobem Nieustraszonego i opryskała Nailera chłodnymi, skrzącymi się kropelkami. Krzyknął z radości i wychylił się mocno przez reling, gdy statek zanurkował pomiędzy dwie kolejne fale, a potem zadarł dziób ku niebu.

To, co z oddali, na horyzoncie, wydawało się gładkim szybowaniem, na dziobie Nieustraszonego okazało się jazdą po wybojach. Potężne fale pędziły ku niemu i wybuchały pianą, gdy przecinał je lekki kadłub. Na wszystkich pokładach załoga nawoływała się i uwijała pod palącym słońcem: ustawiano żagle, ćwiczone alarmy przeciwpożarowe, usuwano rzeczy z pokładu, przygotowując się do walki, na którą wszyscy bardzo liczyli.

Nieustraszony patrolował błękitne wody zaledwie o parę mil od Orleanu, licząc, że gdzieś mignie mu potencjalny cel. Wszyscy mieli nadzieję, że to będzie Raja, a na Rai - Nita. Nieustraszony miał znaczną przewagę nad tym słabo uzbrojonym statkiem, za to wszyscy bali się tego drugiego - Gwiazdy polarnej. Nawet kapitan się go obawiał. Candless był zbyt dobrym dowódcą, żeby się do tego strachu przyznać, Nailer widział jednak, jak twarz mu kamieniała na każde wspomnienie trans biegunowego szkunera i myśl o ewentualnej nierównej walce.

- Jest szybka i ma taaakie zęby - powiedziała Reynolds, gdy Nailer zapytał. - Ma opancerzony kadłub, wyrzutnie rakiet i torped, może nas wysadzić, zanim zdążymy pomodlić się przed śmiercią.

Wyjaśniła, że Gwiazda jest jednocześnie statkiem handlowym i okrętem wojennym, zaprawionym w bojach z syberyjskimi i inuickimi piratami podczas rejsów przez biegun do Nipponu. Piraci zawzięcie polowali na floty handlowe i nie wahali się wszystkich pozabijać albo zatopić całego ładunku w zemście za zatopienie ziem ich przodków. Nie było już polarnych niedźwiedzi, a foki były rzadkością, ale kiedy otworzyły się północne przesmyki, zaczęła tam występować nowa i tłusta zwierzyna łowna: kupcy płynący na skróty do Europy i Azji, albo na drugą stronę - do Nipponu i na otwarty Pacyfik, przez szczyt roztopionej Arktyki. Syberyjczycy i Inuici po zniknięciu lodu stali się wilkami morskimi. Zaczęli polować na swe nowe ofiary tak jak niegdyś na foki i niedźwiedzie, a apetyt mieli niespożyty.

Gwiazda polarna zaś lubowała się w tych spotkaniach, a nawet przywabiała myśliwych.

Niemniej, Reynolds mimo ostrzeżeń Nailera stwierdziła, że najpewniej spotkają Raję.

- Gwiazda polarna jest po drugiej stronie globu - powiedziała.

- Ale Szczęściara...

- Panna Nita mogła się pomylić. W czasie sztormu i ucieczki każdy mógłby się pomylić.

- Szczęściara nie jest głupia.

Reynolds rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Nie powiedziałam, że jest głupia. Powiedziałam, że mogła się pomylić. Plan rejsu Gwiazdy polarnej mówi, że dopiero co wypłynęła z Tokio, a i to przy pomyślnych wiatrach. Nic bliżej.

Praca na pokładzie trwała dalej. Zdumiewającą liczbę rzeczy mieli zautomatyzowaną. Żagle mogli elektrycznie podnosić i opuszczać, prądem z baterii słonecznych. Same żagle też nie były z tkaniny, ale z elastycznych ogni słonecznych, mających dostarczać statkowi dodatkowej energii oprócz ogni, którymi były wyłożone wszystkie dachy. Mimo całej tej elektroniki i automatyzacji, kapitan Candless i tak, na wszelki wypadek, kazał wszystkim ćwiczyć ręczne refowanie żagli czy wypompowywanie wody. Klął się, że cała technika na świecie nie uratuje żeglarza, który nie myśli i nie zna swojego statku.

Załoga Nieustraszonego swój statek знаła.

Marynarze wchodzili na maszty, sprawdzali wszystkie bloki i knagi pod kątem rdzy i uszkodzeń. Obok Nailera, Kot z drugim marynarzem nabijali wielkie działko Buckella, stojące prawie na dziobie - upychali do lufy spadochronowy żagiel i sprawdzali linkę z monowłókna - cienką jak pajęczyna i mocną jak stal, nawiniętą na lśniącą szpulę obok działka.

Jeśli nawet ktoś z nich przejmował się, że w porcie została część załogi, nie wspominał o tym ani słowem. Kapitan mruczał, że i niektórzy z obecnych marynarzy woleliby innego pana, teraz jednak nie miało to żadnego znaczenia. Byli na morzu i nawet jeśli mieli urazę, chowali ją dla siebie. Zwarta grupa ludzi oddanych Candlessowi trzymała resztę w ryzach, dzięki czemu Nieustraszoney pędził po falach Zatoki Meksykańskiej, patrolując i czekając na ofiarę.

Pierwszej nocy Nailer spał w miękkiej koi i obudził się z obolałymi plecami, nieprzyzwyczajony do zapadania się w materacu - zawsze leżał na piasku, palmowej plecionce lub twardych deskach - drugiego dnia zaś poczuł się tak rozpieszczony, że zachodził w głowę, jak będzie spał, kiedy wróci na plażę.

W ogóle nie dawało mu to spokoju: kiedy wróci na plażę?

A w ogóle tam wróci?

Jeśli wróci, będzie na niego czekać ojciec albo ktoś z jego ekipy. Będą chcieli mu odplacić. Jednakże nikt na statku nie sugerował, że będzie mógł tutaj zostać. Był niczyj.

Chlupnięcie wody wyrwało go z zamyślenia. Statek przeciął grzbiet kolejnej fali, opryskując go i odrywając od relingu. Zaczął ślizgać się po pokładzie, póki linka asekuracyjna nie zatrzymała go ostrym szarpnięciem. Przyczepił się do relingu, żeby nie zmyło go za burtę, ale ogromne niebieskozielone fale przelewające się nad dziobem i spływające po pochyłym pokładzie miały zadziwiający impet. Spadła na nich kolejna taka fala. Wytrząsnął z oczu morską wodę.

Reynolds roześmiała się.

- Zobaczysz jeszcze, jak to wygląda, jak naprawdę szybko płyniemy.

- Myślałem, że teraz szybko płyniemy.

- O nie. - Pokręciła głową. - Zobaczysz kiedyś, jak puścimy wysokie żagle. Wtedy się nie płynie, wtedy się leci. - Jej wzrok się zamglił. - Naprawdę się leci.

- Czemu nie teraz?

Pokręciła głową.

- Musi być odpowiedni wiatr. Nie strzela się z Buckella, jeśli nie zna się wiatrów tam na górze. Najpierw puszcza się latawce, sprawdza, jak tam jest, a potem, o ile warunki są odpowiednie, woda, wiatr... - Wskazała na działko. - Strzela się z tego maleństwa i łódka wyskakuje z wody, jak z katapuły.

- I się leci.

- Właśnie.

Nailer zawahał się i dodał:

- Chciałbym to zobaczyć.

Reynolds spojrzała nań z namysłem.

- Może zobaczysz. Jeśli będzie trzeba uciekać, pewnie cały czas będziemy lecieć ślizgiem.

- Nie, nie. Chodziło mi... jak uratujemy Szczęściarę. Chcę z wami popłynąć. Obojętne gdzie.

- Uważaj, co mówisz. Tu się ciężko pracuje.

- To ma mnie odstraszyć? Ja się pracy nie boję.

- Na razie widzę tylko, że stoisz i gapisz się na fale. Nailer wbił w nią wzrok.

- Będę robić, co tylko pani zechce, tylko mnie weźcie. Wystarczy powiedzieć. Nie boję się żadnej pracy.

Reynolds wyszczerzyła zęby.

- Wyślemy cię na maszt i się okaże.

Nailer nawet nie mrugnął.

- Pójdę.

Za jej plecami pojawił się kapitan.

- Co tam za afera?

Reynolds uśmiechnęła się.

- Nailer chce do pracy.

Kapitan zrobił zatroskaną minę.

- Wiele osób chciałoby pracować na klipkach. Są całe klany, które zajmują się tylko tym. Rodziny, które wkupują chłopaka na majtkę i liczą, że awansuje. Cała moja rodzina pływa na klipkach od trzech pokoleń. To spora konkurencja.

- Dam radę - nalegał Nailer.

- Hmm - powiedział tylko kapitan. - Może lepiej wrócimy do tej rozmowy, jak znajdziemy naszą pannę Nitę.

Nailer nie był pewien, czy kapitan naprawdę chce tę kwestię odłożyć, czy po prostu kulturalnie mu odmawia. Chciał jeszcze przycisnąć, ale nie wiedział jak to zrobić, żeby kapitan się nie wściekł.

- Naprawdę pan myśli, że znajdziemy Szczęściarę i ją odbijemy? - zapytał zamiast tego.

- No, parę sposobów się ma - odparł Candless. - Jeśli Rają dalej dowodzi pan Marn, to podpłyniemy mu do nadburcia zanim się zorientują. - Uśmiechnął się. - Ale jeśli to pani Chavez, walka będzie jak mało kiedy. Nie jest głupia, załogę ma twardą, krew poleje się po obu stronach.

- Nie, to nie będzie Polarna - zapewniła Reynolds.

- Na obu statkach są półludzie? - zapytał Nailer.

- Paru tak - odpowiedział kapitan. - Ale na Gwieździe polarnej augmenty to prawie połowa załogi.

- Augmenty?

- Ci twoi półludzie. Nazywamy ich tak, bo to więcej niż ludzie.

- Jak Młot.

- O, z tego to był dziwny stwór. W życiu nie słyszałem, żeby firmę złomiarską było stać na kogoś takiego do ochrony.

- On nie był u Lawsona & Carlsona. Był niezależny.

Kapitan pokręcił głową.

- Niemożliwe. Augmenty nie są takie jak my. Mają jednego pana. Kiedy go stracą, umierają.

- Zabija się ich?

- Nie, no skąd. - Zaśmiał się. - Tęsknią. Są bardzo lojalni. Nie potrafią żyć bez pana. Mają to w swoich psich genach.

- Młot nie miał żadnego pana.

Kapitan kiwnął głową, choć Nailer wiedział, że nie wierzy. Dał sobie spokój. Po co ma pomyśleć, że jest niespełna rozumu.

Ale nad Młotem zaczął się zastanawiać. Wszyscy, którzy znali się na półludziach i orientowali w ich genetyce, mówili, że ktoś taki jak Młot nie może istnieć. Że nie ma niezależnych półludzi. Tymczasem Młot zostawił tylu panów. Pracował dla Fuksiarza, dla Richarda Lopeza, potem dla Sądney, chronił jego i Szczęściarę, a potem po prostu odszedł, kiedy przestało mu to pasować. Ciekawe, co robi teraz.

Kapitan Candless wyrwał go z zamyślenia, wyciągając pistolet.

- Mało, a bym zapomniał - powiedział, podając go Nailerowi. - Obiecałem ci wcześniej. Przyda się, jak znajdziemy nasz statek. Będziesz musiał poćwiczyć. Kot będzie szkolił załogę, pouczysz się razem z nimi. Abordaż i inne takie.

Nailer uniósł w dłoni lekki pistolet, tak różny od wszystkich, jakie dotąd widywał u innych ludzi.

- Jaki lekki.

Kapitan parsknął śmiechem.

- Da się z nim nawet pływać. Nie będzie cię ciągnął w dół. To jest penetracyjna amunicja. Przebija ciało nie ciężarem, no, w każdym razie nie tylko, ale ruchem wirowym nadanym przez lufę. Jest trzydzieści strzałów. - Podał mu także nóż do walki. - Wiesz, jak się tym posługiwać? - Wskazał miękkie części ciała. - Nie skupiaj się na śmiertelnym ciosie i nie celuj w głowę. Będziesz dalej sięgał. Trzymaj się nisko i wal w brzuch, kolana, nogi, z tyłu. A jak już leżą...

- Poderżnij im gardło.

- Zuch chłopak! Krwiożerczy zbój z ciebie, co?

Nailer wzruszył ramionami, wspomniawszy gorącą krew Niebieskookiej na rękach.

- Mój ojciec jest całkiem sprawny z nożem - powiedział. Odegnął to wspomnienie. - Kiedy będziemy walczyć, jak myślicie?

- Na razie patrolujemy. Powinniśmy zauważyć każdy statek w promieniu piętnastu mil. Przez lunety przyjrzymy im się dobrze, potem zdecydujemy, czy ich ścigać, czy udawać

swoich. - Wzruszył ramionami. - Nie wiemy, co oni planują. Może chcą się zamelinować na południu, przeczekać wojnę w zarządzie na północy, ale ja w to nie wierzę. Na pewno popłyną na północ i spróbują nawiązać kontakt z Pyce'em.

Kapitan odwrócił się i ruszył na mostek. Odchodząc, wskazał pistolet Nailera.

- Masz poćwiczyć. Żebyś trafił w to, w co wycelujesz.

Nailer zebrał się na odwagę i zawołał za nim:

- Panie kapitanie!

Gdy Candless odwrócił się, dodał:

- Skoro ufa mi pan na tyle, żeby dać pistolet, może powierzyłby mi pan jeszcze jakąś pracę? - Objął gestem pełen krzątaniny pokład. - Na pewno do czegoś można mnie wykorzystać.

- Jak kleszcz na psie. Jak się przyczepi, to koniec. - Reynolds pokręciła głową.

- Chcę tylko na coś się przydać.

Kapitan przyjrzał mu się z namysłem, potem kiwnął na Reynolds.

- No dobra. Odepnij go i niech się na coś przydaje.

Reynolds spojrzała nań badawczo.

- No i udało ci się, chłopcze. - Uśmiechnęła się. - Chyba mam coś w sam raz dla ciebie.

Poprowadziła go pod pokład, do maszynowni, gdzie mieściły się hydrauliczne systemy statku. Panował tam półmrok. Z podłogi pozdejmowano osłony i ułożono w pojemniku. Pod podłogą było widać potężne pozazębiane tryby, pokryte lśniąca warstwą oleju. Obok paneli sterujących paliły się małe diodowe wskaźniki. Pachniało smarem i metalem. Nailer poczuł lekką tęsknotę. Przypomniało mu to lekką ekipę.

Potężna sylwetka wyczołgała się pomiędzy trybów i podniosła. Wybałuszyła na nich zwierzęce żółte oczy. Węzeł.

- Nailer chce się na coś przydać - powiedziała Reynolds.

Węzeł obejrzał go sobie, wężąc psim pyskiem. Potem kiwnął głową.

- Dość mały. Przyda się.

Gdy Reynolds poszła, dał Nailerowi puszkę ze smarem i smarownicę do przypasania do pleców i zagonił do smarowania trybów otwierających płaty nośne żaglowca. Wskazał, w którym miejscu ma wejść przez właz w podłódze do przekładni, której niektóre koła miały ponad metr średnicy.

- Dopilnuj, żeby każdy tryb najpierw odtłuścić, potem nasmarować z powrotem. Dokładnie. Nie wolno dopuścić, żeby pojawiła się tam rdza. Ale za długo tam nie siedź.

Kapitan wie, że serwisujemy ten układ, włączyliśmy też blokady. - Wskazał szereg dźwigni i diodowych wskaźników obok trybów. - Teoretycznie nikt nie jest w stanie wysunąć płatów, kiedy są zablokowane, ale... - wzruszył ramionami -...wypadki chodzą po ludziach. Widziałem, jak mechanicy tracą rękę, bo ktoś zapomniał sprawdzić blokadę, więc, nawet jak wiesz, że nikt nie może opuścić płatów, lepiej się nie grzebać.

Nailer przyjrzał się groźnie wyglądającym trybom. Zęby załśniły tępo, jakby miały ochotę go zmielić.

- Aż tak źle?

- Płaty wysuwają się bardzo szybko. Nie zdążyłbyś ani zareagować, ani się odsunąć. Tryby startują i wszystko wciągają, nawet z odległości. Parę ton momentu obrotowego. Zostałoby z ciebie mielone mięso.

- Pięknie.

- Szukałeś pracy. - Węzeł popatrzył nań niewzruszony. - U mnie jest tylko taka.

Nailer zrozumiał. Wczołgał się do kanału serwisowego, przeciskając się między trybami. Węzeł obserwował go przez chwilę, potem dodał:

- Trzeba jeszcze nasmarować wałki hamulca hydraulicznego od wyciągu linki żagla.

Nailer rozejrzał się, kręcąc głową.

- A które to?

Pólczłowiek rzucił mu złe spojrzenie.

- Te, na których jest tak napisane. - Wskazał odklejające się tłuste nalepki poprzyczepiane do różnych części.

Nailer wytrzeszczył oczy, widząc nieczytelne dlań słowa. Przeniósł wzrok z nalepek na pólczłowieka i z powrotem.

- Jasne. Nie ma sprawy.

Pólczłowiek skrzywił się z niechęcią.

- Nie umiesz czytać?

- Mogę sobie oznaczyć. Cyfry znam. Tego typu rzeczy.

Węzeł westchnął zdegustowany.

- Ta twoja stocznia rozbiórkowa to ma kupę rzeczy na sumieniu. - Pokręcił głową. - No to trzeba cię będzie nauczyć.

- Ale w czym problem? - zapytał Nailer. - Pokażesz mi, co mam nasmarować. Zapamiętam. Skoro pamiętam ile przydziału wyrobiłem, to i z tym sobie poradzę.

Węzeł zrobił pogardliwą minę.

- Na nic mi jesteś, jak nie umiesz czytać. - Machnął ręką w kierunku szeregu dźwigni.

- Po czym poznasz, która rozprzęga przekładnię od płatów, a która to sprawdzenie smarownic? Po czym poznasz, która włącza napęd, a która wypuszcza płaty? - Pchnął jedną dźwignię i wcisnął przycisk w kanale serwisowym. Pochylił się i wyciągnął Nailera spomiędzy trybów. - Odsuń się!

Zapłonęło ostre czerwone światełko, Węzeł pociągnął kolejną wajchę. Przekładnia zawyla, koła się rozmasały. Wgryzające się w siebie i rozpędzające się do maksymalnej szybkości zęby opryskały ich kropelkami oleju. Cała maszynownia zmieniła się w jeden zębaty wir, który wyglądał, jakby miał ochotę wessać Nailera. Gdyby był tam w dole, zostałyby z niego tylko krwawa piana. Ścierpła mu skóra, gdy dotarło do niego, jaką pracę dała mu Reynolds.

- Skąd będziesz wiedzieć, co masz zrobić?! - Węzeł przekrzykiwał wycie napędu. - Skąd będziesz wiedzieć, jak je zatrzymać?! - Walnął w kolejny przycisk i wszystko wyhamował.

Rozmazane tryby zwolniły, zatrzymały się płynnie. W maszynowni zapadła cisza.

- Potrzebny mi ktoś, kto się nie pomyli i nie utnie sobie ramienia, bo nacisnął zły guzik - zadudnił. - Zawiadomię Reynolds, że masz taki brak.

- Poczekaj! - błagał Nailer. - A nie możesz mnie po prostu nauczyć? Jak nie powiesz Reynolds, nauczę się, czego tylko zechcesz. Nie wyrzucaj mnie z załogi, daj mi najpierw szansę zacząć.

Węzeł spojrział na Nailera żółtymi oczyma.

- Chcesz, żebym coś trzymał w tajemnicy przed moją panią?

- Nie. - Głos uwiązał mu w gardle, gdy uświadomił sobie, po jak niepewnym gruncie stąpa. - Mówię tylko, że nauczę się wszystkiego, co tylko mi dasz. Proszę tylko o szansę. Proszę.

Węzeł przekrzywił głowę i uśmiechnął się.

- No to się przekonamy, czy jesteś taki dobry, jak mówisz.

- Czyli jej nie powiesz?

Węzeł zaśmiał się basowo.

- O, nie. Na tym statku nie trzyma się rzeczy w tajemnicy. Ale może pani oficer Reynolds pozwoli ci na jakiś okres próbny... o ile będziesz odpowiednio zmotywowany.

- Będę zmotywowany. Wierz mi.

Węzeł odsłonił w półmroku błyszczące, ostre zęby.

- Zawsze miło to słyszeć, jak młodzież ma chęć do nauki.

Rozdział XXI

Los uśmiechnął się do nich ósmego dnia rejsu. Po pełnym morzu płynęła Raja, ślizgała się w stronę czubka Florydy i otwartego Oceanu Atlantyckiego poza nią. Wieść obiegła statek, elektryzując wszystkich. Cała załoga wyszła na pokład. Kapitan Candless pozwolił sobie na uśmiech. Mieli szczęście.

- Czyli jednak Raja - powiedział. - Wcale nie Gwiazda polarna.

Było widać, że mu ulżyło. Nailer wyteńczył wzrok, chcąc dostrzec kreseczkę na horyzoncie, gdzie uciekała przed nimi Szczęściara, ale nie był w stanie. Kapitan zobaczył to, uśmiechnął się i poprowadził go na mostek, gdzie był teleskop i aparat fotograficzny - robił z odległości zdjęcia statków, a potem je powiększał. Smużki na horyzoncie zmieniały się w statki, zyskiwały dziób, rufę i rozmazane twarze. A wszystko to z odległości piętnastu mil. Nailer wytrzeszczył oczy z podziwem.

- Zbliżyliśmy się trochę i zrobimy więcej zdjęć - powiedział kapitan. - Trzeba się dowiedzieć, kto jest na pokładzie. - Kiwnął na swoich ludzi. - A nasz pokład ma być czysty... Ty siedź pod pokładem, dopóki nie będziemy gotowi do ataku. Jak cię rozpozna panna Nita, albo zobaczy cię twój ojciec, będą uprzedzeni i gotowi. A tego nie chcemy. - Wpatrzył się z namysłem w horyzont. - Nie. Tego zdecydowanie nie chcemy.

- Damy radę ich dogonić? - zapytał Nailer. Wydało mu się, że statek jest niemożliwie daleko.

Stojąca przy sterze Reynolds wyszczerzyła zęby.

- Mamy szybki statek, a oni - luksusową balię.

- Czyli tak?

- Oczywiście. Złapiemy ich, zrobimy abordaż, wejdziemy na pokład. I odbierzemy łup. - Wymienili z kapitanem pewne siebie spojrzenia.

- Wcale mi nie będzie przykro, jak pan Marn zbierze gorzkie owoce swojej działalności - powiedział kapitan. Kiwnął na Nailera. - Chodź. To chwilę potrwa, zanim ich dogonimy. Skoro i tak będziesz siedział pod pokładem, możesz jakoś wykorzystać ten czas. Wracaj do twoich liter.

Nailer powstrzymał się od westchnienia.

Węzeł zabrał się za uczenie go czytania. Nie trzeba było wiele czasu, żeby Nailer znienawidził ten trud. Lecz Węzeł się nie przejął. Potężny stwór po prostu go cisnął, ciągle sprawdzał, zmuszał do uczenia się na pamięć, a potem pisania z pamięci.

Właściwie ta praca nie była aż tak ciężka, jak kiedyś myślał, zwłaszcza że półczłowiek cały czas patrzył mu swoimi żółtymi oczyma przez ramię, ale nie była też specjalnie ciekawa. W zasadzie sprowadzała się do włożenia odpowiedniej ilości pracy i czasu, a ponieważ statek pędził pełną parą, a wszystkie przekładnie płatów nośnych były wyczyszczone i nasmarowane, Węzeł oczekiwał od niego tylko nauki. Przez ostatnie kilka nocy Nailer, kładąc się na koi, miał głowę pełną słów i liter - śniły mu się pułapki pisowni, w które złapał go Węzeł.

Lubił takie podstępny. Litery były proste, za to słowa trudne. Mnóstwo słów pisało się całkiem inaczej niż brzmiały. W końcu jednak sprowadzało się to do nauki na pamięć, coś jakby liczyć zakręty w kanale i pilnować przydziału. A Węzeł nie był nawet w połowie tak ostry jak Bapi, kiedy się w tym liczeniu pomylił.

Pozwolił sprowadzić się pod pokład, znaleziono Węzła i zaraz siedzieli nad jego książką, opowiadającą o starym człowieku łowiącym ryby na łódce. Jednak ciężko mu było się skupić, bo cały czas myślał o Szczęściarce i czającej się na horyzoncie walce.

W końcu zamknął książkę i podniósł wzrok na półczłowieka.

- Zawsze miałeś pana?

Węzeł spojrzał nań spokojnie.

- Pracuję dla kapitana Candlessa.

- No tak, ale gdybyś zechciał, byłbyś w stanie pracować dla kogoś innego?

Węzeł wzruszył ramionami.

- Ale nie chcę.

- Ale mógłbyś? - naciskał Nailer.

Półczłowiek rozchylił nozdrza, ukazał zęby pod podwiniętymi wargami.

- Nie chcę. - zadudnił.

Nailer aż się skulił.

Węzeł nagle przeobraził się w zapędzonego pod ścianę mastiffa, gotowego, by gryźć. Cała góra mięśni, dotąd spokojnych i rozluźnionych, nagle napięła się i najeżyła. Chciał się go jeszcze dopytywać, ale półczłowiek nagle zrobił się zbyt groźny. Dał spokój.

Węzeł jeszcze przez moment wpatrywał się w niego.

- Nie chcę - powtórzył i odwrócił wzrok.

Nailer niespodziewanie zawstydział się, że tak go drażnił.

- Czytaliśmy przedtem - powiedział z wahaniem.

Półczłowiek powoli skinął głową.

- Tak. Czytaj dalej.

Przez dłuższą chwilę Nailer czytał, a Węzeł go poprawiał. W końcu powiedział:

- Chyba na razie wystarczy. Mam parę innych rzeczy do zrobienia.

- Jesteś gotowy do walki?

Węzeł uśmiechnął się, pokazując ostre zęby.

- Walka to moja natura. - Po chwili dodał: - Ale tym razem to także przyjemność.

- Bo Szczęściara? - Poprawił się: - Ze względu na pannę Nitę?

- Tak.

- Czy ona jest twoją panią? - zapytał z wahaniem. - Jej przysięgałeś na wierność?

Węzeł spojrzał na niego.

- Niezupełnie. Jej służy kapitan Candless. Ja służyć jemu. Ale przysięgamy podwójnie, na wierność klanowi też.

- Tylko że klan jest teraz podzielony. Pyce też ma swoich półludzi.

- No tak. Trudne czasy.

Miał ochotę dopytywać się jeszcze dokładniej o lojalność Węzła, bał się jednak rozzłościć go. Poprzednim razem poczuł się tak, jakby drażnił tygrysa. Były tu jakieś czułe punkty, których do końca nie rozumiał.

- A mógłbyś pracować dla Pyce'a?

Pokazały się ostre zęby. Gardłowe warknięcie.

- Pyce jest nikim. Zwrócił się przeciw nam.

- Ale kapitan Candless też dla niego pracował. Jeszcze parę dni temu...

Węzeł wstał raptownie.

- Póki panna Nita żyje, nie służymy Pyce'owi. Myśleliśmy, że nie żyje. Teraz wiemy. I to wszystko. Będziemy jej służyć, póki nie zginie, albo jej klan legalnie nie przekaze władzy Pyce'owi i jego spadkobiercom. Jej ojciec zrobi dla niej wszystko. Więc my też musimy.

- Chyba na razie wystarczy. Mam parę innych rzeczy do zrobienia.

- Jesteś gotowy do walki?

Węzeł uśmiechnął się, pokazując ostre zęby.

- Walka to moja natura. - Po chwili dodał: - Ale tym razem to także przyjemność.

- Bo Szczęściara? - Poprawił się: - Ze względu na pannę Nitę?

- Tak.

Czy ona jest twoją panią? - zapytał z wahaniem. - Jej przysięgałeś na wierność?

Węzeł spojrzał na niego.

- Niezupełnie. Jej służy kapitan Candless. Ja służyć jemu. Ale przysięgamy podwójnie,

na wierność klanowi też.

- Tylko że klan jest teraz podzielony. Pyce też ma swoich półludzi.

- No tak. Trudne czasy.

Miał ochotę dopytywać się jeszcze dokładniej o lojalność Wężła, bał się jednak rozzłościć go. Poprzednim razem poczuł się tak, jakby drażnił tygrysa. Były tu jakieś czułe punkty, których do końca nie rozumiał.

- A mógłbyś pracować dla Pyce'a?

Pokazały się ostre zęby. Gardłowe warknięcie.

- Pyce jest nikim. Zwrócił się przeciw nam.

- Ale kapitan Candless też dla niego pracował. Jeszcze parę dni temu...

Węzeł wstał raptownie.

- Póki panna Nita żyje, nie służymy Pyce'owi. Myśleliśmy, że nie żyje. Teraz wiemy. I to wszystko. Będziemy jej służyć, póki nie zginie, albo jej klan legalnie nie przekaze władzy Pyce'owi i jego spadkobiercom. Jej ojciec zrobi dla niej wszystko. Więc my też musimy.

- Tak bardzo mu zależy?

- To jego córka. Rodzina.

- A tak. Rodzina. - Nailer stłumił ukłucie zazdrości. - Ja w rodzinie to tylko po głowie dostawałem.

- Różne są rodziny.

Na to nie znalazł odpowiedzi. Węzeł wrócił do swoich obowiązków, a Nailerowi pozostało tylko położyć się na koi i czekać, aż Nieustraszony dogoni swoją ofiarę.

Rodzina. To tylko takie słowo. Teraz wiedział nawet, jak się je pisze. Widział te litery, jedną za drugą. Ale był to także symbol. I ludzie uważali, że wiedzą, co to znaczy. Używali go wszyscy. Złomiarze. Ojciec. Załoga Nieustraszonego. Młot. To była jedna z tych kwestii, gdzie każdy miał jakieś zdanie - że do rodziny się idzie, jak już nic innego nie zostanie, że rodzina zawsze będzie dla ciebie, że krew jest gęstsza od wody, tego typu rzeczy.

Jednakże, kiedy się zastanawiał, wydało mu się, że większość tych słów i pojęć to tylko dobra wymówka dla ludzi, żeby zachowywać się źle i myśleć, że to im ujdzie na sucho. Rodzina to nie było nic pewniejszego niż małżeństwa, przyjaźnie, ekipa związana przysięgą krwi - a może i mniej. Jego ojciec naprawdę wyprułby mu flaki, gdyby jeszcze raz go złapał. I nieważne, że mieli wspólną krew. A na Nitę polował jej własny wuj.

Za to był pewien, że Sadna biłaby się o niego zębami i pazurami, a może nawet poświęciła życie, żeby go uratować. Dla niej był ważny. Albo dla Pimy.

Więzy krwi to nic. Liczą się sami ludzie. Jeśli stoją za tobą, a ty za nimi, to być może można to nazwać rodziną. Wszystko inne to tylko kłamstwo i mydlenie oczu.

Rozdział XXII

Raja była smukłym jachtem o nielicznej załodze. Nieustraszony podkładał się do niej, podczas gdy Candless nawiązywał pogawędkę przez radio, rzucając przyjacielskie zdania o pogodzie podczas sezonu na huragany.

Gdy się zbliżyli, kapitan stał się znacznie bardziej pewny siebie. Statek miał mało załogi i niczym nie był w stanie go przestraszyć. Długo też trwało, zanim jacht domyślił się, co knują, i zaczął naprawdę uciekać.

Gdy Raja w końcu podniosła więcej żagli i zaczęła uciekać z wiatrem, Candless roześmiał się zadowolony.

- O! Pan Marn nie jest jednak taki głupi, jak myśleliśmy - powiedział. - Będzie przyjemna pogoń.

Krzyknął na załogę, żeby przygotowała się do przyśpieszenia. Podniosły się kolejne żagle i Nieustraszony popędził za ofiarą. Był większy, o wiele szybszy, tak że Candless mógł śmiać się z próby ucieczki Rai.

- Jak tygrys, co goni kotka - zapiał.

Ale i drugi kapitan, pan Marn, był sprytny. Rozbił uniki, zwroty, raz zmusił ich do wyprzedzenia, a ludzie z pokładu wypalili do nich z pistoletów. Była to jednak tylko kwestia czasu, by Nieustraszony zrównał się z nimi i rzucił haki.

- Poddać się, albo was zatopię i zostawię w wodzie! - ryknął Candless i drugi statek zrezygnował z walki.

Zanim jeszcze zdążyli zrefować żagle, marynarze Candlessa skakali przez burtę z pistoletami w dłoniach. Zaroiło się od nich na pokładzie, zbiegli na dół. Po paru emocjonujących minutach reszta załogi Rai wyszła na górę z rękoma na głowach. Półudzie-żołnierze, kucharze, stewardzi i na koniec sam kapitan Marn. Wszyscy popatrzyli krzywo na Nieustraszonego.

- Gdzie panna Nita?! - krzyknął Candless.

Marn wyszczerzył zęby i odkrzyknął:

- Jak nie możesz jej znaleźć, to nic ci do niej, ty buntowniku!

- Buntowniku? - mruknął Candless. - Może to ja jadłem Pyce'owi z ręki czerwoną kasiorę? - Zwrócił się do pierwszej oficer: - Reynolds, przejmij dowodzenie.

Zszedł z mostka, a Nailer za nim. Skok ze statku na statek był mocno nerwowy, ale Nailer postanowił nie okazać ani odrobiny strachu. Skoczył, źle wylądował na kiwającym się

pokładzie, ale znalazł się po drugiej stronie.

Kapitan Candless rozejrzał się po pokładzie.

- Idź chłopcze, zobaczy, czy gdzieś zwietrzysz pannę Nitę. Gdzieś tu musi być.

Nailer wśliznął się w trzewia statku, przeszedł po wszystkich kajutach, ale nigdzie nie znalazł ani śladu Szczęściary. Niczego. Nie było jej w żadnej z niesamowicie wielkich kabin, nie było jej nigdzie. Reszta załogi, Węzeł, Czepiak i Kot też przeszukiwali statek i w miarę poszukiwań robili się coraz bardziej nerwowi.

- A może jakieś schowki, kryjówki? - zapytał Nailer.

- Przecież narobiłaby hałasu - stwierdził Kot.

- Może ją zakneblowali, albo naćpali czymś.

Kot skrzywił się z niesmakiem. Szukali dalej. W końcu wyszli na pokład.

- Nic - zameldował Kot. - Szukaliśmy wszędzie i noc.

Kapitan zaklął i rzucił się na Marna.

- Gdzie ona jest? - Dźgnął go palcem w pierś. - Jak ją uwolnisz, nie wyrzucę cię za burtę. To lepszy los niż zasługujesz.

Sprzeniewierzyłeś się klanowej przysiędze i należałoby cię powiesić.

- Z mojego punktu widzenia tu jest tylko jedna osoba, która sprzeniewierzyła się klanowej przysiędze: Candless, pirat i łajdak.

Kapitan Candless nachmurzył się, odwrócił i krzyknął do załogi:

- Rozebrać ten statek! Rozebrać cholerny statek na śrubki! Znaleźć pannę Nitę, a potem to cholerstwo zatopimy. - Wbił wzrok w przeciwnika. - Miałeś szansę naprawić swoje winy. Więcej niż jedną szansę.

Kapitan Marn niespodziewanie uśmiechnął się.

- Od zawsze podejrzewaliśmy, że nie jesteś lojalny. Nie mogłeś być. Nie po tym, co się stało z panią Sung. Od zawsze wiedzieliśmy. Ale ty byłeś ostrożniejszy niż większość. Nie śpieszyłeś się. Trzymałeś się z boku. Większość ludzi myślała, że należy rozstrzygnąć wątpliwości na twoją korzyść.

Candless uśmiechnął się.

- Jakże miło z twoje strony. - Uchylił czapki. - Wspomnę twoją zyczliwość, kiedy będę patrzył, jak toniesz ze swoim statkiem.

- Nie dziękuj. - Marn się zaśmiał. - Teraz, jak już wiemy, po której stronie stoisz, będziemy cię ścigać aż na koniec świata.

- Tylko dopóki nie zbierze się zarząd. Ciebie już nie będzie, a ja będę żeglował jak dawniej.

Marn uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Własnym oczom nie wierzę. A kiedyś taki był z ciebie cwaniak.

Candless zmrużył oczy.

- Co to ma znaczyć?

Marn wzruszył ramionami.

- Że nie jesteś już taki sprytny jak kiedyś. Kiedyś miałeś szósty zmysł. Myślałem, że zwęszysz każdą pułapkę i nigdy w nią nie wpadniesz, a tu proszę: pojawiaasz się we własnej osobie, dokładnie, jak się spodziewali.

- Jak kto się spodziewał? - Candless wytrzeszczył oczy na Marna. Na jego twarzy mignął strach, pełna niepokoju myśl. Ryknął: - Reynolds!

- Tak, kapitanie?

- Co tam na horyzoncie?

- Czysto, sir!

- Sprawdź jeszcze raz!

Po chwili Reynolds zawołała:

- Żagiel!

- Zidentyfikować!

Po nieco dłuższej chwili znowu zawołała:

- Kapitanie, to Gwiazda polarna. Na sto procent!

Kapitan Marn i jego załoga uśmiechnęli się od ucha do ucha, gdy ta wieść docierała do załogi Candlessa.

- Jeśli się teraz poddacie - powiedział Marn - potraktujemy was jak wrogą stronę walczącą, a nie jak buntowników. - Powiedział to głośno, żeby wszyscy słyszeli. - Jeśli się teraz poddacie, odejdziecie wolno! Albo zginiecie jak psy, razem z waszym kapitanem! Wasz wybór!

Kapitan Candless, blady jak ściana, rozejrzał się po swojej załodze. Przy pierwszej próbie wydania rozkazu z ust wydobyło mu się tylko skrzeknięcie. Spróbował raz jeszcze i tym razem odzyskał głos, donośny i gniewny.

- Na statek! Stawiać żagle!

Załoga zaczęła wracać, ale nie cała. Kot i trójka innych stali przy relingu i patrzyli. Kot pomachał do nich ze smutkiem, po czym pozwolił się rozbroić załodze Rai.

Candless jeszcze nie skończył.

- Czepiak! Węzeł! Zniszczyć im mostek.

Działo Nieustraszonego obróciło się. Marn zaczął protestować, lecz Candless po

prostu wycelował mu pistoletem w twarz.

- Zatopiłbym cię, ale twoja załoga nie zasługuje, żeby utonąć tylko dlatego, że jesteś cholernym kłamcą.

Działo wypaliło, mostek buchnął płomieniami. Czepiak i Węzeł podbiegli do żagli z pochodniami, jedwab i liny błyskawicznie zajęły się ogniem. Płomienie strzeliły pod niebo.

Reszta załogi Candlessa przeskoczyła z powrotem, a Nieustraszony odbił od płonącego statku.

- Żagle na wiatr!

Nailer obejrzał się ku majaczącemu na horyzoncie statkowi. Nawet bez okrętowego teleskopu wydawał się wielki.

- Gwiazda polarna jest zaprawiona w bojach - powiedział kapitan. - Jedyna nadzieja, że będą chcieli nas wziąć jako łup, inaczej po prostu nas ostrzelają i wszyscy zginiemy.

Nailer przyglądał się obu statkom.

- Czemu mieliby nas oszczędzić?

- Nie jesteśmy tak uzbrojeni jak oni. Przez to będą pewni siebie. - Candless obejrzał się na Raję, której załoga polewała morską wodą płonące żagle. Uśmiechnął się smutno. - Teraz to my jesteśmy ganianym kotkiem. - Odwrócił się i zaczął wykrzykiwać rozkazy.

- I co pan zrobi? - zapytał Nailer.

- Płyniemy w stronę brzegu, zobaczymy, może popełnię jakiś błąd. Mają przewagę szybkości, ale pogoń i tak będzie długa. - Obejrzał się na ocean. - Zobaczymy, może uda się jakiś podstęp.

- Jaki na przykład?

Candless uśmiechał się, lecz Nailerowi ten uśmiech wydawał się wymuszony.

- Nie wiem jeszcze. Wymyślę coś.

Pośpieszył na mostek, a Nailer, nie mając nic konkretnego do roboty, poszedł za nim. Kapitan i Reynolds rozłożyli mapy i zaczęli przyglądać się głębokościom na oceanie.

- Mamy mniejsze zanurzenie niż Polarna - mruknął Candless. - Trzeba znaleźć jakieś miejsce, gdzie da się prześliznąć i schować.

- Może w górę Missisipi - podsunęła Reynolds.

- Ściągną sobie wsparcie przez radio. Nie mam ochoty walczyć zablokowany na tej rzece.

Nailer wpatrzył się w mapę, próbując coś z niej zrozumieć. Kapitan wskazał mu linie na mapie.

- Te linie to izobaty. Wykreślają głębokość. Głębiej niż sześć metrów, nie ma

problemu. Płycej... - wzruszył ramionami -...i siedzimy na mieliźnie. - Pokazał punkt na jednej z kart, daleko wśród niebieskich izobat zatoki. - Jesteśmy mniej więcej... tutaj. - Dźgnął palcem odległy skrawek brzegu. - A to jest twoja dawna plaża. - Wrócił do dyskusji z Reynolds.

Nailer gapił się na mapę, na litery tworzące napis Bright Sands Beach, i ze zdziwieniem stwierdził, że potrafi je złożyć w słowa. Przesunął palcem wzdłuż linii i liczb, odczytując je. Wyspa, gdzie razem z Pimą znaleźli rozbity statek Nity, na mapie była połączona ze stałym lądem.

- Stare są te mapy? - zapytał.

- A bo co?

- Głębokości się nie zgadzają. To powinna być wyspa, przynajmniej przy wysokiej wodzie.

Reynolds i kapitan spojrzeli po sobie z rozbawieniem.

- W sumie masz rację. Prawdziwa głębokość wszędzie jest większa niż w czasach, kiedy robiono te mapy, ale proporcje są takie same. Więc wszędzie będzie głębiej niż zapisane na mapie.

Nailer słuchał z uwagą, przyglądając się temu, jak wyspa była połączona ze stałym lądem, i porównując zapamiętany wygląd Bright Sands Beach z papierową wersją sprzed wielu lat. Zmarszczył czoło.

- Ale i tak się nie zgadza. - Wskazał palcem wodę tuż za brzegiem wyspy, gdzie znajdowały się Zęby. - Cały ten obszar tutaj w ogóle się nie zgadza. Tu nawet podczas przyływu jest ledwie parę metrów.

- Tak? - Candless przyjrzał się mapie, potem popatrzył z namysłem na Nailera. - A skąd wiesz?

- Statki ciągle się tam zaczepiają. - Nailer obrysował palcem obszar Zębów. - Tam są ruiny jakichś budynków. U nas mówi się na to Zęby, bo pogryzą każdego, kto na nie wpłynie.

- Pokazał palcem. - Żeby nie zatonać, trzeba wpływać tędy, naokoło.

- To możliwe? - zapytała powątpiewająco Reynolds. - Żeby ktoś przegapił całe miasto?

- Może tak być. - Candless zamyślił się. - W czasach, kiedy robiono te mapy, ludzie zostawiali domy na lewo i prawo. Podnosił się poziom wody, panował głód. Jeśli miasto było opuszczone, ktoś mógł usunąć je z mapy. Nie ma mieszkańców, nikomu nie zależy. Nie mieli pojęcia, że za sto lat będziemy tamtędy pływać.

- Przeoczyli masę rzeczy - powiedział Nailer. - Tam pod wodą jest całe miasto. Kupa

wieżowców, masa wystającego żelastwa. I głębokość jest zupełnie inna.

- Ile?

- Podczas przypływu? - Wzruszył ramionami. - Może metr, dwa. A przy niskiej wodzie co wyższe wystają.

Reynolds nadal była sceptyczna, Candless jednak stwierdził:

- Daleko od uczęszczanych szlaków. Mogli się pomylić. - Kiwnął na Nailera. - A ludzie od niego z plaży przecież nie będą składać reklamacji. Nawet jakby, to kto by ich tam słuchał? Położyliśmy kreskę na połowie tego wybrzeża, uznaliśmy, że to zalana wodą dzicz. Nic tylko malaria i bandyci.

- Chavez ma takie same mapy - zauważyła Reynolds.

- No racja. - Candless uśmiechnął się, nieoczekiwanie drapieźnie. - Firmowe.

- Trzeba by to dobrze wyliczyć - zastanowiła się Reynolds. - Ciężki kawałek żeglugi.

- Sto razy wolę ciężki kawałek żeglugi niż z góry przegraną walkę.

Candless kiwnął na Nailera, żeby podszedł bliżej.

- Mów, chłopaku: jak dokładnie wygląda to twoje miasto? I gdzie ma te wszystkie wystające belki?

Rozdział XXIII

Kiedy Nailer objaśnił, jak wyglądają Zęby, Reynolds sprzeciwiła się pomysłowi.

- To strasznie ryzykowne. Nie masz pojęcia, czy on dobrze pamięta te głębokości. I jeszcze w nocy, z przyływem? - Pokręciła głową.

- A masz lepszy pomysł? - zapytał łagodnie Candless.

Nie miała, ale nie chciała się do tego przyznać. Wrócili na mostek, pełen pisków i jęków radaru. Kapitan rozkazał wziąć kurs na Bright Sands Beach. Zdecydował, że wiatr jest odpowiedni na żagiel latawcowy. Statkiem zatrzęsł huk działka Buckella.

Pocisk, ciągnąc za sobą pajęczą uwięź, poleciał łukiem wysoko w niebo, po czym rozwinął żagiel, czerwonozłoty, błyszczący na niebie barwami Patel Global. Nieustraszony zadygotał i podniósł się na płaty, wynurzając kadłub z wody. Główne żagle zafalowały, załopotwały, Nailer nagle poczuł wiatr na twarzy. Wcześniej go nie zauważał, teraz zrobił się silny.

- Tu wieje wolniej niż tam - wyjaśnił kapitan. - Przedtem płynęliśmy z wiatrem, więc tak się go nie czuło. Teraz płyniemy z tamtym, górnym wiatrem.

Ocean pędził pod kadłubem. Gdy Nailer spojrział w roziskrzone, załamujące światło fale, wydało mu się, że woda zlewa się w jedną masę - pęd był zbyt duży, by rozróżnić szczegóły.

- Pięćdziesiąt dwa węzły - oznajmił z satysfakcją kapitan.

Gwiazda polarna za nimi wystrzeliła własny żagiel. Huk poniósł się po wodzie.

- Przy odrobinie szczęścia - powiedział Candless, patrząc na lecący w niebo pocisk - popłaczcie im się i zyskamy przewagę. Cholernie ciężko złapać górny wiatr. Jak już chwyci, nie ma problemu, ale początek jest trudny.

Niestety, żagiel Polarnej też chwycił. Przez długą lunetę systemu nawigacyjnego Nieustraszonego obserwowali, jak statek unosi się na płatach nośnych, jak śmiercionośny kadłub wysuwa się nad wodę.

- Czemu po prostu nie zestrzela naszego żagla? - zapytał Nailer.

- Mogą. Kiedy będą bliżej, o milę, mogą strzelić do spadochronu chemicznym pociskiem zapalającym.

- Ale nas tak nie podpalą? Nie zatopią?

Kapitan i Reynolds spojrzeli po sobie.

- Chavez jest chciwa. Ma okazję zgarnąć nagrodę: po prostu nazwie nas piratami. A

jeśli nas zniszczy, spali czy zatopi, nic nie dostanie.

Oba statki cięły ocean. Czasem wyglądało na to, że Nieustraszony zyskuje trochę, lecz gdy Nailer przyglądał się ponownie, blady statek na horyzoncie ciągle rósł. Chłopak wzdrygał się na widok tego klipra, goniącego ich jak rekin.

Kapitan znów pokazał na mapę.

- Jeśli Nailer ma rację, przejdziemy między tymi Zębami tędy i nawet będzie to wyglądało tak, jakbyśmy chcieli się schować.

- Jeśli ma rację - powtórzyła z naciskiem Reynolds.

- Mam - obstawał Nailer. - Znam te wody.

- A pływałeś po nich?

Zawahał się. Chciał powiedzieć, że tak. Że zna fale. Że wie dobrze, że ma rację.

- Nie - przyznał. - Ale znam Zęby. Widziałem, jak wyglądają w czasie odpływu. - Wskazał liczby na mapie. - Jeśli te wasze liczby to prawdziwe głębokości z dawnych czasów, to w przypiływie powinno dać się tędy przepłynąć, prosto. O, tutaj. - Wskazał sam skraj wyspy. - Tu jest przerwa, między wyspą i Zębami.

- W sam raz, żeby rozwalić statek - powiedziała Reynolds. - Przypiływ będzie dopiero po zmierzchu, więc żadnych punktów orientacyjnych się nie zobaczy, a GPS ma margines błędu, może nam nic nie powiedzieć, póki nie zawiśniemy na jakiejś belce.

- Ja wiem, gdzie to jest - powiedział ponuro Nailer. - Znajdę ten przesmyk.

- Naprawdę? - zapytała. - Po ciemku? Przy świetle księżycy? Mając jedną szansę?

- Oj, daj chłopakowi spokój.

Nailer tyknął na nią.

- A pani ma lepszy pomysł? Tak czy owak, zginiemy, nie? Co chce pani zrobić? Poddać się? Zostać piratem i zawisnąć na maszcie? - Najeżył się. - Z was, lalusiów, to naprawdę mięczaki. Boicie się zaryzykować, nawet jak już właściwie nie żyjecie.

Statek szarpnął. Wszyscy chwycili się czegoś, żeby ustać. Candless i Reynolds spojrzeli po sobie. Morze gęstniało przez całe popołudnie, a teraz gdy wyszli na pokład, fala była już porządnie wysoka. Płaty nośne utrzymywały Nieustraszonego ponad większością fal, lecz kiedy zrobiły się jeszcze wyższe, dziób statku zaczął spowijać obłok piany. Candless przypatrzył się wysokiemu żaglowi, pędzącemu naprzeciw zbierających się chmur.

- Przy takim stanie morza, niedługo trzeba będzie zejść z płatów.

Statek przeciął kolejną falę, znów się zakołysał. Woda zalała pokłady, gdy wydobywał się spomiędzy fal. Pokład przechylił się gwałtownie, gdy jeden z płatów nośnych stracił oparcie w pianie. Nailer chwycił się relingu. Pokład wyprostował się i znów runął

naprzód, pociągnięty żaglem spadochronowym. Burzowe chmury pociemniały i skłębiły się jak gniazdo węży. Pod ich brzuchami rozbłysły pioruny.

- To jest niszczyciel miast? - zapytał.

Kapitan pokręcił głową.

- Nie. Ale i tak nieźle nam utrudni. Wszystko jest niepewne przy takiej pogodzie.

- Może uda nam się schować - podsunęła Reynolds.

- Namierzą nas radarem, cały czas namierzają - powiedział Candless. - Jedyne wyjście to doprowadzić do tego, żeby się rozbili.

- Panna Nita może zginąć, jeśli jest na pokładzie.

Candless łypnął na nią złowrogo.

- Myślisz, że nie wiem? - Odwrócił wzrok. - To paskudna walka. Przygotujemy ekipę do abordażu, spróbujemy ją wyciągnąć jak zrobi się zamieszanie.

- Nie wiadomo, czy to się uda.

- Dziękuję, Reynolds. Doceniam twoje przemyślenia. Ale niech mnie szlag, nie dam nam wszystkim zginąć tylko dlatego, że boimy się wykorzystać jedyną przewagę, jaką mamy.

* * *

Nieustraszony pędził przez sztorm. Gdy wiatr stał się zbyt zmienny, kapitan rozkazał zwinać żagiel spadochronowy.

Żagiel opuścił się, żyłka miotła się i pojękiwała, gdy kabestany ciągnęły trzepoczący zwój żagla ku pokładowi. W końcu jęknęła głośniejsz od sztormu. Szpuła się zakleszczyła. Węzeł, Czepiak i Trimble pobiegli do działka. Żagiel, targany wiatrem, miotał się za lewą burtą, Nieustraszony przechylił się od niespodziewanego ciągu.

Nailer widział, z mostka, przez deszcz, jak załoga mocije się z kabestanem. Kapitan Candless obok trzymał koło sterowe. Pokręcił głową.

- Powiedz, żeby go odcięli - rozkazał.

Nailer spojrział na niego niepewnie.

- Leć, chłopcze! Niech go odetną.

Nailer popędził na pokład. Omal nie zapomniał przypiąć się do lajfliny przed wyjściem na wiatr. Przez dziób przelała się fala, zwalając go z nóg. Zderzył się z podstawą masztu, prawie stracił przytomność. Z trudem pozbierał się na nogi i wygramolił na pochyły pokład.

- Odciać go! - wrzasnął.

Węzeł zerknął na niego, potem na kapitana. Błysnęło ostrze, potężne cięcie i żyłka z

monowłókna rozdzieliła się. Popędziła w powietrze, wijąc się jak wąż. Żagiel spadochronowy zniknął w mroku chmur.

Patrząc, jak odlatuje, Nailer zastanawiał się, czy statek aby nie stracił właśnie przewagi, której będzie jeszcze potrzebował. Węzeł posłał mu smutny uśmiezek.

- Nic, chłopcze, nie poradysz. - I pobiegł, żeby dołączyć do reszty załogi, stawiającej główne żagle.

Nailer obserwował z podziwem, jak się trudzą. Siekł ich deszcz. Morze unosiło się i próbowało ich podtapiać potężnymi falami, oni jednak mozolili się z zaciętymi minami, zmuszając statek, żeby poddał się ich woli. I Nieustraszony ustąpił. Ruszył we wzburzoną wodę, zapadając się pomiędzy fale, a potem wspinając na ich grzbiety, by znowu opaść w kolejny wodny wąwóz. Wokół piętrzyły się niebotyczne, monstrualne fale. Nailer ze wszystkich sił trzymał się relingu, przypięty do lajfliny i starał się nie wchodzić im w drogę, gdy popychali statek naprzód.

Noc zapadła szybko. Poza sporadycznymi błyskami piorunów, zapanowała kompletna ciemność. Gdzieś za nimi czaiła się Gwiazda polarna, Nailer jej jednak nie widział i nie miał pojęcia, gdzie ona jest. Dobrze było poudawać sobie, że tej smukłej, drapieżnej sylwetki tam nie ma. Ale to było tylko udawanie.

W końcu kapitan Candless wydał rozkaz: zaczęli zbliżać się do wybrzeża, przymierzając się do miejsca, gdzie będą próbować ucieczki. Mimo zerowej widoczności, Gwiazda polarna także skręciła, wywyższywszy ich radarowymi antenami. I rzeczywiście: gdy Nailer w końcu schował się przed naporem żywiołów i poszedł po kubek gorącej kawy, główny radar Nieustraszonego pokazał cholerną plamkę uzbrojonego statku jeszcze bliżej niż przedtem.

Nailer nabrał powietrza.

- Są blisko.

Kapitan skinął ponuro głową.

- Bliżej niż byśmy chcieli. Idź na rufę i popatrz.

Nailer pobiegł do schodni, zbiegł pod pokład i wyszedł włazem na rufie. Siekł go deszcz. Brodził po kostki w słonej pianie, gdy statek przedzierał się przez kolejną falę.

Chłopak wpatrzył się w ulewny deszcz.

Mrok rozdarła błyskawica, rozległ się grzmot. Pojawiła się Gwiazda polarna, bliżej niżby się spodziewali. Wspięła się na grzbiet fali, opadła z powrotem i rozplynęła się w mroku.

Kiedy wrócił na mostek, kapitan powiedział:

- Płynęli na wysokim żaglu dłużej niż my. Mają bardziej stabilny statek.

- I co teraz zrobią?

Kapitan wpatrzył się w odbłysek radarowy prześladowcy.

- Zmuszą nas do poddania się i wejdą na pokład.

- W sztormie?

- Walczyli przy gorszej pogodzie. Arktyka to najgorsze pole bitwy na świecie. Trochę deszczu i fal ich nie przestraszy.

Nachylił się do Nailera.

- Chłopcze, tak między nami. Pewien jesteś tych zębów?

Nailer zmusił się do kiwnięcia głową, kapitan go jednak nie puścił.

- To duże ryzyko. I nie odpowiada mi to. Przez coś takiego rozbił się poprzedni statek panny Nity, rozumiesz? - Wskazał brodą pokład, krzątającą się załogę. - Swoje życie może masz za tanie, ale ryzykujesz też życie ich wszystkich.

Nailer odwrócił wzrok.

- Przy dobrej pogodzie... - nie dokończył. W końcu spojrzał kapitanowi w oczy. - Nie wiem. Po ciemku? W sztormie? - Pokręcił głową. - Pływałem po zatoce, przepływałem przez ten przesmyk, ale nie mam pojęcia, czy to się uda, czy nie. Nie przy takiej pogodzie.

Kapitan kiwnął głową. Popatrzył w ciemność, w kierunku, gdzie majaczył ich prześladowca.

- Dobra. Nie taka odpowiedź, jakiej się spodziewałem, ale chociaż uczciwa. Zdamy się na los i szczęście.

- Czyli będzie pan próbował? - zapytał Nailer.

- Czasem lepiej zginąć, ale spróbować.

- A reszta załogi?

Candless spoważniał.

- Wiedzieli, jakie jest ryzyko, kiedy wypływali ze mną z Orleanu. Zawsze są bezpieczniejsze wyjścia niż mustrować u takiego starego lojalisty jak ja. - Wskazał na ekrany nawigacyjne, na widok linii brzegowej w podczerwieni, żarzący się zielono przed nimi, rozświetlający się błyskawicami. - Teraz, chłopcze, bądź moimi oczyma. Znajdź bezpieczne przejście.

Nailer popatrzył na ekrany. Pokazał się cień brzegu, oświetlony kolejnymi błyskawicami. Z tyłu huknęło działo. Pocisk przeleciał nad nimi, ciągnąc za sobą smugę.

- Boją się, że schowamy się w dżungli - zauważył Candless.

Nailer obejrzał się.

- Chcą nas zatopić?

- Gwiazdą się nie martw! - Kapitan chwycił Nailera za ramię i pokazał przed siebie. - Tym się martw! Pokaż mi, gdzie mamy płynąć.

Nailer nachylił się nad ekranami, przepatrzył czarną linię brzegową przed nimi. Wysepka jarzyła się na ekranie. Zmarszczył czoło. Nie. To nie to. To jakieś inne wzniesienie. W ciemności i deszczu wszystko wyglądało inaczej. Statek podskakiwał na falach.

- Nic nie widzę - powiedział. Usiłował coś dostrzec przez zalane deszczem szyby. Nie było tam nic, tylko ciemność.

- To patrz lepiej! - Palce kapitana wbiły mu się w ramię.

Nailer wpatrzył się w mrok. Nic z tego. Widziany na ekranach ląd był jedną masą roślinności i ziemi, wszędzie taką samą. Znow wpatrzył się w deszcz przez dziobowe szyby. Kolejna błyskawica i jeszcze jedna. Po chwili, huk grzmotu. Zobaczył wyspę i aż sapnął. Przepłynęli za daleko.

- Tam! - Pokazał. - Minęliśmy!

Kapitan zaklął. Zakręcił kołem, wykrzykując rozkazy do załogi. Żagle załopotały i obwisły bezsilnie. Statek przechylił się gwałtownie, gdy fale uderzyły weń pod nowym kątem. Z masztu spadł cień marynarza i zatrzymał się z szarpnięciem, bujając się groźnie w uprzęży. Bom przeleciał nad pokładem. Nieustraszony obrócił się. Nagle potężna sylwetka Gwiazdy polarnej zamajaczyła nad nimi. Nieustraszony tkwił w miejscu, łopocząc niepewnie żaglami. Nailer słyszał, jak na pokładzie Reynolds krzyczy, przygotowując załogę do wejścia na mieliznę:

- Spinać! Spinać! Wszyscy do pomp!

Gwiazda polarna była tuż nad nimi. Nailer widział półludzi przy nadburciach, kręcących hakami, niemogących się doczekać abordażu. Żagle Nieustraszonego załopotały raz jeszcze i nagle wypełniły się wiatrem. Statek popędził naprzód, nabierając szybkości. Gwiazda polarna ustawiała się burtą do abordażu, lecz Nieustraszony runął naprzód poniesiony falami.

- W prawo! - wrzasnął Nailer. - W prawo! - Widział już wyspę. Zęby były dokładnie pod nimi. Przynajmniej te największe. Zaraz na nich utkną.

„Na sterburtę” się mówi - burknął sucho Candless, kręcąc kołem sterowym. Nagle dziwnie się rozluźnił. Nieustraszony parł naprzód, popychany falą ku skalistej wysepce, potem wessało go na płyciznę i już mijali wysepkę i Zęby.

Wpłynęli na nieco spokojniejsze wody zatoki.

- Kotwice sztormowe! - krzyknął Candless, gdy załoga zwijała żagle.

Nieustraszony zatoczył się, potem drgnął i obrócił się wokół dziobu, gdy dziobowe kotwice chwyciły. Fale naparły na nagle nieruchomy kadłub. Kręcili się z falami, dziobem do brzegu. Wtem złapały i rufowe kotwice. Statek stanął.

Nailer zszedł z mostka, prosto na siekący deszcz.

- Raz, dwa, łodzie! - zawołała Reynolds. - Gotowi do abordażu!

Błysnął piorun. Wielka sylwetka Gwiazdy polarnej już ich dopadała. Nailer chwycił się relingu, patrząc na ogromny żaglowiec.

- O, Mojry - szepnął i dotknął czoła. Dotąd nie miał się za religijnego, teraz jednak zaczął się modlić.

Reynolds podeszła, stanęła obok, patrzyła, jak uzbrojony po zęby statek pruje ku nim.

- No, teraz się okaże, czy miałeś rację, chłopcze.

Nailer miał sucho w gardle. Gwiazda polarna parła naprzód, jakby planowała po prostu zmiażdżyć ich własnym ciężarem. Gdy tak płynęła, Nailerowi przemknęła przez głowę nowa, przerażająca myśl: podczas sztormowej fali Zęby będą o wiele głębiej pod wodą - i może jednak Gwiazda się prześliźnie. Ogarnęła go rozpacz. Nie pomyślał o sztormowej fali. Nic dziwnego, że Nieustraszony przepłynął bez problemu, choć byli w złym miejscu.

Gwiazda polarna już refowała żagle i zwalniała, by zatrzymać się tuż przy nich do abordażu. Nailer patrzył na to z rozpaczą. Nie miał racji. Wydawało mu się, że taki jest bystry, a teraz ich tu zaatakują, tylko dlatego, że nie pomyślał o wszystkich szczegółach.

- Panie kapitanie! - krzyknął. - Oni nie...

Gwiazda polarna przestała się poruszać. Zawisła na falach, znieruchomiła, choć woda napierała ze wszystkich stron. Uderzyła w nią ogromna fala. Potem kolejna. Zobaczyli nagle zamieszanie na pokładzie. Statek odwrócił się burtą do nich i znów o coś zahaczył, o jakąś podwodną iglicę. W kadłub walnęła następna fala, Gwiazda się przechyliła.

Reynolds ze śmiechem klepnęła Nailera w plecy.

- Teraz to mają pełne ręce roboty! - przekrzyczała wycie sztormu. - No jazda, kończymy to!

Pobiegli do szalup, Nailer nie odstępował Reynolds. Maleńka łódeczka podskakiwała nad wzburzonym morzem, bujając się na dwóch żurawikach. Węzeł, Czepiak, Candless i kilku innych marynarzy załadowało się do niej razem z nim. Dalej wzdłuż burty kołysały się jeszcze dwie inne łodzie pełne załogi. Rozległo się piskliwe wycie odpalanych silników na biopaliwo, bardziej przenikliwe od sztormu. Nabrały obrotów, śruby zawirowały. Ich własny silnik też odpalił, szalupa zadrgała.

Łódź przed nimi została zrzuciona. Spadła w fale jak kamień, z wyjąłym silnikiem.

Natychmiast popędziła naprzód, w stronę tonącej Gwiazdy polarnej.

- Rzuć! - krzyknęła Reynolds.

Zaczepy otworzyły się. Łódź opadła. Nailerowi żołądek podszedł do gardła. Spadanie. Uderzyli w wodę. Nailer zgiął się wpół i walnął w szeroki grzbiet Czepiaka. Zabolało. Przygryzł sobie wargę. Szalupa ruszyła naprzód, a gdy przyśpieszała, gorączkowo szukał, czego by się tu złapać.

- Sprawdź broń! - wrzasnął Candless.

Nailer sięgnął po wiszący u pasa pistolet. Czuł, jak wali mu serce. Trimble obok niego wyszczerzył zęby.

- Nie ma jak abordaż w sztormie, co, chłopcze?

Nailer kiwnął niepewnie głową. Było mu niedobrze. Małeńka skorupka prowadzona pewną ręką Reynolds skakała po spienionych grzywaczach. Dopadli przechylającej się Gwiazdy polarnej, podchodząc do niej od strony rufy. Załoga uwijała się na pokładzie. Wydało mu się, że widzi panią kapitan, uczepioną relingu, usiłującą zarządzić coś, co ustabilizowałoby wrak. Poczuł odrobinę triumfu. Chwilę przedtem musiała być tak pewna siebie, a teraz gorączkowo ratowała życie. Zaśmiał się w deszczu, czując płynącą po twarzy wodę. Udało mu się.

Szalupa uderzyła w kadłub Gwiazdy polarnej. Węzeł cisnął w górę drabinę linową, zaczepiając ją o nadburcie, po czym wspiął się na pokład, a Czepiak tuż za nim. Przeskoczyli przez reling z pistoletami i maczetami. Za nimi poszła reszta załogi.

Reynolds klepnęła Nailera w plecy.

- No, ruszaj się, chłopcze!

Nailer chwycił drabinę i wgramolił się na górę, w samą porę, by zobaczyć Candlessa szamocącego się z drugą panią kapitan. Obrócił się i kobieta wylądowała za burtą. Zaczęła rozpaczliwie wiosłować rękoma. Candless wycelował swój marynarski pistolet w resztę załogi.

- Ręce do góry! Poddać się! - zawołał poprzez sztorm.

Głos może do nich nie dotarł, ale pistolet mówił sam za siebie. Nailer wyjrzał na fale: ciekawe, co stało się z panią kapitan. Po prostu zniknęła, wciągnięta między Zęby.

Zdobyli Gwiazdę polarną.

Nailer odwrócił się, żeby uśmiechnąć się do Reynolds, gdy spod pokładu wylała się fala półludzi. Wypaliły pistolety. Candless padł na pokład, brocząc krwią. Reynolds odepchnęła Nailera na bok. Huknął jej pistolet. Nailer uniósł swój, wymierzył, zaczął strzelać poprzez deszcz. Był pewien, że nie trafia, ale i tak pociągał za spust. W statek uderzyła

potężna fala. Pokład Gwiazdy polarnej przechylił się. Część walczących zsunęła się do morza.

Nailer, spadając, chwycił się relingu. Pistolet spadł do wody. Chłopak zawisł, w połowie za burtą. Sztormowa fala obmyła mu nogi, szarpnęła go. Wyrwał się z wiru, podciągnął na nadburcie. Wielki kliper, taki niezniszczalny, stał się maleńką łódeczką. I tonął.

Reynolds strzelała w ciemność, nie było widać, do kogo. Zauważyła go:

- Idź po pannę Nitę! - krzyknęła, a wokół niej rykoszetowały pociski.

Któryś z półludzi Gwiazdy polarnej podniósł się obok nich z wody. Jakby nie można było ich zabić. Reynolds wymierzyła w niego i strzeliła mu w pierś. Padł z powrotem. Nailer nie widział żadnego z ich własnych półludzi. Może Węzeł, Czepiak i reszta już zginęli?

Pistolet Reynolds huknął jeszcze raz. Łypnęła na Nailera.

- No leć!

Nailer wyciągnął nóż i niezdarnie rzucił Reynolds już mu niepotrzebne magazynki do pistoletu. Popelzł do najbliższego włazu, modląc się, żeby nie trafić na kolejną bandę półludzi, i zanurkował na dół.

Furia sztormu ucichła. Gorączkowo otarł twarz, oczy, żeby lepiej widzieć. Zamrugał, zdziwiony nagłą ciszą. Korytarz oświetlały awaryjne diody, zasilane okrętowymi akumulatorami. Idąc korytarzem, mimo woli bezmyślnie liczył, ile warte byłoby takie oświetlenie. Mijał mosiężne okucia i stalowe drzwi, zauważał łatwe do zdemontowania kable. Korytarz przechylił się, miotany falami. Nailer się zachwiał.

Skup się, debilu. Znajdź Szczęściarę i uciekaj.

W czerwonym półmroku korytarzy nic się nie poruszało. Gdzieś na górze było słychać strzały, w środku jednak panowała dziwna cisza. Nailer zapuścił się głębiej w czeluście statku, nasłuchując huku wody na zewnątrz, własnych cichych kroków i chrapliwego, głośnego oddechu. Przystanął, próbując złapać dech. Chciał usłyszeć jakiś ruch.

Nic.

Skradał się dalej, z nożem w pogotowiu. Na pewno nie będzie tu sam. Musi tu być Szczęściara, a tam, gdzie ona, będą i inni.

Po raz kolejny zdziwił się własną samobójczą głupotą. Już zdradzenie ojca było niebotycznie głupie, ale prowadzenie poszukiwań na tonącym statku zdecydowanie to przebijało. Gdyby był mądry, dałby sobie spokój, kiedy Szczęściara zniknęła w Orleanie. Znalazłby sobie inną pracę, odszedł bez problemu, popłynął w górę Missisipi. Cokolwiek. On jednak dał się porwać lojalności okazywanej przez jej ludzi: Candlessa, Reynolds, Węzła,

Czepliaka... a jeśli miał być szczery, przyczyniły się do tego i jego własne marzenia o pięknej laluni...

Świetnie rozegrane, bohaterze.

Pokręcił głową. Oto był z powrotem na Bright Sands Beach, tam skąd zaczynał, w sytuacji gorszej niż kiedykolwiek, i zaraz jakiś półczłowiek odstrzelił mu głowę, bo on myślał, że jedna lalunia...

Coś się poruszyło. Rozległy się jakieś odgłosy. Przywarł do ściany. Usłyszał stłumione okrzyki. Zajrzał w głąb korytarza. W dół prowadziła drabina. Podeszedł do niej i przybliżył głowę do otworu, nasłuchując.

- Jeszcze jedna plomba! Nie tu! Tam! Nie tam! Tutaj! - Kolejne krzyki. Załoga. Próbuje załatać uszkodzenia. Opanować wdzierającą się do statku wodę.

Wyrzał przez otwór. Korytarz w dole wypełniał się wodą. Mężczyźni i kobiety brodzili w niej po kolana. Ze ścian lały się kolejne strumienie, a oni mimo to pracowali. Nailer pożałował, że nie ma pistoletu. Mógłby ich wszystkich wystrzelać... Przepędził tę myśl. To głupota, wdawać się w walkę z kimś, kogo jego los w ogóle nie obchodzi.

Jeden z marynarzy odwrócił się. Wytrzeszczył oczy.

- Ej!

Nailer cofnął głowę i uciekł.

- Szturmowcy! - rozniósł się okrzyk. - Szturmowcy!

Nailer był już daleko. Buciorzy zadudniły na schodni, gdy zanurkował do kabiny i zamknął drzwi. Tu spała załoga, przechył statku porozrzucił koje i inne sprzęty po całym pomieszczeniu. Ktoś przebiegł obok kabiny.

Nailer wziął głęboki wdech i wymknął się na korytarz. Przechył statku coraz bardziej utrudniał poruszanie się. Korytarze były tak pochyle, że drzwi w ścianie powoli zamieniały się w drzwi w podłodze. Żeby wyjść z kabiny musiał je unieść, po czym od razu zsunął się pod przeciwległą ścianę. Statek powoli obracał się do góry dnem. Nailer chwycił się drabinki, modląc się, żeby nie natrafić na kolejną grupę marynarzy.

Schodząc, czuł się przedziwnie: gramolił się prawie bokiem. Statek już leżał na burcie. Wokół Nailera przelewała się woda. Przebiegł przez miejsce, gdzie załoga odcięła i uszczelniała część ładowni, pobiegł głębiej w trzewia rozprutego statku, rozpaczliwie przeszukując kabiny i schowki. Nikogo nie znalazł. Wszyscy musieli być na pokładzie, albo walczyć z wdzierającą się do statku wodą. Był sam. W końcu przestał się kryć i po prostu zawołał:

- Szczęściara! Gdzie jesteś? Nita!

Bez odpowiedzi.

Musiała być gdzieś wyżej. To była jedyna możliwość. Po prostu jakimś sposobem ją przegapił.

Albo nafaszerowali ją narkotykami.

Albo już ją stąd zabrali.

Albo nigdy jej tu nie było.

Skrzywił się. Może została w Orleanie? Albo ją zabili? Brodził w wodzie, szukając wyjścia. Woda zalewała już wszystkie pokłady. Ściana zmieniła się w podłogę, w przekreślonym na bok kadłubie trudno było zachować orientację. Zatrzęsło. Świat znów się odrobinę obrócił. Zapieniła się woda. Nailer szarpnął kolejne drzwi, w nagrodę dostając strumieniem wody, który cisnął nim w głąb korytarza, zanim zdążył się pozbierać i uciec.

- Szczęściaro!

Nadal nic. Wszędzie pełno wody. Awaryjne diody zaczynały mieć zwarcia, część korytarzy pogrążała się w ciemności. Tonęli. Trzeba stąd uciekać. Sądząc po pustych korytarzach i kabinach, uciekła już nawet załoga. Zastanawiał się, jaki był wynik walki. Kto wygrał?

Pełził korytarzami przekreślonymi na bok razem ze statkiem. W nozdrzach czuł silny, nieprzyjemny zapach smaru maszynowego. Całkiem jakby z powrotem był złomiarzem na wraku. Uwięzionym w komorze z ropą.

Pchnął kolejne drzwi i przeczołgał się przez nie. Zgubił się i tyle. Wewnątrz, w czerwonym półmroku zobaczył przekładnie napędu płatów nośnych Gwiazdy polarnej, koła zębate i automatyczne napędy żagli, płatów i kabestanów żagla spadochronowego. Tablice ostrzegawcze mówiły: „Szybkoobrotowe tryby. Uwaga na ręce i fałdy ubrań”. Rozbawiło go, że już wie co to znaczy. Zaraz utonie, ale - hura! - umie czytać.

Na jednej ze ścian migały kontrolki i blokady bezpieczeństwa - sygnalizowały zwarcia i awarie urządzeń pokładowych - pewnie dlatego, że cały mostek był pod wodą. Mechanizm był niemal identyczny jak ten, który musiał smarować według wskazówek Węzła na Nieustraszonym.

Był większy, ale układ miał bardzo podobny. Gdy statek przewalił się na burtę, wpasowane w podłogę pokrywy obluźowały się i pospadały, odsłaniając ogromne tryby i sprzężone z nimi hydrauliczne siłowniki. Wyglądało na to, że wszystkie statki Patel Global są mniej więcej takie same. Tu Nity nie będzie. Odwrócił się, żeby szukać dalej. Statek zatrzeszczał i znów się przemieścił. Nailer pomyślał, że może faktycznie skończyć jak Mały Jackson. Utopiony pośród innych łupów, ale tak czy owak martwy.

- Nita! Gdzie ty jesteś?

Wdarł się do nowego korytarza. Statek próbował obrócić się do góry dnem, nie pozwalały mu na to tylko maszty, które uwięzły pomiędzy Zębami. Jeśli się wywróci, trzeba będzie z niego wypłynąć. Ciekawe, czy mu się to uda, przy takich falach i takich zniszczeniach.

- No, niech mnie szlag - wyrwał go z zamyślenia znajomy głos. - Dzień dobry, Szczęściarzu.

Nailer odwrócił się, czując ciarki.

W pełnym wody korytarzu stał ojciec, z przerzuconą przez ramię zakneblowaną Nitą. Nadgarstki i kostki miała związane. Woda płynęła mu po twarzy, w dłoni lśniła maczeta.

Nailer cofnął się przerażony. Ojciec uśmiechnął się. Nawet w słabym świetle czerwonych diod było widać, że jest naćpany po dziurki w nosie. Miał te błyszczące, wielkie oczy i drapieżny uśmiech ćpuna.

- Cholera jasna - powiedział Richard Lopez. - Nie spodziewałem się ciebie tutaj. - Rzucił Nitę bezceremonialnie na ziemię i zatoczył łuk maczetą. - Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś cię zobaczę.

Nailer spróbował wzruszyć ramionami, żeby nie okazać strachu.

- Tak. Ja też nie.

Ojciec zaśmiał się. Jego głos rozniósł się po ciasnym pomieszczeniu. Smoki odznaczały się na gołych ramionach, wiły się niczym ciernie wokół grdyki. Pod sękatymi mięśniami wojownika odznaczały się zębra.

- I co, będziesz tak stać? - zapytał ojciec. - Czy mi pomożesz?

Nailer zawahał się, zdezorientowany.

- Pomóc ci? Mam ci pomóc taszczyć tę dziewczynę?

Ojciec wyszczerzył zęby.

- Żartowałem. Trzeba ci było dać umrzeć, jak znaleźliśmy ten wrak. Trzeba mi było wiedzieć, że z ciebie niewdzięczny mały sukinsyn.

- Puść ją i tyle - powiedział Nailer. - Nie jest ci potrzebna.

- Pewnie. - Ojciec pokiwał głową. - Pewnie, że nie jest mi potrzebna. Ale z pustymi rękami stąd nie wychodzę, a to najlepszy łup tutaj.

- Złapią cię.

- Kto? - Parsknął śmiechem. - Już nikomu nie zależy. Każdy ratuje sam siebie i tak dalej. - Wzruszył ramionami. - Zresztą, im jest wszystko jedno, czy ona umarła, czy żyje. Jak sprzedam ją Żniwiarzom na części, w ich sytuacji to nic nie zmieni. - Zerknął na nią. - Kiedyś

może była lalunią. Teraz to tylko kawał złomu.

Nailer powiódł wzrokiem za spojrzeniem ojca. Zdziwił się, widząc, że Nita jest przytomna. Szamotała się w więzach, próbując się uwolnić.

Ojciec kopnął ją z całej siły.

- Leżeć tam - burknął.

Nita jęknęła z bólu, potem, odzyskawszy dech, załkała. Richard odwrócił się do Nailera. Zakręcił maczetą.

- I co myślisz, chłopak? Myślisz, że potniesz swojego starego tym małym nożykiem? Odpłacisz mi za te wszystkie lania?

Jeszcze raz zakręcił maczetą. Zawirowała przed twarzą Nailera.

- No to chodź. - Gestem przywołał go do siebie. - Jeden na jednego, chłopcze. Jak w ringu. - Obnażył połamane zęby. - Wypruję ci flaki. Na podłogę!

Rzucił się ku niemu. Nailer odskoczył w bok. Maczeta przeleciała mu koło twarzy. Ojciec roześmiał się.

- Świetnie, synu! Szybki jesteś! - Ciął jeszcze raz, a Nailera zapiekł brzuch, w miejscu, gdzie go drasnął. - Prawie tak szybki, jak ja!

Nailer zatoczył się i cofnął. Cięcie nie było głębokie, w lekkiej ekipie zdarzały mu się gorsze, za to przerażało go, jaki ten człowiek jest szybki. Był groźny jak półczłowiek. Zbliżał się do niego, robiąc krótkie wypady z maczetą. Nailer ustąpił. Zaporował cios swoim nożem, próbując trafić wewnątrz łuku maczety, ojciec jednak przewidział to i tym razem ciął go samym czubkiem w policzek.

- Ale jeszcze trochę za wolny.

Nailer cofnął się, opanowując strach. Otarł płynącą obficie z twarzy krew. Ten człowiek był przerażająco szybki. A podkrecony amfetaminą był niczym nadczłowiek. Nailer przypomniał sobie, jak w ramach zakładu pokonał w ringu trzech przeciwników jednocześnie. Mieli przewagę, ale to oni leżeli ranni, nieprzytomni, a on stał nad nimi, szczerząc triumfalnie zakrwawione zęby. On urodził się do walki.

Ojciec ciął jeszcze raz. Nailer odskoczył.

„Skup się”, powiedział sobie.

Ojciec zmienił się w rozszalałą błyskawicę. Nailer ledwo zdążył przypaść do niego. Zderzył się z nim. Z dłoni Nailera, śliskiej od krwi, wypadł nóż. Poleciał gdzieś. Obaj pokoziołkowali. Richard chciał go chwycić, Nailer jednak wyrwał się i pobiegł korytarzem. Ojciec parsknął śmiechem.

- Tak łatwo mi nie uciekniesz!

Nailer gorączkowo rozejrzał się za swoim nożem, ale nie dostrzegając go w półmroku. Ojciec posuwał się za nim. Chłopak odwrócił się i pobiegł. Ojciec zaśmiał się i zaczął go gonić. Nailer skierował się do maszynowni. W blasku awaryjnego oświetlenia miotał się nerwowo, szukając czegoś, czego można by użyć jako broni. Ojciec wpadł do pomieszczenia.

- Jej, jej, jak ty się wyrywasz.

Nailer cofnął się. Cholerna załoga Gwiazdy polarnej miała na statku niesamowity porządek, nigdzie nie walał się ani klucz, ani chociaż śrubokręt. Nailer chwycił leżącą pokrywę serwisową i rzucił nią, ojciec jednak bez trudności uniknął ciosu.

- Tylko na tyle cię stać? - zapytał.

Nailer chwycił kolejną walającą się pokrywę serwisową, potem rozejrzał się, skąd ona spadła. Obok niego zamajaczyła cała ściana trybów i hydraulicznych siłowników - podłoga maszynowni, która teraz zmieniła się w ścianę. Jeśli tam wejdzie, może uda mu się wymknąć jakimś kanałem serwisowym.

Podbiegł do ściany odsłoniętych trybów i podciągnął się. Kiedy statek przewracał się na bok, spadło dość tych pokryw, żeby móc się po nich wspinać. Niestety, żaden z otworów nie był wystarczająco duży, by schować się poza zasięgiem maczety ojca. Wszedł jeszcze wyżej.

- I dokąd ty idziesz, chłopcze?

Nailer nie odpowiedział. Chwycił się kolejnego ogromnego trybu i podciągnął się wyżej. Walnął dłonią w zatrask kolejnej pokrywki serwisowej i zdarł ją. Rzucił ją w ojca, znowu nie trafił. Richard Lopez patrzył z dołu, rozbawiony.

- Myślisz, że nie dam rady tam wejść i cię ściągnąć? - Pokręcił głową. - A ja cię miałem za bystrego.

Nailer wspiął się jeszcze wyżej.

- Może byś tak zszedł i zginął jak mężczyzna? - rzucił ojciec. - Będzie łatwiej nam obu.

Nailer pokręcił głową.

- Jak chcesz mnie dorwać, to po mnie wejdź.

Obluzował kolejną pokrywę. Jeśli uda mu się go przekonać, żeby zaczął wchodzić, może trafi go tym cholerstwem prosto w głowę.

- No dobra, chłopcze. Chciałem być miły. - Ojciec chwycił się koła zębatego, wspiął się i rozejrzał za kolejnym uchwytem. Z maczetą trudniej mu się wchodziło, ale i tak był niepokojąco szybki.

Nailer rzucił pokrywę. Przez chwilę myślał, że trafi idealnie, lecz cały statek zachwiało

się, uderzony kolejną falą i pokrywa spudłowała. Richard Lopez, niezrażony, wyszczerzył do niego zęby.

- Chyba jednak nie jest z ciebie taki Szczęściarz. - Po czym popęzł w górę ku niemu, szybki jak pająk.

Nailer przesunął się jeszcze wyżej, ale potem już nie miał dokąd pójść. Chwycił się potężnego koła zębatego, patrząc w dół na ojca. Był w pułapce. Richard Lopez uśmiechnął się i zamachnął maczetą. Nailer gwałtownie zabrał stopę z linii ciosu. Maczeta zadzwoniła o stal.

Nagle jego wzrok przykuła migająca dioda. Przyjrzał się jej i poczuł falę nadziei. Był tuż obok pulpitu sterującego, opatrzonego znajomym napisem: BLOKADA NAPĘDU PŁATÓW. UWAGA NA RĘCE i FAŁDY UBRAŃ.

Gorączkowo walnął pięścią w dźwignię i wcisnął przycisk zwalniający blokadę. Dokładnie tak samo jak Węzeł - wydawało mu się, że było to wieki temu. - Spojrzał w dół na ojca.

- Daj mi spokój, tato. Daj mi odejść, razem z Nitą.

- Nie tym razem, chłopcze. - Richard Lopez chwycił Nailera za kostkę.

Nailer odmówił krótką modlitwę do Mojr, chwycił dźwignię sprzęgła i odskoczył, uwalniając się. Pod jego ciężarem dźwignia opadła. On też spadł.

Pomieszczenie wypełniło wycie maszynierii.

Rozdział XXIV

Uderzył o podłogę. Kostka eksplodowała bólem. Wycie maszynierii zniecka ucichło. Spojrzał w górę. Ojciec wisiał nad nim, z połową ciała wciągniętą w przekładnię płatów nośnych. Próbował sięgnąć tam, gdzie wkręciło mu rękę i nogę. Na zębach miał krew.

- Cholera jasna - powiedział. Wydawał się zdziwiony. Jeszcze raz spróbował się uwolnić.

Nailer poczuł gęsią skórkę. Powinien już nie żyć wciągnięty w te tryby, ale nadal walczył o życie. Był napędzany amfetaminą i kryształami, i jeszcze nie dotarło do niego, co się z nim stało. Na jedną okropną chwilę Nailer przeraził się, że ojciec nie jest w stanie umrzeć. Że wydostanie się stamtąd i znów pójdzie za nim.

Richard wytrzeszczył na niego oczy.

- No chodź tu, chłopcze.

Nailer pokręcił głową i cofnął się. Ojciec jeszcze raz obmacał wolną ręką tryby.

- Co żeś mi, kurna, zrobił? - Popatrzył się na nie, potem na skapującą spomiędzy nich krew. W rozświetlanym tylko diodami półmroku była prawie czarna. - To jeszcze nie koniec - powiedział i łypnął na Nailera. - Jeszcze nie koniec, o nie.

Mimo to, głos już mu słabł. Nailer patrzył w górę na człowieka, który terroryzował go przez całe życie. Richard Lopez zmienił się nagle, nie był już tym niebezpiecznym zawadiaką, stał się kimś innym. Kimś nieszczęsnym. Bezbronnym.

- Chodź no tu, Szczęściarzu - skrzeknął. - Jesteśmy rodziną. Pomóż mi. - Usiłował dosięgnąć go ręką. Próbował się uśmiechnąć. Obliznął zakrwawione wargi. - Proszę - powiedział. A potem, łagodniej: - Przepraszam.

Nailer wzдрыgnął się z obrzydzenia. Rzucił ojcu ostatnie spojrzenie, odwrócił się i pokuśtykał do związanej Szczęściary.

Zderzył się z nią w drzwiach i omal nie wrzasnął, zanim ją rozpoznał. Pokazała mu jego nóż.

- Dzięki za nóż - powiedziała. - A gdzie twój... - Zaparło jej dech.

Nailer wyciągnął ją z maszynowni, prawie na siłę.

- Chodźmy. - Pociągnął ją korytarzem, na wpeł spodziewając się usłyszeć jeszcze wołanie ojca. Nie dobiegł go jednak żaden głos.

- Dokąd? - wysapała.

- Trzeba stąd uciekać. - Podprowadził ją do drabiny prowadzącej na górny pokład.

Nagle statek zadygotał i przetoczył się. Podał się maszt. Kadłub wywrócił się do góry dnem. Żeby dostać się na pokład, trzeba by schodzić pod wodę.

- Zrobiliśmy grzybka - mruknął. - W dół nie da się iść. - Zajrzał do włazu. Pokład niżej był już do połowy zalany wodą. Następny będzie całkowicie zatopiony.

- Da się przepłynąć? - zapytała.

- Nie po ciemku. I nie mając pojęcia, dokąd płynąć. - Woda się podnosiła. - Toniemy - powiedział zrozpaczony.

Nita popatrzyła na wodę.

- To musimy iść na górę, prawda? - Potrząsnęła nim. - Tak? Na górę! - Szarpnęła go za rękę. - Rusz się! Trzeba znaleźć drogę na samo dno statku!

- A po co?

- Statek tonie, tak? Którędyś się wlewa ta woda. Musi być jakaś dziura w kadłubie.

Nailer kiwnął głową. Nagle zrozumiał. Zatrzymał Nitę i pociągnął w całkiem inną stronę.

- Tędy. Musimy się dostać do ładowni. Tam są!

- A skąd ty wiesz?

- Rozbierałem statki. - Zaśmiał się. - Jak się tyle posiedzi na starych wrakach, to się nabiera trochę orientacji.

Pobiegli kolejnym korytarzem, weszli na górę drabiną. Przebiegli po suficie, z podłogą nad głowami.

- Tam! - uśmiechnął się, widząc drabinę prowadzącą do miejsca, gdzie załoga pracowała nad uszczelnieniem przecieku.

- Przygotuj się - powiedział, przykładając ostrze noża do plomby.

- Na co?

- Na dużo wody.

Nita chwyciła się jedną ręką mosiężnego okucia, drugą jego paska. Kiwnęła głową.

- Dobra.

Nailer przeciął elastyczną błonę, założoną przez załogę w daremnej próbie ratowania statku. Gumowy materiał się rozdzielił. Woda wdarła się z hukiem do środka. Odrzuciła ich pod ścianę. Miotany strumieniem wody Nailer z trudem złapał Nitę. Chwilę później fala zmniejszyła się do małego strumyczka. Wody było mniej, niż się obawiał. Domyślał się, że większość już spłynęła w głąb statku innymi drogami. Wgramolił się przez drzwi.

- Tędy.

- Jak ty mnie znalazłeś? - zapytała Nita zza pleców. - Kiedy mnie złapali w Orleanie,

myślałam, że to koniec.

- Kapitan Candless... - Nailer urwał, przypomniawszy sobie strzały w ciemności, strugę krwi, padającego kapitana. - Miał pomysł, gdzie cię szukać.

- I ty się z nim zabrałeś?

Nailer wyszczerzył zęby.

- Głupio, co?

Zaśmiała się.

- No, raczej tak.

Lawirowali przez przypominające pobjowisko pomieszczenia, wspinając się na zwały śmieci, żeby sięgnąć do drzwi, które mieli teraz nad sobą i do góry nogami. W końcu trafili do ładowni. Błyskawica oświetliła dziurę w kadłubie, dokładnie nad ich głowami. Postrzępione pęknięcie we włóknie węglowym. Za nią było widać kolejną - świadczącą o sukcesie planu Nailera. Przy każdej zalewającej kadłub fali lała się przez nie woda, spływając kaskadami na przemoczone skrzynie ładunkowe i porozbijane sprzęty. Kolejna błyskawica. Nailer zmrużył oczy, przyjrzał się dziurze. Raczej rysa, pęknięcie. Nic dużego. I wysoko, o wiele za wysoko.

Nita pociągnęła go za rękę.

- Skrzynki - powiedziała. - Poustawiamy je.

Chwyciła jedną i przesunęła pod otwór. Nailer zrozumiał i pośpieszył na pomoc. Pracowali gorączkowo. Niektóre skrzynie były zbyt ciężkie, by je samodzielnie przesunąć, innych nie byli w stanie ruszyć nawet we dwoje. Kostka bolała potwornie przy każdym poruszeniu. Usiłowali poustawiać skrzynie w coś w rodzaju piramidy. Znow zalała ich woda. Nailer dyszał ciężko z wysiłku i z bólu. Nita wspinała się po stosie skrzynek, sięgając w dół po kolejne, które jej podawał.

Do ładowni wdarła się kolejna fala. Wielka. Omal nie zrzuciła Nity z jej grzędy.

- Toniemy! - przekrzyczał ryk sztormu.

Nita wpatrzyła się w otwór nad nimi. - Chyba już wystarczy.

- To skacz!

- A ty?

- Musisz iść pierwsza. Ja z tą kostką mogę nie dać rady. Wyleziesz i mi pomożesz.

Nita kiwnęła głową i kucnęła, chwając się na szczycie piramidy. Skoczyła. Fala zwała się na nią, ale dziewczyna chwyciła się krawędzi i trzymała, a potem powoli wywindowała się z ładowni. Nailer wgramolił się w ślad za nią. Skrzynki stały chwiejnie, poprzysuwane przez poruszenia kadłuba. Kostka była jedną jaskrawą plamą bólu. Prawie go

paraliżowało. Nie ma mowy, żeby dał radę tam wskoczyć.

Twarz Nity wysunęła się z otworu nad nim. Wyciągnęła rękę.

- Szybko!

Zebrał się na nogi, przykucnął. „Nie zwracaj uwagi na ból”, powiedział sobie. „Skocz i tyle”. Wziął głęboki wdech i skoczył. Kostka zapłonęła bólem. Palce chwyciły się postrzępionej krawędzi otworu. Zsunęły się. Nita złapała go za przegub.

- Trzymaj się!

Nadciągnęła fala, zalała ich wodą. Nailer zawisł na brzegu otworu, kaszląc i plując wodą. Przyszła kolejna fala.

Dłonie Nity się ześlizgiwały.

- Nie dam rady cię podciągnąć! - krzyknęła.

„Podnoś się!” - powiedział sobie. „Jak będziesz tak wisiał, w końcu spadniesz i skręcisz sobie kark. Nie po to tyle przeszedłeś, żeby teraz utopić się po ciemku”.

Ale był już taki zmęczony.

- No, weź się w garść, Nailer! - zawołała Szczęściara. - Mam cię ciągnąć za dupę jak jakiegoś lalusia?

Nailer omal się nie roześmiał. Chwycił się krawędzi statku i powoli wywindował się przez dziurę. Nita złapała go pod pachą, pociągnęła za koszulę, podniosła. Rozpaczliwie szukał uchwytu na śliskim kadłubie. Zalała ich kolejna fala, ale tym razem już się trzymał, był przygotowany, a kiedy przeszła, wydostał się wyżej, ciągnięty przez Nitę. W końcu wywlókł nogi z ładowni i przypadł zdyszany do powierzchni statku.

Deszcz lał się na nich. Nita leżała obok, pasma czarnych włosów oblepiały jej twarzy jak grube, mokre węże. Biły pioruny, jaskrawe i oślepiające po ciemnościach ładowni. Kolejna ściana deszczu. Sto metrów od nich, w sztormie kołysał się zakotwiczony Nieustraszony.

- Tam płyniemy - powiedział Nailer.

- Co? Bez wodnej taksówki?

Nailer mimo woli uśmiechnął się.

- Wy, lalusie, to macie dobrze.

- No pewnie. - Popatrzyła na Nieustraszonego, spoważniała. - Wóz albo przewóz, co?

- Mniej więcej.

Zmrużyła oczy, wpatrzyła się w deszcz.

- Pływałam na większy dystans - powiedziała. - Dam radę.

Zrzuciła buty i odczekała, aż zaleje ich kolejna fala, po czym poddała się jej,

pozwoili się unieść. Podskakiwała jak ryba. Nailer odmówił modlitwę do Mojr, myśląc o zaginionej pani kapitan Gwiazdy polarnej, i zrobił to samo.

Połknęła go rycząca kipiela. Za każdym machnięciem nogami kostka eksplodowała bólem. Rozpaczliwie wiosłował w kierunku, gdzie wydawało mu się, że jest powierzchnia.

Rozdarł szponami pianę i wynurzył się, łapczywie zaczerpując tchu. Kolejna fala pociągnęła go w dół. Przekoziółkował. Znów z trudem wydobyl się z żarłocznej głębi, wy dostał na powierzchnię, kaszłąc i plując. Nabral powietrza. Machnal nogami i zawyl z bólu.

- Unoś się z wodą! - krzyknęła Nita. - Idź z prądem! - Kołysala się na wodzie obok niego. Fala nakryła ją, po chwili Nita znów się wynurzyła, płynąc energicznie. - Nie walcz z nimi! - Podpłynęła i podtrzymała go. Pomogła mu płynąć.

Ze zdumieniem stwierdził, że Nita się uśmiecha. Zaczęli się unosić na wodzie. Złapał rytm fal. Minęli Zęby, wypłynęli z wiru i nagle prąd zaczął im pomagać, pchać ich dokładnie tam, gdzie chcieli.

Nieustraszony zamajaczył nad nimi.

Za burtę wyleciały koła ratunkowe, spadając w wiry i pianę. Nailer przez chwilę zastanawiał się, czyj jest teraz ten statek, a potem uświadomił sobie, że wszystko mu jedno. Powiosłowali w stronę kół, wyciągając ręce po ratunek.

Rozdział XXV

-„Zabijanie zawsze kosztuje”.

Była to matka Pimy. Siedziała obok niego, oboje gapili się na morze. Nailer opowiedział jej, co się działo na Gwieździe polarnej, i ze zdumieniem stwierdził, że płacze. Zamilkł. Teraz wydało mu się, że nie czuje kompletnie nic, tylko pustkę w piersi, która uparcie nie chce zniknąć.

- To był zły człowiek - powiedziała. - Rzadko tak mówię o ludziach, ale Richard Lopez naprawdę zostawił po sobie masę krzywd.

- No tak - zgodził się Nailer.

Mimo to, i tak czuł się źle. Ojciec był obłąkany, zbrodniczy, szczerze mówiąc, był złem wcielonym. Lecz teraz, gdy już nie żył, Nailer mimo woli przypominał sobie także inne czasy: kiedy nie był ciągle naćpany, kiedy śmiał się z żartów, gdy piekli prosiaczka na plaży. Dobre chwile. Bezpieczne chwile. Ojciec uśmiechnięty, opowiadający historie o ludziach, którzy zgarnęli wielkie łupy. W tym o Fuksiarzu.

- Nie był do końca zły - mruknął.

- Nie. - Sadna pokiwała głową. - Ale dobry też nie. Nie pod koniec. Dawno nie.

- Tak, wiem. Zabiłby mnie, gdybym ja go nie zabił.

- Ale to żadne pocieszenie, co?

- No właśnie.

Zaśmiała się smutno.

- To dobrze. Ja się cieszę.

Nailer spojrzał na nią zdziwiony.

- Richard krzywdził ludzi i nigdy nic nie czuł. Zwiślało mu to. To dobrze, że ty coś czujesz. Wiesz mi. Może boli, ale to dobrze.

- No, nie wiem. - Zapatrzył się na morze. - Może się mylisz. Ja... - Zawahał się. - Cieszyłem się, kiedy go zabiłem. Naprawdę. Pamiętam, że zobaczyłem wszystkie te wajchy i od razu wiedziałem, co trzeba zrobić. I zrobiłem to. - Podniósł wzrok na Sadnę. - Jak tylko usłyszałem, że maszyna się włącza, wiadomo było, że wygrałem. Poczulem się jak Fuksiarz. Najlepsze uczucie na świecie. Lepsze niż wtedy, jak wydostałem się z tej ropy. Albo jak znalazłem wrak Szczęściary. Ja żyłem, a on nie. Poczulem się silny. Naprawdę silny.

- A teraz?

- Teraz to nie wiem... - Wzruszył ramionami. - Niebieskooka. Potem on. - Spojrzał na Sadnę. - Kiedy zadzgałem Niebieskooką, Młot powiedział, że jestem taki sam, jak ojciec...

- Ale nie jesteś...

- A może jestem? Nic nie poczułem. Nic a nic. Cieszyłem się. A teraz też nic nie czuję. Tylko pustkę. Pustkę i tyle.

- I to cię przeraża.

- Bo mówiłaś, że ojciec też nic nie czuł, jak zabijał ludzi.

Sadna wyciągnęła rękę i ujęła go za podbródek, żeby nie mógł odwrócić wzroku.

- Posłuchaj, Nailer. Nie jesteś jak twój tato. Gdybyś był jak on, siedziałbyś teraz na plaży, pił z kumplami, rozglądał się za dziewczyną na noc i ogólnie byłbyś zadowolony z siebie. Nie tkwiłbyś tutaj i nie zamartwiał się, czemu nie jest ci bardziej przykro.

- No tak. Chyba tak.

- Pewnie, że tak. Uwierz mnie, jeśli sobie nie wierzysz. Nie przejdzie ci tak od razu. To potrwa. Nie przejdzie ci dzisiaj. Ani jutro. Ale za rok już prawie zapomnisz, chociaż coś tam zawsze w tobie zostanie. Masz krew na rękach. - Wzruszyła ramionami. - To zawsze kosztuje. I nigdy nie znika. - Machnęła ręką ku postawionej przez Fuksiarza w lesie świątynce Mojr. - Idź, złóż im ofiarę. Ciesz się, że miałeś szczęście, szybkość i spryt. A potem zrób coś dobrego.

- I to tyle? Wszystko? - Nailer się zaśmiał. - Idź i zrób coś dobrego?

- A co? Chcesz, żeby ktoś cię pobił? Może, żeby Fuksiarz ci za niego odpłacił? Oko za oko?

- Właściwie nie wiem. Na sam koniec... - Zawahał się i westchnął ciężko. - Na sam koniec on chyba się zmienił. Jakby stał się taki jak kiedyś. Chyba mnie widział... - Nie dokończył i dodał tylko: - Nie był do końca zły. - Pokręcił głową. Cały czas do tego wracał. Głupio się czuł, ciągle to powtarzając, nie wiedział, dlaczego to go tak dręczy.

Dlaczego nie jestem w stanie po prostu się cieszyć, że on już nie żyje?

- Przejdzie ci. - Sadna chwyciła go za ramię. - Wierz mi.

- Tak. Dzięki. - Wziął głęboki wdech, zapatrzył się na błękitne fale. Przez chwilę oboje milczeli.

Podeszła Pima, kucnęła obok.

- Jak tam? Gotowi?

Sadna kiwnęła głową.

- Muszę jeszcze pogadać z paroma ludźmi. - Klepnęła Nailera po plecach. - Miej go na oku, dobra? - Wstała i ruszyła na dół, na plażę.

Pima usiadła bliżej niego. Nie odzywała się, tylko czekała. Cierpliwie.

Razem obserwowali, co dzieje się w zatoce. Nieustraszony prawie skończył łądować zaopatrzenie. Ruszą na północ, tam gdzie mieszka rodzina Szczęściary. Nawiązali kontakt z jej klanem, a informacje o tym, że Nita żyje, a Pyce jest zdrajcą, już spowodowały zamieszanie na szczytach władzy. Ludzie lojalni wobec Nity i jej ojca walczyli o odzyskanie kontroli nad firmą. „Zmieniały się koalicje wyborcze”, mówiła Nita, cokolwiek to oznaczało. Wyglądała na zadowoloną, Nailer uznał więc, że to coś dobrego.

- Dziwny jest ten świat gdzie indziej - powiedział Nailer.

- Pewnie - zgodziła się Pima. - A gotowy jesteś, żeby go oglądać?

Nailer zawahał się, a potem kiwnął głową.

- Chyba tak.

Wstali i zeszli na plażę. Nadzorowane przez Fuksiarza skify woziły na Nieustraszonego zapasy słodkiej wody. Ten człowiek błyskawicznie dogadał się ze zwycięzcami morskiej bitwy i znów, jak zwykle, miał cholerne szczęście. Nita mówiła, że on nawet kupił sobie prawo do dobytku z zatopionej Gwiazdy polarnej, o ile znajdzie jakiś sposób, żeby ją podnieść.

Nieustraszony lśnił w świetle słońca. Nailer widział, że na pokładzie stoi kapitan Candless. Białe bandaże zasłaniały mu większość klatki piersiowej i szyi. Reynolds twierdziła, że żyje tylko dlatego, że był za głupi, by poznać, że umarł. Głos kapitana niósł się po wodzie: wykrzykiwał rozkazy, doglądał ostatnich napraw i przygotowań.

Zerwał się lekki wietrzyk, przynosząc zapach stoczni złomowej. W głębi plaży czarne wraki ze starego świata dalej leżały na piasku jak okaleczone trupy, dalej ciekły z nich chemikalia i ropa, dalej roilo się na nich od robotników.

Jednakie Nailera wśród nich nie było. Ani Pimy. Ani Sądney. Wszystkich uratować nie jest w stanie, ale może uratować chociaż rodzinę.

Pima spojrzała tam, gdzie on.

- A ty jak myślisz? Szczęściara poważnie mówi? Że przyciśnie Lawsona i Carlsona? Żeby coś z tym miejscem zrobili?

- A wiadomo? Jak przejmie władzę nad swoją firmą... Patel Global to dla nich duży klient. - Kiwnął głową w stronę Nieustraszonego, gdzie Nita właśnie wyszła na pokład. Zawirowały białe spódnice, jaskrawe w tropikalnym słońcu. - Ktoś, kto ma tyle kasy, chyba jest w stanie coś zrobić, nie?

- No, lalunia z niej jak cię mogę.

- Taa.

Nita lśniła złotem i srebrem, darami dobrej woli, które jakimś cudem wykombinował skądś Fuksiarz, żeby wkupić się w łaski Nieustraszonego. Pochyliła się i powiedziała coś do kapitana Candlessa, potem odwróciła się do brzegu. Wiatr rozwiął jej czarne włosy, jak falującą banderę.

Nailer zamachał z uśmiechem. Odmachnęła mu.

Pima zerknęła na niego.

- Chyba nie bierzesz tego na serio.

Nailer wzruszył ramionami, próbując się nie zarumienić. Pima roześmiała się.

- Z taką lalunią?

- Musisz przyznać, ładna jest.

- Kasę ma ładną, jasne.

- I węgorze też ładnie patroszy.

Pima zaśmiała się i dźgnęła go łokciem w żebra.

- Co ty sobie myślisz, czemu w ogóle jakiś brudas spod pokładu miałby mieć szansę u takiej dziewczyny?

- Nie mam pojęcia - Nailer zerknął z ukosa na Pimę, potem uśmiechnął się. - Może po prostu myślę, że mi się poszczęści.

- Taak? - Pima chwyciła go. - Tak myślisz?

Chciała popchnąć go na piasek, on jednak wymknął się. Pobiegł po plaży ze śmiechem, a Pima za nim.

W zatoce, na Nieustraszonym trwał załadunek. Statek stał w pełnym blasku słońca, pośród fal. Za nim, po horyzont ciągnęło się błękitne, nęcące morze.

Podziękowania

Choć na okładce widnieje moje nazwisko, wielu osobom wdzięczny jestem za pomoc i inspirację. Uczestnicy warsztatu pisarskiego Blue Heaven Writers Workshop: Greg van Eekhout, Sarah Prineas, Jenn Reese, Cat Valente, Sandra MacDonald, Deb Coates, Paul Melko i Daryl Gregory dzielili się ze mną cennymi przemyśleniami, podobnie jak moi pierwsi czytelnicy: Sarah Castle - podejrzanie dobrze zorientowana w kwestii topienia się w ropie - oraz Tobias Buckell, który inspirował mnie w wielu kwestiach technicznych. Dodatkowy i bardzo szczególny ukłon należy się Charlesowi Colemanowi (C.C.) Finlayowi za stworzenie Blue Heaven i zaproszenie mnie do swojej pisarskiej wspólnoty. Ogromny dług wdzięczności mam również wobec mojej żony, Anjuli, która cały czas wspiera moje literackie szaleństwo, nawet kiedy mnie samego ogarniają wątpliwości. I na koniec chciałbym także podziękować mojemu ojcu, Todowi Bacigalupiemu. Zapoznał mnie ze wspaniałościami fantastyki, kiedy byłem mały, i to wszystko zmieniło.

Za wszelkie błędy, pomyłki i zguby w książce odpowiedzialny jestem wyłącznie ja.